



Leslie Schnur



Dziewczynna, pies i on

Nina Shephard jest zakochana w facecie, którego nigdy nie poznała. Świetnie — myślała, leżąc w wannie w upalne popołudnie. Sama ta myśl brzmiała tak niedorzecznie, że Nina aż parsknęła charakterystycznym gardłowym śmiechem. Zwykle nie jest jej do śmiechu, kiedy zastanawia się nad okrutną ironią tej dziwacznej sytuacji, ale teraz dostrzegła w swoim położeniu też dobrą stronę: przynajmniej wie, na czym stoi.

To zabawne, że o człowieku, którego nigdy nie poznała, wie więcej niż o wszystkich poznanych mężczyznach razem wziętych. Wie, że czyta książki. No dobra, głównie te modne relacje z wypraw na Everest, Antarktykę czy wulkan Krakatau, z rekinami, pożarami i innymi ozdobnikami tego typu w tle. Pewnie, że to żadna wielka literatura — ona nazywa to wręcz „literaturą dla mięśniogłowych”, odkąd usłyszała określenie „literatura dla gospodyń domowych” — ale zawsze to książki, a nie tylko kolumny prasowe o sporcie czy gospodarce, które wielu mężczyznom wystarczają, by się uważać za „oczytanych”. Wie, że słucha Mozarta i Lenny'ego Kravitz. Sama co prawda nie przepada ani za jednym, ani za drugim — Mozart jest stanowczo przereklamowany, a Lenny konserwatywny i mało oryginalny — ale potrafi docenić taki wybór. Wie też, że on regularnie chodzi na koncerty jazzowe, a nawet czasami do teatru na Broadwayu. Wie, że jest blisko z rodzicami. Że ma wspaniałego psa. Gdyby tylko mogła mu wybaczyć — oczywiście, że mogła i wybaczyła, choć wymagało to sporego samozaparcia — że nie wziął go ze schroniska, tylko kupił za Bóg wie ile od hodowcy. Wie, że skończył uniwersytet w Pensylwanii, że pracuje dla potężnej korporacji prawniczej — cóż, nikt nie jest doskonały! — i zarabia naprawdę dużą kasę jak na faceta, który ma dopiero trzydzieści dwa lata.

Że czasem jeździ na nartach, ogląda baseball w telewizji, a w każdą środę wieczorem grywa w pokera w damsko-męskim towarzystwie. Pięć razy w tygodniu biega w Central Parku, a najbliższy urlop spędzi na kajakach na rzece Bio Bio w Ameryce Południowej. Aktywnemu stylowi życia zawdzięcza męski, seksowny wygląd kogoś, kto większość czasu spędza na świeżym powietrzu. Że ma wyjątkowy kształt nosa. Że jest demokratą i szczerze łoży na różne organizacje dobroczynne, od Unii Swobód Obywatelskich po Koalicję na rzecz Pomocy Bezdomnym. Że jest niepraktykującym katolikiem, ale Boże Narodzenie ma dla niego duże znaczenie. O Boże! Będzie musiał zacząć robić zakupy we wrześniu, jeśli zechce powtórzyć wszystko to, co wyrabiał w ubiegłym roku. Taki jest zorganizowany i zapobiegliwy. Ucieleśnienie marzeń. Naprawdę niewiele można mu zarzucić.

Gdyby tylko miała okazję go poznać.

To był jeden z tych upalnych, dusznych letnich dni, kiedy śmieci w Nowym Jorku aż się gotują, a cuchną tak strasznie, że Nina zawsze na nowo sobie obiecuje, że w przyszłym roku, choćby była nie wiadomo jak biedna czy bogata, zapracowana czy bezrobotna, z kimkolwiek byłaby związana — gdyby się tak szczęśliwie złożyło — słowem, choćby nie wiadomo co, będzie się wylegiwać gdzieś na plaży w Kalifornii, wdychać rześką morską bryzę i popijać coronę z butelki. Z limonką. A to dopiero czerwiec. Zapowiada się, że upał będzie jak na Saharze, tyle że powietrze może nie aż tak suche. Współczuła sama sobie, czując jednocześnie coś w rodzaju pogardy do siebie za to współczucie.

Jak zwykle w jej przypadku, sytuacja była patowa.

Uważała więc, że jak najbardziej zasługuje na wspaniałą pachnącą kąpiel, którą sobie zafundowała w to wtorkowe popołudnie o czwartej. Skończyła już poranne i popołudniowe spacerowanie, odprowadziła ostatniego psa i nareszcie miała trochę czasu dla siebie. Wyciągnięta wygodnie, z głową opartą o krawędź wanny, pozwoliła myślom dryfować w różne strony tak samo jak włosom, które jak u syreny swobodnie unosiły się na wodzie. Gdyby zamiast nóg miała płetwy, popłynęłaby ku odległemu kalifornijskiemu wybrzeżu — wolna, lekka, bez psów — a tam spotkałaby groźnego kapitana piratów, który zamieniłby ją w prawdziwą kobietę: kochałby się z nią jak nikt inny, czytałby jej wiersze, gładził pięknymi dłońmi po twarzy. I żyłoby długo i szczęśliwie w skromnym szałasie, oczywiście nie z powodu biedy, bo przecież mogliby mieszkać wszędzie, obrzydliwie bogaci dzięki łupom zrabowanym okrutnemu dyktatorowi, którego pozbawienie majątku oznaczałoby wolność dla ludu, więc wszystko byłoby w porządku.

Po trzydziestu pięciu latach życia Nina może stwierdzić, że lubi swoje nogi. Rok wyprowadzania psów nie wydłużył jej kończyn, ale poprawił ich stan: są teraz silne, szczupłe, brązowe. Sięgnęła po naturalną gąbkę do drewnianego japońskiego puzderka i przesunęła nią po nogach, aż poczuła w nich życie. Przejechała nią dalej, po biodrach, ręce, szyi i ramionach, rozluźniając w ten sposób mięśnie i usuwając naskórek, tak jak to jej pokazało przemądrzałe babsko w Bloomingdale, które aż wytrzeszczyło oczy ze zdumienia, mówiąc: „Jak to?! Nigdy pani nie złuszczała naskórka?!”. No tak, Nina nie wie tyłu rzeczy!

Nie dalej jak wczoraj poszła do sklepu o nazwie Town Shop na Broadwayu, poleconego przez najlepszą przyjaciółkę, Claire, żeby kupić nowy stanik na te swoje piersi, które teraz, obmywane i unoszone przez wodę, wyglądają wśród piany jędrnie i kusząco. Sylwetka Niny należy do tych, o których mówi się, że podobają się mężczyznom, ale duże piersi wymagają porządnego stanika. Claire nosi rozmiar 34B, seksowny model z wypchanymi miseczkami. Ona nie ma problemów z kupnem biustonosza. I zawsze dobiera sobie stringi do kompletu, bo kobiety podobne do Claire tak właśnie chodzą ubrane. Albo nieubrane, zależnie od punktu widzenia. Nina i tak nie nosiłaby stringów, dla zasady. A zasada jest następująca: majtki wkłada się po to, żeby zakryć tyłek, a nie żeby go odsłaniać pod pozorem ubrania.

— Ale wtedy nie widać linii majtek — argumentowała Claire.

— A ja właśnie chcę widzieć linię majtek — upierała się Nina. — I chcę, żeby wszyscy wiedzieli, że mam na sobie majtki. To mi daje poczucie bezpieczeństwa. A już na pewno daje poczucie bezpieczeństwa mojej mamie. Jeśli nie chcesz, żeby było widać linię majtek, to po co w ogóle je nosić? A zresztą, stringi w ogóle nie są wygodne.

— Są sexy.

— Są głupie.

Nie dodała, że za nic nie kupiłaby wosku do okolic bikini, którego użycie, jak się wydaje, jest konieczne do założenia stringów. Kiedyż to kobiety w jej wieku zdecydowały, że depilacja całego ciała z wyjątkiem wąziutkiego pionowego paska to przejaw kultury? Czyżby zbliżanie się do czterdziestki tak na nie działało, że chcą wyglądać na czterolatki?

W sklepie z bielizną Ninę powitała szczupła Afroamerykanka po pięćdziesiątce, z pomarańczowymi włosami i długimi czerwonymi paznokciami, na których widniały ozdobne kalkomanie z motywem złotoczarne motyla. Na nadgarstku miała bransoletkę, z której zwisały podzwaniające kluczyki.

— Dzień dobry. Szukam stanika — wyjaśniła Nina.

— Proszę za mną — kobieta zsunęła bransoletkę na dłoń i zaczęła przeglądać kluczyki, aż znalazła pasujący do drzwi przebieralni.

Otworzyła niewielką kabinę. Wewnątrz na podłodze leżały jakieś metki, na starym drewnianym krześle dwa biustonosze, a na ścianie wisiało lustro, które aż się prosiło o wyczyszczenie.

— Niech pani zdejmie górę.

Nina czekała, aż kobieta zamknie za sobą drzwi, ale ona nie wychodziła. Nina zrobiła więc, co jej kazano. W Town Shopie nie ma miejsca na wstyd.

— Złotko, masz zły rozmiar stanika. Jaki to? 36B? Boże, spójrz na ten odstęp. On źle leży! — Ściągnęła stanik po bokach i na plecach.

— Zawsze nosiłam 36B — powiedziała Nina.

— I zawsze byłeś w błędzie, złotko. Zrzuć to. Coś ci przyniosę.

Nina zdjęła biustonosz i do połowy obnażona czekała cierpliwie na powrót ekspedientki. Ta wróciła po chwili z garścią staników przewieszonych za ramiączka przez rękę, tę samą, na której pobrzękiwała bransoletka.

— Przymierz ten — wyciągnęła czarny, koronkowy, ozdobny, taki, jakich Nina nie znosi. Na chwilę wplątał się w klucze do tego bieliznianego królestwa.

— Nie w moim stylu — stwierdziła Nina. — Może coś prostszego, gładszego.

— W porządku. No to ten.

I wręczyła Ninie zwykły beżowy, delikatny, bez szwów. Kiedy Nina go założyła, kobieta zdjęła klucze z nadgarstka, włożyła je do kieszeni i wsunęła dłonie z tymi wielgachnymi paznokciami za biustonosz po bokach, by wprawnie unieść każdą pierś i wprowadzić ją do miseczki.

— Schyl się.

Nina się schyliła.

— Potrząśnij.

Nina potrząsnęła.

— Teraz stań prosto i popatrzymy.

Nina stanęła.

— No, dziecino, ten leży jak trzeba.

Miała rację.

— Jaki to rozmiar? — zapytała Nina.

— 34C. To twój rozmiar. Może chcesz do tego stringi?

Tak — w pierwszej kwestii. Nie — w drugiej. Nina przymierzyła jeszcze pozostałe biustonosze, wybrała trzy i opuściła sklep, zdumiona, że tak mało wie, szczególnie o samej sobie. Kiedy kończąc trzydzieści pięć lat, odkrywa się, że tyle czasu nosiło się zły rozmiar biustonosza, można dojść tylko do jednego wniosku: że o niczym nie ma się większego pojęcia.

Jedyną rzeczą, o której może coś pewnego powiedzieć, jest ta chwila, w tej łazience, w tej wannie, z tą gąbką. Energicznie pocierała pięty, boki stóp, odciski na palcach. Jej stopy, które sprawiają tyle problemów:

stopy z podbiciem wysokim jak Empire State Building, szerokie jak Atlantyk, tak używane, że aż nadużywane, stopy psiej opiekunki, które w ciągu tego roku dostarczały jej tyluż powodów do wstydu, co bólu.

W ubiegłym miesiącu, podczas wizyty u pediatry przekonała się wyjątkowo dobitnie, jak niewiele wie o czymkolwiek. Oto on: zabójczo przystojny, męski, a jednocześnie delikatny. Wysunął mały lekarski stołek na kółkach i ujął jej stopę w piękne dłonie. Spojrzał na stopę lśnącymi niebieskimi oczami, a po chwili przeniósł spojrzenie na jej twarz. I znowu na stopę. Królewicz odnalazł swojego Kopciuszka, pomyślała Nina. Może właśnie tu i teraz poprosi ją o rękę. Wzięła głęboki oddech i uśmiechnęła się.

Wtedy on popatrzył jej w oczy i powiedział:

— To najklasycniejszy przypadek stopy końsko-szpotawej, jaki zdarzyło mi się widzieć — i posłał jej promienny uśmiech.

Nina wiedziała, że żartuje. Na swój sposób. Poczula się jednak kompletnie upokorzona tym, że myślała to, co myślała. Wciąż jeszcze, po kilku tygodniach, po wydaniu czterystu dolców na skórzane buty ortopedyczne, które mają kształtować jej podbicie i łagodzić ból, myśl o tym, co wtedy sobie ubzdurała, sprawia, że jej twarz rumieni się ze wstydu. Skąd w ogóle przyszło jej do głowy, że te stopy mogłyby w kimś rozbudzić romantyczną miłość? Popatrzyła na nie i stwierdziła, że przydałby im się pedicure. Nawet takie serdelki zasługują na trochę troski. Znowu się roześmiała, przypomniawszy sobie, jak kilka lat temu Michael — jej były mąż i ekspert w dziedzinie kinematografii, wegetarianizmu, liberalizmu i qigong — polecił jej kręgarza na bóle. Może trzeba tylko coś nastawić, mówił, bagatelizując sprawę. Odkładała to i odkładała, znając jego zainteresowanie medycyną alternatywną. Kiedy więc ten tak zwany doktor zalecił jej lewatywę, odparła tylko: „Nie, dziękuję”, a Michaelowi powiedziała: „Co to, to nie. Nie ma mowy”. To jej stopy potrzebowały pomocy, a nie przewód pokarmowy. Później okazało się, że w potrzebie jest też serce.

Zresztą, nie ma ochoty o tym myśleć. Swoją drogą, co jest w kąpielach, że tak nastrajają do refleksji? Złamane serce, chore stopy, nogi, piersi, jej eks, jej przyszły, miłość, seks i lewatywa — to wszystko przebiegło jej przez myśl, kiedy polewając pianę garściami wody, wpatrywała się w ręcznie malowany sufit o barwie miedzi pokrytej patyną. Miała się zrelaksować, oderwać od trosk codziennego życia. I oto leży tu i wariuje. Kąpiel! Moczy się człowiek we własnym brudzie, woda z gorącej staje się letnia, piana zamienia się w cienką warstwę mydlin, a myśli całkiem wymykają się spod kontroli.

A jednak... Odłożyła gąbkę na miejsce i zgarnęła w dłoń resztki piany. Bąbelki jeszcze nie straciły połysku i mieniły się w popołudniowym świetle wpadającym przez małe okno — jedyne w całym mieszkaniu nie wychodzące na Central Park. Potrafiła to docenić, podobnie jak wszystko inne w tej łazience: piękne wiśniowe drewno, kamienne ściany i podłogę, mosiężną armaturę, równowagę między tradycją a nowoczesnością, tym, co twarde i zimne, a tym, co zmysłowe. Chińskie fotografie w odcieniu sepii wiszące w równej linii nad sedesem, bidet. Szczyt luksusu, aż się człowiek zastanawia, po co to wszystko. Nawet Sid, ospały wyżeł weimarski leżący na chłodnej posadzce koło wanny, wygląda jak element dekoracyjny umieszczony tu zgodnie z zasadami feng shui.

Odkręciła kurek i gładząc się po piersiach rozmiaru 34C, brzuchu i niżej, pozwalała przepływającej wodzie muskać te części ciała. Właśnie tak nauczyła się w college'u osiągać orgazm. To były czasy! Miała wtedy czas i ochotę, żeby uczyć się zaspokajać samodzielnie. Dziewiętnastoletni chłopak nie miał serca do

drobiazgów. Gdyby więc sama nie zadbała o siebie, kto by się zatroszczył o jej doznania? A jeśli nie wtedy, to kiedy? Ponieważ Nina do wszystkiego podchodzi sumiennie, również tego zadania podjęła się z oddaniem. I nauczyła się. Teraz poczuła, że dawny trening przyniósł skutek: czuła napływ krwi do kończyn, ból w udach, jej oddech stawał się coraz płytszy, szyja coraz bardziej wyciągnięta, a podbródek unosił się tak, jakby pragnął sięgnąć sufitu.

Myślała o Danielu, do którego należy jej serce. Krótko przycięte jasne włosy, nieregularne rysy i ten szelmowski chłopięcy uśmiech, owłosienie na ramionach, plecach i klatce piersiowej w sam raz, zgrabne dłonie i nogi, idealne pośladki.

Wyobraziła sobie siebie z nim na plaży. Leżą w słońcu, ona czuje na skórze jego ciało — rozgrzane, spocone, słone i lekko chropawe od piasku. Potem w samochodzie: obejmuje ją za szyję i przysuwa do siebie z niecierpliwością. Zobaczyła go w swoim łóżku: całuje ją po brzuchu, przesuwając językiem po udach, a po chwili jest na niej i odnajduje do niej drogę.

Daniel, Daniel, mężczyzna, którego zna bardziej intymnie niż jakiegokolwiek innego faceta w swoim znacznie za długim życiu, mężczyzna, który podnieca ją wciąż na nowo, jak w tej chwili, gdy myśl o nim doprowadziła ją do spełnienia.

A wszystko przez grzebanie w jego rzeczach. Przeglądała jego pocztę, szuflady, szafy, książki, płyty, e-maile, zdjęcia. Jego kieszenie. A nawet, w bardzo rzadkich przypadkach, ze wstydem to przyznaje, jego śmieci. Oczywiście wie, że to coś złego. Naruszenie kodeksu etycznego psychopiekunów: wejść, zabrać psa, wyjść. Skoro jednak uczyniła pierwszy krok w głąb tego zakazanego korytarza, skoro zajrzała po raz pierwszy do zakazanej szafki kuchennej, otworzyła zakazaną szufladę, nie było już odwrotu. Kiedy to po raz pierwszy pozwoliła sobie na węszenie po domu? Pamięta, jak w dzieciństwie dorabiała sobie jako opiekunka. Już wtedy nie wiadomo po co szperała w cudzych rzeczach. A gdy znalazła coś, czego nie powinna — ukrytą biżuterię, krążek dopochwowy, sztuczny penis, świerszczyk — czuła satysfakcję zmieszaną ze wstydem. I mimo wszystko nie potrafiła przestać.

Bo i co miałyby ją powstrzymać? Żarłok patrzy na tłuszciocha i myśli, że równie dobrze to mógłby być on. Ktoś, kto często wychyla o jednego za dużo, potrafi się wczuć w rolę alkoholika: tylko dzięki łasce losu sam nie jest na jego miejscu. Rozpoznajemy siebie w innych, którzy przekroczyli granicę, bo wiemy, jak łatwo nam samym byłoby ją przekroczyć. Jednak w dziedzinie „węszenia” Nina z łatwością wyszła poza znany sobie teren i zanurzyła się w rejony zupełnie obce. Bo bez żadnego kontekstu, bez odniesienia do czegokolwiek, bez możliwości porównania granice są niewyraźne, słabo wyczuwalne. Wszystko sprowadza się do tego, jak sprawnie działa nasza wewnętrzna busola. Czy pole magnetyczne kuli ziemskiej jest na tyle silne, aby utrzymać człowieka na drodze na północ, gdy ma on ochotę skrócić na wschód? Jak dużym wykroczeniem będzie pójście na wschód, jeśli zrobi to tylko raz? Albo dwa? Zostanie zgubiony z powodu zwykłego zejścia z utartego szlaku, do sypialni czy łazienki, na chwilę albo dwie?

Do tego dochodzi kwestia braku dobrych obyczajów. Nina spotyka się z tym codziennie niemal w każdym domu, do którego wchodzi. Psy zaniedbywane, psy traktowane lepiej niż dzieci, psy traktowane gorzej niż, no właśnie, zwierzęta. To doprowadziło ją do swoistego relatywizmu. Jak mierzyć swe zepsucie, skoro tak wiele można zarzucić właścicielom psów? Czy dewiacje innych mogą być usprawiedliwieniem naszych

własnych? Zanurzona w wodzie Nina ni stąd, ni zowąd pomyślała, że może staje się gorsza od tych wszystkich szajbusów, którym wyprowadza psy.

Wtedy usłyszała trzask frontowych drzwi. O Boże — pomyślała. Usiadła tak gwałtownie, że pod wpływem ciężaru ciała woda rozkołysała się mocno w przód i w tył i niemal przelała poza krawędź wanny. Nina próbowała uspokoić tę burzę, poklepując nerwowo powierzchnię wody. Pies zaczął tłuc ogonem w posadzkę. A więc on też to usłyszał.

— Cicho, Sid — szepnęła Nina.

Wyciągnęła korek i wstała. Zdjęła ręcznik z wieszaka i przyłożyła ucho do ściany, jakby to miało jej pomóc przeniknąć słuchem przez mur, sypialnię pracodawcy i w dół aż do przedpokoju. Pies zaczął łazić tam i z powrotem. Od wanny do ściany, od ściany do wanny, stuk, stuk, stukał pazurami po kamiennej posadzce. Mijając drzwi, zadzierał głowę, jakby nasłuchiwał, co się tam dzieje, i skomlał — jakby błagał o pomoc.

— Ciiii, Sid, przestań, błagam. Zostań. Siad, na miłość boską — Nina złapała swoje ciuchy i zaczęła się ubierać.

Usłyszała brzęk kluczy rzuconych na stolik przy wejściu. Kroki w przedpokoju.

Kurde, pomyślała, która to godzina? Sięgnęła po swój zegarek leżący na umywalce i zobaczyła, że dochodzi piąta. Boże! Ale się zasiedziała! Serce waliło jej tak głośno, że była pewna, iż słysząc je na odległość.

Teraz docierały do niej dźwięki otwieranej i zamykanej szuflady. Słyszała monety rzucone na komodę. Włączanie komputera.

Jest w sypialni!

Sid zaczynał już szaleć. Nerwowo skrobał w drzwi. Nina skoczyła na niego, jedną ręką chwyciła go od tyłu pod przednie łapy tak, by nie mógł się ruszać, a drugą mocno ujęła pysk, by nie mógł go otworzyć. Wyglądali jak zapaśnicy na macie. Zwierzę wciąż skomlało cicho, a ona nic więcej nie mogła zrobić — chyba tylko się modlić i mieć nadzieję, że masywne drzwi z wiśniowego drewna stłumią wszelkie dźwięki. Wydawało się to wszakże mało prawdopodobne, bo przecież odgłosy z zewnątrz docierały do łazienki bez przeszkód.

Ktoś siedzi na łóżku, stuka butami o podłogę. Nina słyszy szelest ubrań. Kroki. Stuk, stuk, stuk, stukanie po klawiaturze.

Skowyt Sida.

Na pewno doszło to do Daniela, bo nagle przestał pisać. Nina słyszała własny oddech, gdy wsłuchiwała się w tę ciszę.

— Sid? — zapytał Daniel.

Stuk, stuk. I cisza.

— Hej, gdzie mój piesek? — krzyknął Daniel. — Sid! Siddhartha!

Wtedy ten cholerny pies jak się zerwie, jak nie zacznie skomleć i drapać po podłodze, usiłując wyrwać się z uścisku Niny.

— Sid, proszę, nie... — błagała Nina.

— Sid, jesteś tam? — Daniel był już przy drzwiach łazienki.

O Boże, pomyślała Nina. To w taki sposób mamy się poznać?

— Proszę — szepnęła. I w chwili, kiedy uchyliła drzwi, żeby wypuścić Sida, te otworzyły się na oścież, pchnięte z drugiej strony.

— Kto... kim pani jest?

— Dzień dobry.

Wyglądał bosko w bokserkach, a może tak jej się zdawało, bo nigdy wcześniej nie widziała go na żywo, z bliska, a teraz nagle stanął przed nią namacalny, prawdziwy, z krwi i kości.

— Czy ja panią znam?

— Właśnie wychodziłam — powiedziała.

— Pani... Nina?

— Było strasznie gorąco, wypilałam tyle wody, że musiałam skorzystać z toalety. Chyba... mam nadzieję, że to panu nie przeszkadza?

Widziała, że ją obserwuje, i myślała tylko o tym, czy z włosów nie kapie jej woda, czy nie zapomniała wciągnąć szortów i poprawić podkoszulka, no i czy ma suchą twarz.

Wyciągnęła do niego rękę.

— Miło mi — powiedziała i podniosła plecak.

Daniel patrzył na nią z niedowierzaniem. Jego oczy były dużo ciemniejsze, niż myślała. To były oczy, których spojrzenie powodowało, że miękły jej kolana, oczy tak podkrążone, że wyglądały na zmęczone, zniechęcone, jakby widziały więcej, niż ich właściciel gotów jest wyjawić.

— No, chyba nie. Ale jest też toaleta przy wejściu. Dla gości. Tak na przyszłość. Dobrze?

Jego włosy były jaśniejsze niż na zdjęciach. Ramiona szersze. Miała wrażenie, że zdjęcia poważnie zubożały prawdziwy jego obraz. Stojący przed nią człowiek był pełen życia, wielki, o zdecydowanych barwach, wyrazisty. Miał bliznę na podbródku. Gdy się uśmiechał, na jego lewym policzku pojawiał się dołek.

— Oczywiście. Dobrze. Przepraszam... ja tylko... — i przemknęła obok niego, z lubością wciągając w nozdrza jego woń. Obrzuciła wzrokiem łóżko z pomietą pikowaną narzutą, na której przed chwilą siedział. Chciałabym być tą narzutą — pomyślała.

Daniel podniósł rękę.

— Pani włosy — wyciągnął dłoń i palcami, których smukłość nie umknęła jej uwagi, ujął kilka mokrych kosmyków.

Nina roześmiała się.

— No tak. Wilgotność powietrza — westchnęła. — Tak się odbija na moich włosach.

Patrzył na nią z uwagą, podejrzliwie. Wytrzymała to spojrzenie, starając się chwilę nie odwracać wzroku, a potem potrząsnęła głową i spojrzała na zegarek.

— Ja cię... No, już muszę lecieć — powiedziała. I jeszcze raz obrzuciwszy przeciągłym spojrzeniem jego twarz, bliznę, oczy, usta i to miejsce, w którym szyja łączy się z barkami, dodała:

— Kocham... pańskiego psa.

Nim zdążył odpowiedzieć, odwróciła się, przeszła przez sypialnię i dotarła do przedpokoju. Dopiero wtedy Daniel zauważył ręcznik na podłodze.

— Hej, Nino! — krzyknął.

Drzwi jednak już się za nią zamknęły. Nina była na zewnątrz. Nie musiała czekać na windę i gdy tylko znalazła się w foyer, biegiem rzuciła się między perskie dywany, zabytkowe fotele i krzesła, pod wytwornymi żyrandolami, w stronę osiemdziesięcioparoletniego portiera.

— Pete, co się stało?

— Nie miałem czasu — odparł.

— O Boże, Pete.

— Pani Gold wносиła jakieś pakunki, akurat był listonosz, a jeszcze te bliźniaki Butlerów wspinały się na... przepraszam. Wiesz, że zrobiłbym dla ciebie wszystko.

Nina uśmiechnęła się.

— Dla mnie? Czy dla tego? — pogrzebała w plecaku i wręczyła Pete'owi paczkę orzeszków ziemnych w czekoladzie, jak codziennie w ciągu tego miesiąca, gdy wyprowadzała Siddharthę i spędzała na górze trochę więcej czasu, niż powinna.

— No to do jutra?

— Ale następnym razem już nie tak długo.

— Wiem.

Odetchnęła z ulgą, kiedy znalazła się na ulicy. Na niebie kolor jasnej pomarańczy przeplatał się z fioletem — słońce już zaczynało zbliżać się do linii horyzontu, ustępując miejsca ciemności, która miała okryć cały ten niezwykły dzień. Ufff, mało brakowało — pomyślała Nina — ale warto było.

2

Kiedy Nina dotarła do swojego mieszkania, serce waliło jej tak mocno, jakby za chwilę miało wyskoczyć z piersi. Trochę dlatego, że przed chwilą stała twarzą w twarz z Danielem, że omal nie została przyłapana na kąpiel w jego wannie, że może przez własną głupotę straciła go na zawsze, ale przede wszystkim dlatego, że mieszka na najwyższym piętrze pięciokondygnacyjnego budynku bez windy. Każde wejście jest dla niej prawdziwą mordęgą, niezależnie od tego, jak często to robi i w jakiej jest formie.

Sam, najukochańsza psina na świecie, wskoczył na nią, jak tylko przekroczyła próg. Podrapała go po głowie, pogłaskała po pysku i ucałowała. On ją w podzięcie polizał. Nie odstępował jej na krok, kiedy rzucała na stół plecak, klucze i dopiero co odebraną na dole pocztę, a potem otwierała lodówkę i nalewała sobie kieliszek wina. Białe, mocno schłodzone — każde, byle nie chardonnay, które jest tak gęste i słodkie, że aż się klei do zębów.

Pies siedział, dysząc i czekając na jej kolejny ruch, podczas gdy ona z kieliszkiem w ręku włączyła *South Pacific* w oryginalnej obsadzie z Broadwayu. Owszem, czasem bywa cyniczna, potrafi też być obcesowa, kiedy traci do ludzi cierpliwość, co zdarza się jej często. Zawsze jednak była romantyczna i choć wie, że to staroświeckie kochać stare broadwayowskie musicale — takich wielkich jak Radgers i Hammerstein, Lerner i Loewe, nawet Sondheim, byle nie ckiwią tandetę Andrew Lloyda Webera — to nic na tę miłość nie może poradzić. Ta muzyka do niej przemawia, wzrusza ją, wyciska łzy (to akurat nic nadzwyczajnego, bo Nina

potrafi się rozkleić nawet przy reklamie telewizyjnej). Za każdym razem czuje ciarki na ciele, słuchając, jak Ezio Pinza śpiewa *Some Enchanted Evening*.

Wreszcie usiadła przy biurku pełniącym też funkcję stołu i blatu roboczego, pośrodku swego mieszkania i włączyła lampę fluorescencyjną ze szkłem powiększającym, której światło ujawnia najdrobniejsze szczegóły. Właśnie tutaj pracuje godzinami dzień w dzień — jeśli akurat nie wyprowadza psów, nie jest na randce albo na kawie z przyjaciółką, albo nie przyjdzie jej do głowy jakiś durny pomysł z kąpielą — nad tymi żalonymi kompozycjami (nazywa je tak, żeby uniknąć słowa „rzeźby”, które w tym wypadku wydaje się jej zbyt pretensjonalne), budowanymi z tego, co znajdzie na ulicach Nowego Jorku. Wykorzystuje do tego maleńkie przedmioty, im mniejsze, tym lepiej. Najlepsze są koraliki — zawsze mają dziurki. Dobre są też małe guziki, kawałki szkła, plastiku, nadają się nawet kamienie, jeśli tylko można je przewiercić specjalnym wiertłem z hartowanej stali i widii. Do szkła nadaje się tylko rozmiar 1,32 cala, o czym Nina przekonała się w dość bolesny sposób (draśnięty odłamkiem szkła policzek goił się jej przez dwa tygodnie). Nawleka to wszystko na drut, który wygina, skręca i supła, uzyskując w ten sposób konstrukcje sięgające nawet 2,40 metra (wysokość jej mieszkania), złożone z tysięcy popękanych, pociętych drobnych znaleźsk. Dwa z tych arcydzieł wisiały w pobliżu stołu (trzeba je będzie włożyć do szafy, żeby zrobić miejsce na następne). Wyglądały jak zwariowane abstrakcje Caldera albo dziwaczne wyroby wykonywane przez chorych umysłowo, które widziała na Targach Sztuki Alternatywnej w Puck Building w Soho. Więźniowie i pacjenci szpitali psychiatrycznych sprzedawali tam swoje dzieła za tysiące dolarów.

— Może kiedyś — westchnęła, wybierając koralik z czerwonego pudełka na stole i nawlekając go na jedyny drut, jaki pozostał jej do zapelnienia w tej kompozycji. To jest, sprzeda swe dzieło, a nie pójdzie do więzienia. Ani do wariatkowa.

Ten pokój, sypialnia, w której ledwie starcza miejsca na łóżko, małe kuchnia i łazienka — to całe jej mieszkanie. Ale ma jeszcze coś: taras o powierzchni sześćdziesięciu siedmiu metrów kwadratowych. Z widokiem na park. To on, obok starego Sama, trzyma ją przy życiu. I przy zdrowych zmysłach. W każdym razie można to tak ująć.

Zdobycie tego mieszkania z cudownym tarasem to wynik połączenia niezwyklego splotu wydarzeń i pomocy pewnego sprytnego gliniarza. Krótko mówiąc, zaraz po rozwodzie Nina mieszkała niżej, a jej obecne lokum zajmował facet, na którego raz czy dwa natknęła się w windzie. Zawsze ubrany na czarno, pokryty tatuażami z gatunku tych przerażających, przywodzących na myśl czarną magię, z ćwiekami w uszach, brwiach, wargach i Bóg raczy wiedzieć, gdzie jeszcze, co wieczór puszczał *Sympathy for the Devil* Stonesów tak głośno, że u niej aż ściany się trzęsły. Łomot basów nastawionych na najwyższy poziom sprawiał, że Sama ogarniał jakiś niepojęty szal — biedne psisko kręciło się w kółko, goniąc własny ogon — a Nina leżała w łóżku, wgapiając się w sufit, tak wystraszona, że aż bała się poruszyć. Do chwili, gdy zmęczenie brało górę nad strachem. Wtedy zaczynała stukać kijem od szczotki w sufit i skarżyć się dozorczy i właścicielowi. Diabeł jednak wciąż puszczał swoją płytę.

Dlatego pewnej nocy, jakiś miesiąc po tym, jak to się zaczęło, kiedy Nina знаła już całą piosenkę na pamięć na wrywki i potrafiła ją śpiewać równocześnie z Mickiem (śledząc oczyma wyobraźni ruchy jego warg — ach, co to za usta!), wstała, poszła na górę i zapukała do drzwi siedziby szatana.

— Niech mi będzie wolno się przedstawić.

Cisza. Bo i jakim sposobem miałby ją usłyszeć, nawet gdyby chciał? Wróciła do siebie i napisała krótką wiadomość:

„Drogi Panie Sąsiedzie,

Taka głośna muzyka jest bardzo uciążliwa dla otoczenia. Nie mogę spać i chociaż wiele razy prosiłam Pana o jej ściszenie, nie okazał Pan zrozumienia. Bardzo, bardzo proszę o ściszenie muzyki, bo inaczej będę zmuszona wezwać policję.

Sąsiadka z dołu".

Zaniosła kartkę na górę i wsunęła pod jego drzwi. Niecałe pięć minut później otrzymała następującą odpowiedź:

„Droga Samico,

Szatan nie śpi. Śmierć niewiernym. Myślisz, że zostaniesz oszczędzona? Myślisz, że Szatan cię nie zna? Lepiej mi nie podskakuj.

Wysłannik Szatana".

Zadzwoiła na policję. Znaleźli w jego lodówce dwie uncje haszyszu i aresztowali go. Nina zajęła jego mieszkanie. Pomógł jej w tym jeden gliniarz — przystojniaczek z jędrnym tyłkiem i wąsami, na które chwilowo przymknęła oko, bo przecież był glina, więc skąd miał wiedzieć, co słuszne, a co nie? Musiała jeszcze zapłacić pięć patyków właścicielowi. Przystojny glina całował ją we wgłębienia pod kolanami, po wewnętrznej stronie łokci, kochał się z nią na nowym tarasie, aż w końcu zaczęła mu przeszkadzać jej odmowa angażowania się w stały związek. Rozmawiania z nim. Dla Niny był to idealny układ porozwodowy — na jej gruncie, na jej warunkach: żadnych rozmów, dużo seksu. I od początku wiedziała, że w chwili, kiedy zaczną się liczyć wąsy, nastanie koniec. Aż dziw, że to trwało dwa miesiące.

Zawiązała węzeł na drucie, wstała i zrobiła krok w tył, żeby ocenić swoje dzieło. No... to prawie to — pomyślała. Nazwie to *Spacerując z psami*, bo właśnie w ten sposób zdobyła większość surowców. Tak, teraz jest świetnie. Wyłączyła lampkę, podniosła kieliszek z winem i ruszyła w stronę tarasu. Sam maszerował przy jej nodze, ale im bardziej zbliżali się do szklanych drzwi, tym trudniej było mu zachować spokój. Wreszcie odepchnął Ninę i omal jej nie przeskoczył, gwałtownym susem wydostając się na zewnątrz. Na ciemnym niebie nie było ani jednej gwiazdy. Patrząc jednak na jasno oświetlony nowojorski horyzont, Nina miała wrażenie, że spogląda na Drogę Mleczną. Rozpierała ją muzyka. „Jesteś młodsza niż wiosna". Opadła na stary drewniany fotel, rozpadający się od wieloletniego kontaktu ze słońcem, deszczem i śniegiem. Od dawna nosiła się z zamiarem kupienia nowych mebli na taras, ale tej nocy to zupełnie nie miało znaczenia. Rozejrzała się. Ogarnęło ją identyczne podniecenie jak wtedy, kiedy zobaczyła to miejsce po raz pierwszy. Ile szczęścia może się trafić zwykłej dziewczynie? Nieważne, że ma obsesję na punkcie obcego faceta, dla którego jest tylko zwariowaną psią opiekunką (w czym zresztą — trzeba mu przyznać — ma rację). Na co liczyła, przedłużając

swój pobyt u niego aż do spotkania? Właściwie nie było żadnego spotkania. Po prostu się zasiedziała i tyle. No więc, jej mieszkanie jest wielkości i kształtu pudełka po butach. Nie ma chłopaka, żadnych widoków na seks i pewnie tak już zostanie, po tym jak zniszczyła wszelkie szanse na coś, co mogłoby zaistnieć między nią a Danielem, mężczyzną jej marzeń, „aniołem i kochankiem, niebem i ziemią, tym jestem przy tobie”, właśnie tak. W rzeczywistości ma tylko to, ten kawałek przestrzeni, to niebo, ten widok, tego psa, ten kieliszek wina.

Żyjesz tu i teraz — powtarzała sobie dziesięć razy dziennie, dzień po dniu. — Tu i teraz. Nie działało.

Wstała, budząc Sama z drzemki, i jeszcze raz popatrzyła na wschód, za park, na światła luksusowych apartamentów na Piątej Alei i dalej aż po most. Zastanawiała się, jakie to imprezy odbywają się w tej chwili w tym ogromnym i wspaniałym mieście. Co wieczór — myślała — ktoś gdzieś urządza imprezę, ktoś gdzieś świetnie się bawi. Pyszne jedzenie, dobra muzyka, stłumione światło. Toczą się ożywione rozmowy przeplatane dowcipnymi uwagami i błyskotliwymi spostrzeżeniami. Ludzie zawierają znajomości i przyjaźnie, popisują się tym, co wiedzą o Bliskim Wschodzie, o najnowszym odkryciu innego układu słonecznego, o wystawie Schnabla w Muzeum Whitney. Rozmawiają o pobycie w Hiszpanii, o seksie. Śmieją się, spierają, tworzą nowe układy i umacniają stare przyjaźnie.

Nina nie była na takim przyjęciu od lat. Albo i dłużej. I nie zna nikogo, kto by je wydawał. Chyba że jej nie zapraszają.

Te imprezy, na które nie jest zapraszana, stanowią kwintesencję wszystkich jej pragnień, wszystkiego, czego brak tak jej doskwiera: kogoś, kogo by kochała i kto by ją kochał i doceniał. Inni obok niej żyją pełnią życia dzięki temu, że kochają i są kochani.

Westchnęła głęboko i wróciła do mieszkania. Zdjęła ubranie, założyła luźny podkoszulek z emblematem Uniwersytetu Kalifornijskiego, który przysłała jej Claire, wyczyściła zęby, najpierw szczoteczką, potem nitką, a następnie umyła i nawilżyła kremem twarz. Robiła to co wieczór, chociaż wiedziała, że to i tak niczego nie zmieni, że przyszłość jej twarzy — zmarszczki, bruzdy i cała reszta — zależy od genetyki, pogody, a także tego, jak się uśmiecha. Wreszcie wsunęła się pod kołdrę.

Jakoś nie mogła znaleźć sobie wygodnej pozycji. Czyżby to miała być jedna z tych nocy? Sam leżał jak zwykle w nogach łóżka, tam, gdzie powinny znajdować się jej stopy, przez co musiała układać się po skosie. W głowie przewijały się jej najróżniejsze listy: od listy zakupów przez listę spraw do załatwienia, miejsc, w które chciałaby się wybrać, po mężczyzn, z którymi spała.

To była lista, którą lubiła sporządzać, ponieważ za każdym razem liczba pozycji była inna. Nina zawsze miała jakieś imię na końcu języka, jakieś przeżycie na myśli, albo — to dopiero żenujące! — pustkę w głowie, bo całkiem o kimś zapomniała. Oczywiście, o niektórych rzeczach chce się zapomnieć. Jak o tym profesorze nauk politycznych w Columbii, którego poznała podczas zbiórki funduszy na partię demokratyczną. Powiedział, że zostawił w domu portfel, więc pojechali do niego. On usadził ją na kanapie i poszedł do sypialni szukać zguby. Po chwili wrócił całkiem nagi. A ona, z tą swoją głupią uległością, roześmiała się — kompletna idiotka! — i poszła z nim do łóżka. Tylko po to, aby się później dowiedzieć, że nabrał już na ten numer inne, jak się wyraził, „naiwne demokratyczne kociaki”. Akurat wczoraj natknęła się na jego artykuł w „New York Timesie”, w którym zachwalał kandydata do Sądu Najwyższego wysuwanego przez konserwatystów i jednocześnie usprawiedliwiał własne przejście na prawo. A dwa dni wcześniej, patrząc na Kinga, któremu

przydałby się ritalin w wersji dla psów (gdyby istniał), jak usiłował dobrać się do Sadie, suczki rasy basset, której uszy albo wloką się po ziemi, albo powiewają na wietrze niczym żagle, ni stąd, ni zowąd przypomniła sobie twarz i imię: Dick — dentysta, wcześniej trzy razy żonaty, za każdym razem z dentystką. To właśnie przykład kogoś, kto całkiem wywietrzył jej z pamięci, aż do chwili, kiedy nie wiedzieć czemu, nagle o nim pomyślała. Nie potrafiła stwierdzić, dlaczego przyszedł jej do głowy akurat teraz. Może przez upodobanie do takiej samej pozycji? — ciężko powiedzieć.

Nigdy natomiast nie zapomniała, nawet na chwilę, ani jednego szczegółu ze swojego związku z jedynym — poza byłym mężem — mężczyzną, o którym myślała, że jest w nim zakochana. To było w college'u. Trwało sześć tygodni. Nazywał się Jack Schreiber i był malarzem, do tego o niezwykle intrygującej osobowości. Romans był gorący, intensywny, namiętny. Mnóstwo seksu i marihuany, mnóstwo filozofowania, śmiechu i marzeń, i ta świadomość, że wpadła po uszy. A potem nagle któreś nocy zaczął unikać jej wzroku, odwracał głowę, gdy do niego mówiła, i w końcu wrócił do swojej dziewczyny, a Nina do samotności. To był koniec. Jak coś tak pięknego i namiętnego mogło się skończyć tak nagle i bezpowrotnie? Jak to możliwe, żeby romantyczne spotkania i pocałunki w wąskiej uliczce urwały się tak gwałtownie? Jakby zupełnie nie istniała siła bezwładności? Jakby Ziemia mogła zatrzymać swój ruch w jednej chwili, niespodziewanie, bez żadnej zewnętrznej siły powodującej zwolnienie biegu i umożliwiającej mieszkańcom przygotowanie się na koniec.

Dopiero Claire uświadomiła jej prawdę: przecież nikt nie twierdzi, że najgorętsze czy nawet najgłębsze związki mają trwać wiecznie.

Zaraz, zaraz... co to znaczy, u diabła — myślała Nina, siadając na łóżku i zrzucając z siebie pościel. Sam podniósł łeb, popatrzył na nią i ponownie ułożył się do snu. Teoria Claire to całkowite zaprzeczenie wszystkiego — wprawdzie nie jest tego wiele — co Nina wie o miłości. Bo czym jest miłość, jeśli nie głębokim uczuciem? Nina zaznała już powierzchownych związków. Chociażby z eksmężem. Ich wspólne życie składało się z premier filmowych, proszonych kolacji, dyskusji o polityce, sztuce, książkach i muzyce oraz o wadach i zaletach spożywania surowego tempeh. Michael robił wszystko z pasją, zwłaszcza gdy w grę wchodziły jego własne interesy. Był do tego niezwykle inteligentny. Tak twierdził. Uczuciowych więzi jednak między nimi nie było. On prawie jej nie dostrzegał, jakby potwierdzenie jej istnienia uwłączało jego umysłowym zdolnościom. Ich życie seksualne było podręcznikowe, dosłownie, sprawdzał bowiem zawsze w poradnikach, czy zasługuje na najlepszą ocenę. Cały ten związek okazał się tak głęboki jak, nie przymierzając, kałuża. Mimo to uważała, że go kocha, a powody tego przekonania nie były całkiem bezsensowne: kochała jego umysł, jego ciekawość i to, co sobą reprezentował — był filmowcem! artystą! intelektualistą! nieźle wyglądającym, o nietuzinkowym stylu życia. A jednak nie było między nimi więzi — tego czegoś, co uważa się za oczywiste, gdy jest, i bez czego nie da się żyć, gdy tego brak.

Miłość — jak w piosenkach, jak to uczucie, które Maria wyznaje Tony'emu w *West Side Story*: „Tylko ty, tylko ciebie widzą moje oczy”, coś górnolotnego, magicznego, niewytłumaczalnego, coś, co pochodzi gdzieś z głębi duszy — to jest wszystko, czego Nina pragnie.

Przynajmniej nie jest aż tak zdesperowana, jak wiele samotnych kobiet w jej wieku. Była już mężatką. Ma to za sobą. Nie musi się czuć zażenowana tym, że nikt nie kochał jej — choćby na swój sposób — na tyle,

żeby się zdecydować na taki poważny krok. A jej samotność nie należy do rodzaju „nienawidzę samotności”. To raczej rozżalenie, że być może miłość, o jakiej marzy, nie jest jej pisana.

W końcu Nina zasnęła i przyśnił się jej jeden z tych „snów drogi”, w których nie wiadomo dokąd zmierza — wokół tłum ludzi, ona się spieszy i ma nieodparte wrażenie, że coś ważnego pozostawiła na peronie.

3

Dokładnie w chwili, gdy Nina zasnęła, jakiś mężczyzna z Wilton w stanie Connecticut otwierał pępkiem kolejną butelkę piwa, a William Francis Maguire, dla rodziny i przyjaciół Billy, oraz jego pies Sid oglądali to w programie *Głupie numery* w paśmie Lettermana, utwierdzając się w przekonaniu, że Connecticut to stan najbardziej przereklamowany ze wszystkich. W knajpach windują tam ceny, jak tylko się da, co może odpowiada niektórym, ale kiedy Billy wyjeżdża na weekend, a to zdarza mu się niezmiernie rzadko, ostatnią rzeczą, jakiej pragnie, jest odbywanie pogawędek przy śniadaniu z japiszonami z Bostonu. Sielski urok wiosek dawno już zniknął, wyparty przez sklepiki z ludowym rękodziełem, w których handluje się świecami, przyciskami do papieru i brzydkimi gryzącymi rękawicami wyrabianymi na ręcznych krosnach. Ani słynne kryte mosty, ani historyczne miejsca związane z wojną o niepodległość nie przebijają spaceru cichą uliczką w Greenwich Village. Zresztą w każdym północno-wschodnim stanie można podziwiać gamę barw jesiennych liści. Poza tym, czy ci ludzie nie mają nic lepszego do roboty niż ćwiczyć takie bezsensowne umiejętności? Ile razy poprzedni facet, też z Connecticut, który pił mleko i wylewał je oczami, ćwiczył ten numer, nim doprowadził go do perfekcji? Jeden raz to niesmaczne. Ale powtarzanie tego w kółko to już zwykła głupota. Scenarzyści Lettermana powinni zatytułować ten cykl „Głupole z Connecticut”. No tak, ale co innego można oglądać o tej porze? Właśnie leci Leno — odpowiednik tego, czym w gastronomii jest fast food — i na kanale historycznym kolejny film o bitwach powietrznych drugiej wojny światowej. Wszystko, tylko nie druga wojna, która, od kiedy Spielberg uczynił ją tak modną, zdążyła się Billy'emu znudzić.

Tego akurat wieczoru i tak nie miało znaczenia, co z Sidem oglądają, bo Billy krążył myślami zupełnie gdzie indziej. Miał za sobą ciężki dzień i był w kiepskim humorze. Szef znowu pytał zrzędliwie, ile już trwa rozpracowywanie Constance Chandler. Jak to ile? Całe dziesięć dni. Właśnie tyle. Czy Billy mógłby przejąć inicjatywę i osobiście sprawdzić, co się tam dzieje? Przecież po to go sprowadzili. Jest najlepszym — najbardziej cenionym agentem urzędu skarbowego w regionie północnoatlantyckim. Nikt w całym urzędzie nie rozwiązał tylu spraw ani nie ściągnął takich pieniędzy. Billy, w pracy William, przekonywał jednak, że to wymaga jeszcze przygotowania, że on ma własne metody, własne wyczucie czasu i według niego jeszcze jest za wcześnie. Zgadzał się z tymi — a było ich wielu — którzy przed nim twierdzili, że coś tu jest na rzeczy i w grę wchodzi setki tysięcy, a może miliony. Co dokładnie, jak i ile — tego nie wiedział. W takich sprawach trzeba być bardzo ostrożnym, bo przecież wszystkie dowody łatwo jest w jednej chwili ukryć, wydać, czy też wyprać w banku. Oczywiście, nie potrzebuje martwić się na zapas. Ma plan i wyznaczony termin. Plan: cóż, będzie improwizował. Termin: miesiąc albo dwa. W każdym razie oba są jego i nie ma zamiaru ich nikomu wyjaśniać ani przed nikim się tłumaczyć, na pewno nie po dziesięciu latach łapania drani i ściągnięcia do kraju,

sam nie wie dokładnie, ile, ale chyba miliardów dolarów. Ta robota sama w sobie jest trudna, nawet bez przełożonych.

I co w tym wszystkim robi ta psia opiekunka, Nina? Po co wysiaduje w jego — albo raczej w tej — łazience? Czy to możliwe, że brała kąpiel? Z autopsji wie, że ludzie bywają, delikatnie mówiąc, dziwni. Ale kąpać się w cudzym mieszkaniu, nie będąc zaproszonym — no, to już graniczy z jakąś manią. Przypomniał sobie, że jej włosy były tak mokre, iż jedna samotna kropla płynęła jej po twarzy z brwi do kącika ust — a ona uparcie ją ignorowała, jakby nie chciała przyjąć do wiadomości faktu jej istnienia, i wreszcie zupełnie bezwiednie sięgnęła do niej językiem. Trzeba przyznać, że wyglądała przy tym uroczo, taka zmieszana.

Tak, da jej jeszcze jedną szansę, bo nie chciałby zatrudniać nowej opiekunki do psa. Spojrzał na Sida, który wgapił się w telewizor, jakby rozumiał kawały, co zresztą było możliwe. Postanowił, że ustali z Niną konkretne zasady i może da Pete'owi dychę, aby miał ją na oku, a może nawet, aby mierzył jej czas. Od chwili wejścia do budynku powinno jej wystarczyć pięć minut, żeby wjechać na górę, zabrać psa, zjechać na dół i wyjść. I to licząc z zapasem, przy założeniu, że winda może być na górze, gdy ona będzie na dole, lub odwrotnie. Pocierał koniuszkiem prawego palca wskazującego wewnętrzną stronę lewej dłoni, jakby zgniatał owada, a lewą dłonią kiwał przy tym na boki, tam i z powrotem, jakby machał komuś na powitanie. Takiej metody zapamiętywania nauczył go brat, Daniel, i pewnie jest to jedyna rzecz, jaką zawdzięcza temu pajacowi. Tym razem Billy usiłował zanotować w pamięci, że ma zmierzyć czas od wejścia do wyjścia, porozmawiać z Pete'em i ostro rozmówić się z Niną.

Gwoli sprawiedliwości musi przyznać, że nie byłby tak blisko przyszpilenia pani Chandler, gdyby Daniel nie udostępnił mu swojego mieszkania, przypadkiem położonego naprzeciwko mieszkania podejrzanej. Tylko na dwa miesiące, żeby Billy był bliżej swojej ofiary. Nie spodziewał się, że tak łatwo będzie namówić brata do zamiany, ale Daniel właśnie szykował się na „zażycie wywczasu”, jak się wyraził, więc zamiast zamieszkać w klitce Billy'ego na West 49 ulicy, pojechał na dwa miesiące na górską wyprawę do Nepalu. Tak oto jednego wieczoru Daniel z plecakiem opuścił swój apartament, a kilka godzin później pojawił się w nim Billy z torbą podróżną, laptopem i czarną walizką. Portier nawet nie mrugnął.

To, że Daniel i Billy są bliźniakami, okazało się bardzo pomocne. Nikt nie zauważył ich zamiany. Ani portier, ani ta zwariowana psia opiekunka, dosłownie nikt. Są jednojajowi, identyczni. Chociaż nie do końca. Należą do tych dwudziestu pięciu procent identycznych bliźniąt, które są swoim lustrzanym odbiciem. Spiralne „gniazdko” we włosach na głowie Daniela usadowiło się bardziej po lewej, u Billy'ego — po prawej, Daniel ma mocniej wygięty łuk prawej brwi niż lewej, a Billy odwrotnie, w dzieciństwie Billy cierpiał na przodozgrzyz górny po lewej, a Daniel po prawej, i ortodonta musiał im dopasowywać inne aparaty, co wprowadzało dodatkowy zamęt.

Wszystkie te różnice w wyglądzie są ledwo dostrzegalne, w przeciwieństwie do różnic osobowości. Odkąd skończyli mniej więcej dwanaście lat, stanowią swoje przeciwieństwa. Billy całe życie zgadzał się z przekonaniem rodziny, że Daniel to typ przywódcy, zwycięzca, gwiazda, a on, Billy, jest i zawsze będzie numerem drugim. W końcu urodził się jako drugi, dziecko B — jak oznakowano go w szpitalu — bo Daniel, ułożony niżej w brzuchu matki, oczywiście urodził się pierwszy. Daniel w okresie prenatalnym zajmował więcej miejsca i Billy musiał spędzić owe dziewięć miesięcy ściśnięty, jak sardynka w puszcze, w ciasnej

przestrzeni pod żebrami mamy. Oszołomiony, zdezorientowany, niespokojny, Billy przyszedł na świat śladami brata i zawsze już miał pozostawać w jego cieniu.

Daniel we wszystkim był najlepszy — w nauce i w sporcie, towarzyski, zawsze otoczony przyjaciółmi. Od najmłodszych lat Billy uczył się ustępować Danielowi we wszystkim, czy to były biegi, gra planszowa czy konkurs ortograficzny. Usuwał się w cień, nawet gdy Daniel opowiadał kawały, zabawiał gości, odgrywał rolę duszy towarzystwa. W przeciwnym wypadku Daniel by się złościł. A Billy uważał, że skoro to dla brata takie ważne, to niech mu będzie, czemu nie. To wcale nie znaczy, że Billy nie odnosił sukcesów — on też miał przyjaciół, robił postępy w nauce, całkiem nieźle biegał na pięć kilometrów, wygrał konkurs z nauk ścisłych — tylko wiecznie musiał być czujny, żeby chronić brata i zapewniać mu pozycję na szczycie. O ile Daniel potrzebował do szczęścia statusu lidera, o tyle dla Billy'ego bycie na świeczniku było wręcz czymś niepożądanym. Dlatego wyrósł na bardziej wrażliwego i wyczułonego na potrzeby innych. Mama zawsze mówiła o nim „ten milutki”.

Cena, jaką przyszło Billy'emu płacić za tę wrażliwość, jest trudna do określenia. W każdym razie dość wcześnie zorientował się, że nie zostanie przywódcą kraju ani niczego innego.

Nie znoszę Lettermana, stał się złośliwy i już nie śmieszy — myślał Billy, wstając i idąc do kuchni. Sid sunął w podskokach przed nim. Ostatni posiłek Billy miał w ustach jakieś dziesięć godzin temu, a była to miska jego ulubionej zupy wonton z kurczakiem w koreańskim barze blisko biura. Zajrzał do szafek — wszystkie puste. Lodówka też. No... można zrobić jajecznicę. Jak nie ma zupy, najszybciej przyrządza się jajecznicę. Trzy jajka, trochę soli, dużo pieprzu. Billy pospiesznie pochłonął to w kuchni, na stojąco, ze wzrokiem wbitym w podłogę, a potem wyłączył telewizor i opadł na czarną skórzaną kanapę. Sid leżał zwinięty w kłębek u jego stóp, a on rozglądał się z uwagą. Całe to mieszkanie jest takie jak Daniel. Eleganckie, luksusowe, pozbawione charakteru. Wygląda jak pokój w hotelu. Do nielicznych przedmiotów, które mają jakiś rys osobowości, należy kilka książek (oczywiście z czołówek list bestsellerów, które Daniel czyta, żeby móc o nich rozmawiać, nie dla przyjemności) i zdjęcia jego samego, które poustawiał niemal wszędzie. Daniel na nartach w Gstaad, Daniel nurkujący na południu Francji. Daniel na wędrowce w parku Yosemite, Daniel bawi się w jankesa, Daniel ściska dłoń burmistrza. Zupełnie jakby był artystą malarzem, który wciąż maluje swoją muzę, w różnej scenerii i w różnych stylach — oto ona w jego okresie błękitnym, tutaj w okresie kubizmu, a tu abstrakcji — tyle że w przypadku Daniela muzą artysty był on sam.

A skoro mowa o muzach, o kobietach... Billy woli pomijać ten temat. Rozdział z San Francisco jest już zamknięty. Nie lubi myśleć o Danielu i sobie w kontekście kobiet. Ten pociąg wyruszył dawno temu i wyrządził zbyt wiele złego, żeby poddawać go głębszej analizie.

Zdegustowany, wstał i włączył komputer. Czekając na uruchomienie systemu, wpatrywał się w ekran i stukał trzema środkowymi palcami po biurku, najpierw wszystkimi naraz, a potem każdym po kolei, jakby wystukiwał takty uwertury *Wilhelma Tella*. Otworzył pocztę. Mnóstwo spamu: takie rzeczy, że aż trudno uwierzyć. Strony pornograficzne, których nie trzeba otwierać, żeby wszystko zobaczyć. Tym razem wyglądało to na kobietę z końskim członkiem w ustach. To chyba niemożliwe? Odruchowo zwrócił się w stronę Sida, który już spał mocno, zwinięty w kłębek na własnym posłaniu. Chwała Bogu. Nie żeby był pruderyjny, nie o to chodzi, ale czegoś takiego nie pokazałby nawet psu! A co by było, gdyby tak miał dziecko na kolanach?

Rozmawialiby sobie beztrąsko o szkole, dzieciak śmiałyby się z jakiegoś zasłyszanego żartu czy anegdoty, a tu nagle na ekran wyskoczyłoby coś takiego. Billy pocierał palcem wskazującym o wnętrze dłoni. Jeszcze nie wie, co zrobi, ale to nie było w porządku.

Billy ma hopla na punkcie tego, żeby być w porządku. Jak choćby nie wypychać się bez kolejki, mówić „przepraszam”, gdy się na kogoś wpadnie, pozwalać innym wyjść, zanim samemu wejdzie się w drzwi, jeździć ostrożnie i nigdy nie prowadzić hummera — pożerającego mnóstwo paliwa gazika wojskowego, który z uwagi na dobro środowiska, rozmiar i symbolikę nie powinien trafiać w prywatne ręce (co byłoby następne: F-16 na podwórku sąsiada?). Liczy się też wypełnianie zobowiązań rodzinnych i płacenie podatków, bo to obywatelski obowiązek. Robienie tego, co należy, odróżnia człowieka od kaczki.

Podobnie rzecz się ma z językiem. Billy zżyma się, kiedy słyszy na ulicy dzieci bluzgające słowem na „k”, albo kolegów w pracy odmieniających je na wszystkie możliwe sposoby. Dotyczy to też jego tak zwanego brata, któremu zdarzało się popisać przekleństwem przy bożonarodzeniowym obiedzie. I znowu przyczyną nie jest pruderia ani brak otwartości na język ulicy, ani to, że on sam ma wyjątkowo bogate słownictwo. Po prostu uważa, że jeśli ktoś ma mózg i choć trochę wrażliwości na uczucia innych, używa ogólnie akceptowanego języka. A jeżeli człowiek ucieka się do słów, które obrażają innych, to tylko świadczy, że jest słabo wykształcony, niechlujny albo bezmyślny.

Musi przyznać sam przed sobą, że właśnie dlatego uważa się go za nudziarza. Zresztą, pewnie nim jest. Przestrzega zasad etyki, nie przeklina, gra na puzonie, ogląda programy historyczne, ma szacunek do języka, nurkuje (nawet ten sport wybrał nie dla adrenaliny, jak większość nurkujących, ale z miłości do ryb, gąbek, koralu, ukwiałów i wszelkich wodnych żyjątek, które po każdym nurkowaniu skrzętnie kataloguje). Nudziarz z Departamentu Skarbu USA.

Dostał setkę maili z pracy. Projekty nowych ustaw, nowe przepisy, zmiany starych przepisów, nowe spotkania, zmiany w starych planach spotkań, inny dzień, inna godzina. Głupie, nudne informacje. Gdyby nie lubił swojej pracy aż tak, gdyby nie miał poczucia, że jest potrzebny, pewnie te wszystkie bzdury dawno by go zniechęciły. Ale gdy czasem czyta w gazecie, że jakiejś szkole państwowej obcięto fundusze, co doprowadziło do likwidacji dodatkowych zajęć z literatury albo muzyki, to go inspiruje. Czasem nie znosi tej roboty, ale wierzy w jej sens.

Kolejne maile: kawał od ojca, sentymentalny wierszyk od mamy, rodzinne zdjęcia od kuzyna z Kalifornii. Informacje Międzynarodowego Towarzystwa Nurków o planowanych wyprawach na wyspę Cozumel, na Nową Zelandię, do Belize. Jakieś liberalistyczne brednie przysłane przez kumpla o imieniu Jim — tym razem artykuł ze „Spectatora”. Od kiedy to w dobrym tonie jest gardzenie liberałami? Nie obrażanie osób, lecz pogardliwe traktowanie liberalnych, społecznie świadomych poglądów. Lubię Jima, pomyślał Billy, znam go prawie całe życie. Jesteśmy niemal jak bracia. Tu wydał z siebie jedno głośne „ba!”. Bliżej niż bracia! To zadziwiające, myślał, zamykając pocztę i wyłączając komputer, jak przyjaźń i miłość (chyba), taka trwająca całe lata, która zmienia bieg dziejów, potrafi być ponad to, że Jim tak naprawdę jest ograniczonym, zawistnym... dupkiem.

W tym momencie Billy wstał i podszedł do szafy. Sid obudził się i leniwie podreptał za nim, jakby chcąc nakłonić pana, żeby wreszcie znalazł sobie miejsce. Billy włączył światło i lekko pochylony zaczął

przeszukiwać wnętrze — wsunął dłoń między swoje dwa garnitury, sięgnął za niewyobrażalną masę różnorodnych ubrań Daniela, za plastikowe pudełka w głębi, aż dotarł do dużego czarnego futerału ukrytego na samym dnie.

Przeniósł futerał do salonu i tam go otworzył. Wyjął część lśniącego puzonu i delikatnym, acz stanowczym ruchem połączył ją z inną częścią instrumentu, a potem z jeszcze jedną. Przymocował ustnik, który wcześniej wytarł ściereczką przechowywaną w futerale, a następnie zwilżył go językiem. Dopiero po tych wszystkich czynnościach zagrał kilka dźwięków. Wyciągał ramię tak daleko, jak tylko sięgał suwak, i przyciągał je z powrotem ku sobie. Ćwiczył gamy, ważył w rękę instrument i wsłuchiwał się w jego głębokie brzmienie.

Sid zdażył już do tego przywyknąć i zamiast jak na początku uciec do łazienki, gdzie zakrywał uszy łapami, teraz tarzał się na grzbiecie po podłodze, w przód i w tył, w prawo i w lewo, z łapami w górze, niczym w jakimś dziwnym karaibskim tańcu.

Wreszcie Billy włączył płytę Maksa Roacha — tę nagraną z Dukiem Ellingtonem i Charliem Mingusem — i zaczął grać przy jej akompaniamencie. Z początku cicho, sztywno, bo wsłuchiwał się w muzykę z płyty, chwytając rytm, szukał klucza. A potem, niczym pacjent pod wpływem cudownego leku, wstał i zaczął chodzić. Grał odważnie, swobodnie, całkiem podświadomie. Na godzinę zapomniał o Bożym świecie, jak co noc zanurzył się w muzyce wraz z Maksem — grał na puzonie, akompaniując perkusji, i o dniu, kiedy spotka go osobiście, tego czarodzieja perkusji, mistrza werbla, wirtuoza talerzy. Nie myślał o niczym, nie istniało dla niego nic poza wibracjami warg, strumieniem zasysanego i wydmuchiwanego powietrza, nic poza muzyką.

4

Następny dzień znowu zaczął się upalnie, więc Nina ubrała się odpowiednio: w kolarki, podkoszulek Sorbony, czarne trapezy i skarpety. Włosy związała w koński ogon i założyła na głowę wędkarski kapelusik L.L. Bean, który nosiła zawsze podczas spacerów z psami, niezależnie od pogody, naciągnięty niemal na same oczy. Najpierw wyszła z Samem. Niebo było żółtawe, powietrze gęste, parne, śmierdzące, jak to latem w Nowym Jorku. Poszli do parku. Obeszli sadzawkę i doszli do wybiegu dla psów w pobliżu kortów tenisowych, gdzie Nina znalazła trzy kawałki zielonego szkła i różowy guzik, a Sam zaczął skakać, rozrabiać i obwąchiwać wszystkie psie zadki, jakie tylko mu się spodobaly. Dookoła, w grupkach po trzy-cztery osoby, stali właściciele psów i rozprawiali o tym, co słyszeli w wiadomościach, narzekali na upał, chwalili się tym, co potrafią robić ich ulubieńcy, poruszali wreszcie inne równie bzdurne tematy — w czym Nina nie cierpiała uczestniczyć. Właśnie dlatego nosiła ten kapelusz. Żeby odstraszał.

Kiedy wrócili do domu, Sam był tak wyczerpany i zdyszany, że posiedziała z nim chwilę, głaszcząc go po brzuchu. Wpatrywał się w nią swoimi brązowymi ślepiami, gdy drapała go za uszami, głaskała po pysku, całowała w zimny wilgotny nos. Czowała się tak, jak co rano, kiedy miała go opuścić, żeby spacerować z obcymi psami. Jakby popełniała cudzołóstwo. Myślała o zabranii go ze sobą, ale nie chciała stawiać go w sytuacji, w której musiałby się nią dzielić z innymi psami. A on to rozumiał, jak zawsze. Poliznął ją po twarzy.

— Sam, kochany, mój pieśczonek. Mój jedyny. Jesteś tylko ty i zawsze tak będzie.

Wyszła, cicho zamykając za sobą drzwi. Jeszcze posłała uśmiech Samowi, który kręcił się w kółko, aż zwinął się w kłębek dokładnie w tym miejscu, w którym znajdzie go, gdy wróci za parę godzin. Już na schodach zarzuciła na plecy nylonowy plecaczek. Miała w nim wszystko, co niezbędne: instrukcje, woreczki nylonowe, okulary przeciwsłoneczne, portfel i klucz do mieszkania. Z zewnętrznego suwaka zwisały klucze do wolności czy też nicnierobienia, zależnie jak na to patrzeć.

Ponad godzinę zajęło jej zebranie wszystkich podopiecznych: dziesięciu psów w różnym wieku, różnej barwy, rasy, budowy i sylwetki. Nie miała jeszcze wprawy w trzymaniu tylu smyczy naraz — ramię wysunięte w przód, a na końcu linki ciągną ją labradory, spaniele, collie, boksery i kundle. Każdy z osobna to tylko pies, jeden miły bardziej, inny mniej. Jeden żywy, pełen werwy, inny ospały, gamoniowaty. Ale wszystkie naraz tworzą strukturę komórkową, rodzinę, społeczność, państwo. Jednostka ustępuje masie, a masa sama staje się jednostkowym tworem. Ta konkretna masa była całkiem niczego sobie — ludzie się gapili, ci w samochodach trąbili na znak sympatii, wszyscy się uśmiechali na ten widok spotykany tylko w Nowym Jorku.

Jej kapelusik robił swoje — chronił przed słońcem i deszczem, ale co jakiś czas zawodził pod względem ochrony przed ludzką ciekawością. Tego dnia były to dwie kobiety z Upper East Side, obie koło sześćdziesiątki, czyli w wieku jej mamy, ale zamiast swetra i legginsów jedna miała na sobie kostium Chanel, buty Chanel i elegancką torbę od Toda, a druga dzianinę z St. Johns i dwubarwne pantofle od Ferragamo. Obie żywe reklamy stały na rogu 89 ulicy i Central Park West, a Nina nie mogła pojąć, skąd się tu wzięły.

Gdy Nina przechodziła obok nich, usiłując jakoś opanować psią sferę, usłyszała, jak ta w kostiumie Chanel mówi:

— Ciekawe, jak to jest robić coś takiego. Myślisz, że to ciekawe zajęcie?

Na to pani St. Johns:

— Czyżbyś myślała o zmianie pracy?

— Przecież ona mogłaby mieć jakąś stałą pracę, nie sądzisz? Założę się, że nawet chodziła do college'u.

— Wygląda jak całkiem normalna młoda dziewczyna. Gdyby nie ten głupi kapelusz.

— Jeśli uważasz, że kolarki w połączeniu z tymi hitlerowskimi buciorami to normalne połączenie.

Nina uniosła podbródek i wyjrzała spod runda skrytykowanego kapelusza. Nie mogła się powstrzymać.

— Drogie panie — zwróciła się do kobiet.

— Nie rób tego, dziecinko. Nie zdradzaj im tego!

Głos z tyłu — ten charakterystyczny wysoki głos — sprawił, że Nina i obie kobiety obróciły się. Przed nimi stał Isaiah — rastaman o wzroście ponad sto osiemdziesiąt centymetrów i wadze siedemdziesięciu kilogramów, z dreadami do pupy, jak sam o sobie mówił, otoczony przez osiem psów, które mocno trzymał za smycze. Isaiah był kolegą i konkurencją Niny, byłym więźniem, ale siedział — jak jej wyjaśnił — tylko za posiadanie na własny użytek narkotyków kupowanych za forszę zdobytą podczas włamań i innych nielegalnych przywłaszczeń. Po trzech latach odsiadki znowu był na ulicy, zresocjalizowany, po college'u, i znowu wchodził do cudzych domów, tyle że teraz za pozwoleniem właścicieli.

Nina patrzyła zaskoczona na Isaiaha, podczas gdy ich psy obwąchiwały się, ocierały i poznawały jak samotni klienci baru na East Side w piątkowy wieczór. Kobiety czekały zaciekawione, co Nina ma im do powiedzenia.

— Wyprowadzam jakieś szesnaście psów tygodniowo, średnio dwa razy w ciągu dnia, codziennie, pięć dni w tygodniu. Jeśli pomnożycie szesnaście razy dwa i razy pięć, to daje sto sześćdziesiąt. Pomnożyć to przez czternaście dolicz, bo tyle biorę za spacer, i mamy dwa tysiące dolicz. Gotówką. Na tydzień. Do tego jeszcze spacer w weekendy, karmienie psów, kiedy właściciele wyjeżdżają, po czterdzieści pięć za dobę, i inne obrywy, prezenty i takie tam, i w sumie wyciągam prawie dwa czterysta na tydzień. W gotówce.

Uśmiechnęła się. Isaiah zmarszczył brwi.

— Hej, Nina, jeszcze ci zgarną robotę.

I odszedł ze swoimi psami w stronę Central Parku.

— To na razie?! — krzyknęła za nim Nina.

Madame Rive Droite de Chanel, przed odwróceniem się na obcasach eleganckich pantofelków, uśmiechnęła się i powiedziała:

— Dochodowe, owszem. Ale czy to daje satysfakcję?

Większą, niż mogłabyś przypuszczać — odpowiedziała jej w myślach Nina.

Przecież nie mogła im powiedzieć, że tym, co jest dla niej warte więcej niż pieniądze, więcej nawet niż samo przebywanie z psami, a co dają jej właściciele psów, są klucze do ich mieszkań. Jak inaczej mogłaby wchodzić bez przeszkód i zabierać ich cenne psy, gdy oni są — kto wie — w pracy czy na lunchu, na randce w jakimś hotelu czy też właśnie kupują Barbarę Kruger w jakiejś galerii w Soho. Może akurat mają pobierany wymaz, robioną kolonoskopię albo kupują bilety lotnicze na Tahiti. Nieważne. Dla Niny liczy się tylko to, że dysponuje ich kluczami i że ich psy są jej psami, nawet jeśli tylko na godzinę dziennie. Jak na coś tak nowojorskiego — gdzie indziej ludzie wydają tysiące na rasowe psy, żeby trzymać je w ciasnych mieszkaniach i zatrudniać kogoś do ich wyprowadzania — cały ten biznes opiera się na zadziwiająco dużej dawce bardzo nienowojorskiego zaufania.

Tak więc Nina je wyprowadza. Po schodach albo windą, przez drzwi oszklone, obite mosiądzem albo stare drewniane, zdobione rzeźbieniami, mijając portiera albo nie mijając nikogo. Na gwarne zatłoczone ulice albo spokojne boczne uliczki, ulice zaśmiecone odpadami albo obsadzone drzewami. Na 92 ulicę, gdzie w kartonowym pudle mieszka bezdomny starzec, albo na 78, którą dzieci z tutejszej szkoły ozdobiły ściennymi malowidłami stokrotek, tęczy i kotów. Czy to upalne słońce, czy ostry ziąb, pogodny poranek czy parne popołudnie, choćby wieczorem rozpętała się burza albo silna wichura, wyprowadza je. A one odwdzięczają się jej, sikając i robiąc kupy... no, wielkie dzięki.

Tak jak jeden z nich w tej chwili, niemal wprost pod nogi tej ambitnej elegantce z wyższych sfer. To dzieło Luki. Obie kobiety odwróciły się z obrzydzeniem, a Nina chwyciła za swoje narzędzia i nylonowy woreczek, by szybko pozbyć się kłopotliwego podarunku.

Większość psów — a należały do nich: Webster, Cody, King, Luca, Sadie, Safire, Lucy i Zardoz — Nina odprowadziła do domów, pozostawiając sobie na koniec Edwarda i Wallis, dwa jamniki należące do Celeste i George'a Crutchfieldów. Tak to sobie zaplanowała, ponieważ od tygodni nie była wewnątrz ich

mieszkania. A cóż to za mieszkanie! Tak przeładowane, że Nina spodziewała się wystąpienia silnych objawów alergii. Ściany w kolorze mdłej żółci, obicia mebli i dywany czerwone, złote i bladozielone. Kwiatowe esy-floresy wymieszane z paskami, antyki upstrzone bibelotami, w wazonach peonie. Każdy kąt wypełniony, każdy zakamarek wypchany. Żadnych książek, a obrazy — wyłącznie pejzaże i martwe natury — przywodziły na myśl muzykę popularną: wszystkie podobne, jakby już gdzieś widziane; jeśli nawet kiedyś było w nich coś oryginalnego, to dawno już zostało wykorzystane do wzorów tapet. Mieszkanie wprost z „Przeglądu Architektonicznego”: tradycyjne, drogie i bezdennie nudne. Nina jednak wiedziała, gdzie szukać tego, co najlepsze.

Wjechała windą dla obsługi i weszła tylnymi drzwiami, tak jak powinna. Własnym kluczem otworzyła drzwi i spuściła oba psy ze smyczy. Uwolnione czworonogi pognały przez pralnię i służbówkę do kuchni i rzuciły się do ręcznie malowanych włoskich misek z wodą, przeznaczonych specjalnie dla nich, a potem niczym wichurki wpadły do salonu, gdzie wskoczyły na dziewiętnastowieczny fotel, omal nie zderzając się z sobą w powietrzu. Wierciły się kilka chwil, każdy z pyskiem przy własnym ogonie, niczym psie prele, aż wreszcie znalazły ten idealny punkt i zwały się jeden obok drugiego. Na drugim fotelu leżały dwie małe poduszeczki z wyhaftowanymi podobiznami Edwarda i Wallis oraz ich imionami i datami urodzenia.

Przed wszystkim Nina musiała się upewnić, czy w mieszkaniu nikogo nie ma.

— Halo? Jest tu kto?!

Odczekała chwilę. Nic.

— Christina! Jesteś w domu?

Christina to mieszkająca z Crutchfieldami pomoc domowa. Nina była prawie pewna, że widziała ją wychodzącą z budynku z wózkiem na zakupy. Na wszelki wypadek jeszcze raz zawołała:

— Christina?!

Gdy i tym razem nie otrzymała odpowiedzi, weszła dalej. Planowała tylko zajrzeć do sypialni z wytworną pościelą. Mniej obchodziły ją meble, płaski telewizor na ścianie i inne tego typu graty. Natomiast pościel, o, to co innego — to kolebka snów. W tej sypialni wszystko było srebrno-białe i waniliowo-kremowo-białe. Prawdziwa bielizna pościelowa — jak sama nazwa wskazuje, bielizna powinna być w odcieniu bieli. I z lnu. Nie takiego topornego, taniego, mnącego się niemilosiernie lnu na letnie ubrania, którego Nina nie znosi, bo wygląda się w czymś takim jak w worku na ziemniaki, ale z najdelikatniejszego, jaki można sobie wyobrazić, haftowanego jedwabiem w maleńkie kwiatuszki tej samej barwy. Ale to nie wszystko: na wysokiej puchowej pierzynie leży jedwabna pikowana kapa, a jeszcze na niej ręcznie tkana francuska narzuta, która wygląda, jakby należała do kompletu. I jeszcze jedwabne poduszki, z aksamitu i satyny. Nina stała tam chwilę, rozglądając się i nie mogąc przestać myśleć o tym, jak by to było co noc zasypiać w takim łóżku. U boku kogoś, kto obejmowałby ją ramieniem, gdy tylko wsunęłaby się w tę pościel. Gładziłby ją po włosach, całował najpierw delikatnie, potem bardziej czule, namiętnie, a potem przesuwałby dłonią wzdłuż jej ciała, leciutko muskając boczną krawędź piersi. Kochałby się z nią pod tymi wspaniałymi poszwami i narzutami powoli, z oddaniem... Westchnęła. Jak by to było?

Nie, nie ma zamiaru wskakiwać do tego łóżka, żeby się przekonać. Nie po tym, co wydarzyło się wczoraj u Daniela. O nie. Dzisiaj zamierza zachowywać się jak należy. Odwróciła się w stronę wyjścia, ale

nagle coś ją podkusiło, żeby jeszcze przeszukać pokój. Tylko się trochę rozejrzy, tak pobieżnie, zobaczy, czego można się o nich dowiedzieć. Celeste — historyk sztuki. George — bankier. Podeszła do nocnej szafki Celeste. Celeste śpi po lewej, gdy patrzy się na łóżko, czyli po prawej, gdy się w nim jest. W szufladzie szafki był numer „People” i „Architektury Terenu” oraz dwa długopisy, notatnik, parę monet, podkładka ze spinaczem na papier, przepis wydarty z pisma „Gourmet”, dowód zapłaty z Bergdorf’s. Głęboko na dnie, z tyłu, pod i za tym wszystkim leżał ust. Nina uśmiechnęła się. Oto trafiła na prawdziwy skarb. Opadła, a dokładniej mówiąc, wspięła się na łóżko, takie było wysokie z grubym matercem, sprężynami, kołdrami, narzutami i całym tym majdanem.

List zaczynał się od słów: „Droga Celeste”. Nina wstrzymała oddech i tak jak to robiła podczas czytania książek, zaczęła od końca. „Kochający Tommy”.

— O la la! — wymknęło się jej na głos. — Dobrze jest!

I zaczęła czytać:

„Droga Celeste,

Mam naprawdę dosyć twoich wiecznych pretensji do mnie o wszystkie Twoje nieszczęścia”.

Oho... Nina przerwała czytanie i podniosła wzrok. Nie tego się spodziewała. Wróciła do lektury.

„Dobra, nie zadzwoniłem po 11 września. To bardzo dla Ciebie typowe — tak osobiście podchodzić do całej tej tragedii. Zresztą, to było tak dawno. Zastanowiłaś się chociaż, dlaczego oczekujesz, żebym dzwonił do Ciebie za każdym razem, gdy w Nowym Jorku jest jakaś katastrofa? Naprawdę dużo łatwiej byłoby Ci żyć, gdybyś nie miała tylu zasad. Jak człowiek czegoś nie oczekuje, nie czuje się zawiedziony, gdy to się nie zdarza. Nie licz, że będę przestrzegał Twoich zasad. Są one po to, żeby je łamać. A ja uwielbiam łamać zasady. Przystań więc robić pod moim adresem oskarżycielskie uwagi. Wynieś się z Nowego Jorku, skoro uważasz, że tam jest niebezpiecznie i potrzebujesz kontaktu z rodziną za każdym razem, gdy coś się dzieje. Życie się dzieje i dzieją się różne świństwa. Nie zawsze chodzi o Ciebie.

Kochający Tommy”.

„No tak”, pomyślała Nina, z zawstydenia zaciskając zęby. Spodziewała się raczej listu miłosnego. „Wiesz już, dlaczego trzeba czytać całość, a nie zaczynać od końca?” — karciła samą siebie. Tommy, najwyraźniej brat Celeste, to jakiś palant. Czegokolwiek Celeste od niego by nie chciała, czy to za wiele pragnąć kontaktu z rodziną, gdy zdarza się coś złego? I oczekiwać, że rodzina, która szczęśliwie jest bezpieczna, skontaktuje się z tymi, którzy znaleźli się najbliżej zła? Rodzina to miłość, miłość to troska, a troska oznacza bliski kontakt.

A może to tylko teoria — pomyślała Nina. Przypomniał się jej ojciec. Kocha ją, na swój sposób, ale jakoś nigdy nie potrafiła się z nim porozumieć. Nigdy nie zostawia adresu ani numeru telefonu, a zjawia się raz albo dwa razy w roku. Kiedy widziała go ostatnio, spytała wprost, jak może się z nim skontaktować, gdyby coś się stało, gdyby go potrzebowała. Popatrzył wtedy na nią z jakąś taką beztruską w oczach, jakby rozbawiła go myśl o tym, że ona może go potrzebować, i powiedział:

— Właśnie dlatego nie zostawiam swojego numeru! Myślisz, że chcę słyszeć złe wiadomości? — roześmiała się i uszczypnęła ją w ramię jak dzieciak w zabawie.

— Ale jesteś moim ojcem — błagała Nina, też z uśmiechem na twarzy.

— I jestem z ciebie bardzo dumny — odparł.

Ludzie noszą w sobie tyle bólu — myślała Nina, odkładając list na miejsce. Zwykle nawet o tym nie wiemy, ale każdego, nawet takich jak wszystkie Celeste Crutchfield świata, z ich warstwami ciepłej przytulnej pościeli, łatwo jest zranić.

Po powrocie do domu Nina zadzwoniła do matki do Santa Fe.

— Cześć mamó, tu Nina, twoja córka.

— Kochana, jesteś jedyną osobą, która mówi do mnie „mamo”. Choć oczywiście, zdarza się, że mówią o mnie jako o dziecięcej kobiecie, czyli mamie.

Nina roześmiała się. Nie mogła zaprzeczyć, że mama ma poczucie humoru.

— Co u ciebie?

— W porządku — powiedziała Nina. — A ty? Jak się masz?

Długie milczenie.

— Mamó, jesteś tam?

— Wczoraj widziałam nowego Grishama w księgarni. To ty pisałaś to streszczenie?

— Tak, na skrzydełkach obwoluty.

— To już prawie rok.

— Mamó.

— Nie mogłabyś wrócić do tej pracy?

— Nie wiem, ale nie chcę wracać.

— Na pewno chcesz. Miałas swoje biurko, gabinet, własną asystentkę.

— Do podziału z kimś innym.

— Twoje nazwisko było w książkach. Ludzie cię szanowali — westchnęła zawiedziona.

— No, bardzo. Dziękuję za napisanie tekstu na obwolucie. Za wpakowanie roku, dwóch czy trzech ciężkiej pracy w trzy krótkie akapity z myślą, że ludzie kupują książki dla ich okładek.

— Czasem były cztery, prawda?

— Lata czy akapity?

— Co?

— Mówiłaś o czterech latach pracy czy czterech akapitach streszczenia?

— Nina! Słuchaj, dziecko. Gdybym miała jakieś oszczędności, wszystko bym ci dała, ale nie mam.

— Wiem, mamó, wiem — jeszcze minutę temu, gdy Nina chwyciła za telefon, nie była przygnębiona.

— Chciałam tylko chwilę pogadać.

— To miło z twojej strony.

— Widziałaś ostatnio jakiś dobry film?

— Nie, raczej nie.

— A co z Mortym? Widujecie się?

— Nie. Trochę to dla mnie było za szybko i za intensywnie — odpowiedziała. — Lubię być sama. Lubię swoje mieszkanie, własną...

— No właśnie. Po co ci miły facet, z którym można pójść na kolację, do kina, podróżować, że nie wspomnę o seksie? Minęło dopiero osiemnaście lat, odkąd ty i tata...

— No to miło, że zadzwoniłaś. Pa! — rozłączyła się.

— Kurczę — mruknęła Nina, nerwowo odkładając słuchawkę. — Czemu tak ciężko się z nią dogadać?

Mama Niny w zasadzie nigdy nie spełniła się zawodowo. W młodości marzyła o fotografowaniu, ale żeby zarobić na życie, zaczęła pracować w banku jako sekretarka. Potem, po urodzeniu Niny, rzuciła pracę, bo — jak zawsze tłumaczyła Ninie — i tak nie było czego rzucać. „Rób cokolwiek, ale zostań kimś”, powtarzała.

Gdy więc Nina rzuciła pracę w wydawnictwie — z której mama była bardzo dumna — żeby zostać opiekunką psów, z czego już mama dumna nie była, ich stosunki wyraźnie się pogorszyły. Mama była zdruzgotana. Pragnęła dla córki szczęścia, a zakładała, że szczęście to poważne stanowisko i kariera zawodowa. Podobnie Nina chciała, by mama była szczęśliwa — a zakładała, że szczęście to szaleńczo się zakochać, a potem żyć długo i szczęśliwie.

Każda chciała dla tej drugiej czegoś, czego jej samej brakowało. I żadna nie potrafiła spojrzeć na życie tej drugiej inaczej niż własnymi oczami.

— No i co, Sam? — Nina pogłaskała psa po pysku, a kiedy przewrócił się na grzbiet, podrapała po brzuchu. — Hej, piesku, lubisz to, prawda? — Spoglądał na nią, jakby rozumiał wszelkie problemy ludzkiej egzystencji. A ona odpłaciła mu słowami, którymi mogła obdarzyć tylko jego: „Kocham cię, Sam. Kocham”.

5

Tego popołudnia pani Constance Chandler słuchała właśnie radia, kiedy rozległ się dzwonek domofonu. Pani Chandler słuchała radia codziennie, bez przerwy. Słuchała wszystkiego, od „Wygraj z nami”, przez „Twoje dwadzieścia minut”, „Świat u twych stóp”, „Poranne rozmowy”, aż po „NPR” czyli „Narodowe Palestyńskie Radio”, jak je nazywała; słuchała muzyki klasycznej, jazzowej i musicali z Broadwayu. Radio było jej towarzyszem, kimś, z kim mogła się spierać i śpiewać, od kogo mogła się uczyć albo odesłać go w diabły, gdy uzna, że szkoda nań czasu. Słuchała przy pracy, tak jak w tej chwili, słuchała, kąpiąc się, oglądając telewizję, przyrządzając jedzenie — czy to duszonego halibuta, czy tofu z warzywami — i jedząc. Nie słuchała radia tylko wtedy, gdy nie było jej w domu, czyli jedną godzinę co rano, kiedy przebywała w salonie piękności Johna Baretta w Berdorf's oraz gdy była w The Mark, dokąd codziennie o piątej po południu chodziła na drinka (jedna do ośmiu godzin, zależnie od tego, kogo tam spotkała).

Na dźwięk dzwonka jej pies Safire (buldog wysoki na trzydzieści centymetrów, o wadze dwudziestu kilogramów, taki, o jakich wszyscy mówią, że jest tak brzydki, aż miło, ale według niej jest tak brzydki, że to aż nieprzyzwoite) uniósł łeb z przednich łap, parsknął i spojrzał na swoją panią.

Pani rzuciła wzrokiem na zegar od Tiffany'ego stojący na kominku.

— Za wcześniej na...

Dzwonek zabrzmiał ponownie. Safire szczechnął.

— Kogo tam niesie... — mruknęła pani Chandler, odkładając pióro Montblanc — upominek z Bellagio w Vegas — na żółte kartki papieru, które spoczywały na zielonej skórzanej podkładce T. Anthony'ego. Jest prawdopodobnie jedyną żyjącą pisarką, która używa pióra i papieru. Odsunęła drewniane krzesło z XIX wieku i wzdychając, z irytacją podeszła do domofonu.

— Chyba nie wrócili, żeby mnie znowu dręczyć, Safire? Powiedz, że to nie to.

Pies tylko patrzył. Jego wylupiaste, przekrwione ślepia z czarnymi źrenicami zdawały się potakiwać. Wcisnęła guzik domofonu.

— Tak, słucham.

Puściła przycisk, żeby usłyszeć odpowiedź.

— Pani Chandler? — odezwał się męski głos.

— A z kim mam przyjemność?

— Pani Chandler, nazywam się Daniel Maguire. Dwie, trzy sekundy milczenia.

— Daniel Maguire, pani sąsiad. Spotkaliśmy się na przyjęciu u Kayesów, pamięta pani? Chyba powinienem najpierw zadzwonić.

Na twarzy pani Chandler widać było poirytowanie, ale kobieta odetchnęła z wyraźną ulgą. Zwróciła się w stronę Safire'a, który spoglądał na nią z wywieszonym językiem.

— Te moje przecucia.

I wcisnęła guzik odblokowujący wejście. Stała przed lustrem wiszącym w przedpokoju. Rozprostowała czarny kaszmirowy sweter z głębokim dekoltem odsłaniającym tyle ciała, ile wydawało się jej w sam raz, obrzuciła wzrokiem czarne spodnie z dzianiny, poprawiła brylantową broszkę na prawym obojczyku, sięgnęła dłońmi do włosów i delikatnie przeczesała je palcami, uważając, żeby nie zniszczyć tego, co rano wykreował fryzjer. Tak przygotowana czekała na pukanie do drzwi. Nieźle jak na kobietę, która ma pięćdziesiąt dziewięć... pięćdziesiąt cztery lata — pomyślała.

Musiał chyba biec po tych schodach.

— Panie Maguire, co za miła wizyta. I niespodziewana.

— To dla pani. A na imię mam Daniel — wyciągnął w jej stronę pudełko czekoladek See's.

— Jest pan okrutny — uśmiechnęła się.

— Byłem w Los Angeles.

— Jest więc coś, co usprawiedliwia istnienie tego miasta. Jak miło z pana strony. Proszę wejść.

Przypomniała sobie tamto przyjęcie: gorącą dyskusję na temat czekolady, snobistyczny urok czekoladek Teuscher i Godiva, zderzenie jej plebejskiego upodobania do czekolady Hershey i jego niewzruszonej miłości do burżuazyjnych See's, których pudełko przyniósł gospodyni. Z jakimż wdziękiem paradował między gośćmi, częstując każdego. Jeden kęs tego przysmaku z mlecznej czekolady, karmelu i orzechów wystarczył, żeby uczynić z niej wielbicielek, wyznawczynię, niewolnicę, na zawsze już oddaną tej najwspanialszej czekoladzie świata w skromnym czarno-białym opakowaniu. A próbowała najlepszych. Przyjaciele z Belgii, Paryża i Frankfurtu przysyłali jej najdroższe trufle, najsmaczniejsze cukierki, najbardziej wyszukane draże i kremy. Nic jednak nie mogło dorównać orzechowym See's.

Poprowadziła go do salonu, który służył jej jednocześnie za gabinet. On usiadł na kanapie obitej czerwoną pikowaną skórą, a ona w fotelu.

Otworzyła pudełko i wyciągnęła w jego stronę.

— Nie, dziękuję. To dla pani.

— Wstydziłby się pan. Przecież nie mogę zjeść sama całego pudełka.

Uśmiechnął się.

— No dobrze. Jedną.

Sięgnął po orzechową pomadkę z gorzkiej czekolady i włożył ją do ust. Uśmiechnął się i uniósł podbródek w geście zachęcającym do pójścia w jego ślady.

Jaki przystojny — pomyślała. Musi być co najmniej dwadzieścia lat młodszy od niej. Te oczy... Nie takim go pamiętała. Coś nie dawało jej spokoju. Coś w nim się nie zgadzało. Ale co? Nie zauważyła tego wcześniej, u Kayesów, tam wydawał się tak pewny siebie, przebojowy, taki młody bufon. Teraz trudno było nie zauważyć w nim pewnej sztywności. Może nieśmiałości. Nadal seksowny, ale ma w sobie coś z nudziarza — pomyślała. Starsza, doświadczona kobieta mogłaby go czegoś nauczyć. Wybrała mleczną czekoladkę z nadzieją, że trafi na karmelową. Ugryzła kęs — o tak, to karmel.

Siedzieli w milczeniu, żując pomadki co najmniej minutę.

— Ten obraz... — przerwał ciszę Daniel — to szkoła Hudsona? — wstał i podszedł do malowidła.

Uśmiechnęła się. Do tego inteligentny — pomyślała.

— Tak — odpowiedziała. — Dziewiętnasty wiek. George Inness. Jeden z moich ulubionych.

— No tak — powiedział. — Rozumiem, dlaczego.

Patrzyła na niego, jak stał w jej gabinecie i podziwiał obraz. Ten widok przypomniał jej, że jeszcze niedawno taki młody człowiek mógł z podobnym podziwem wpatrywać się w nią. Siedząc z obiema dłońmi na udach, z rozprostowanymi palcami, lekko pochyliła się w przód i zaproponowała:

— Przyniosę coś do picia. Na co ma pan ochotę?

Obrócił się w jej stronę.

— Dziękuję, wystarczy woda.

— A ja się napiję wódki. Na pewno nie chce pan nic mocniejszego?

— Nie, dziękuję.

Wstała i wyszła z pokoju, a Safire podreptał za nią. Billy wsłuchiwał się w odgłos jej kroków, gdy oddalała się korytarzem w stronę kuchni. Kiedy uznał, że może czuć się swobodnie, podszedł do biurka. Pochylił się nad zapisanymi przez nią kartkami i z podziwem patrzył na jej charakter pisma. Piękne, staromodne zawijasy, równiutkie i czytelne. Nikt już tak nie pisze. On sam przyzwyczał się do klawiatury komputera do tego stopnia, że w tych rzadkich przypadkach, kiedy musi użyć pióra — wypełnić czek czy napisać kartkę z życzeniami — zauważa, że jego pismo jest ledwo czytelne.

Usłyszał dźwięk uderzających o szklane dno kostek lodu, co zmobilizowało go do przystąpienia do rzeczy. Nienawidzi tej części swojej pracy. Węszenie po kątach. Kłamanie. Udawanie, że był na przyjęciu, podczas gdy to Daniel dyskutował z panią Chandler o czekoladkach. Zmusił się jednak do koncentracji. Dla dobra innych. Często jest to jedyny sposób, żeby się czegoś dowiedzieć. Jeśli ta dama nie płaci podatków, jeśli

ukrywa, jak podejrzewają, miliony dolarów, dopadnie ją i w ostatecznym rozrachunku okaże się, że jego praca ma sens. Zaczął więc czytać. Pani Chandler pisała o Pradze. Przyjął, że to tekst do jednego z wielu czasopism, z którymi współpracowała: „Podróże i Wypoczynek”, „Wyjazdy”, „Architektura Terenu”. Niedawno czytał w „Wykwintnej Kuchni” jej artykuł o najlepszych hotelach Wenecji. To był naprawdę świetny tekst. Pod jego wpływem Billy zapragnął mieć tyle pieniędzy, by móc sobie pozwolić na odwiedzenie któregoś z tych miejsc. I to nie z powodu opisu pokoju, obsługi czy też położenia hotelu. Opisywała spożywanie śniadania na werandzie w Gritti Palace i promienie wschodzącego słońca przeswitujące przez gęstą poranną mgłę. Świeżo wyciśnięty sok z czerwonej pomarańczy przedstawiała jako nektar bogów. Sprawiała, że zamykał oczy i przyłączał się do niej: był z nią tam, w Wenecji, na tej werandzie, tego ranka, czuł smak gęstego słodkiego nektaru o różowej barwie. Widział poranny rozgardiasz dookoła: łodzie wywożące śmieci, przewożące drewno, żywność, książki, materiały instalacyjne, taksówki wodne. Słyszał bicie dzwonów z Santa Maria della Salute po drugiej stronie Canale Grande. Zabrała go tam. Przeniosła go do hotelu Cipriani, miejsca, które, jak przekonywała, świetnie nadaje się na pobyt z dziećmi. Za ponad osiemset dolarów na dobę. Dzieci! W basenie, bawiące się na trawniku, dzieci na plaży, pochłonięte szukaniem kolorowych szkiełek. Marzył o tym, żeby po porannym zwiedzaniu Pałacu Dożów na placu Św. Marka spędzić tam beztrudne, przyjemne popołudnie.

Rodzice wybrali się z nimi kiedyś starym rozklekotanym samochodem kempingowym do Wielkiego Kanionu. Ta wyprawa utkwiła mu w pamięci jako modelowy przykład podróżowania z dziećmi. Nie wyobrażał sobie, że można by inaczej. Teraz zaczął marzyć o zabraniu własnych dzieci do hotelu Cipriani w Wenecji. Do diabła, najpierw powinien w ogóle mieć dziecko, a dopiero potem mógłby je gdzieś zabierać. Jego marzenia nie są chyba zbyt wygórowane?

Czas jednak wrócić na ziemię. Ma zadanie do wykonania. Otworzył szufladę. Były tam tylko spinacze do papieru, znaczki, gumki — wszystko równo poukładane. Zajrzał do stojącego na biurku pudełka z wygrawerowanymi inicjałami pisarki. Przechowywała w nim monety. Szybko podszedł do wysokiego drewnianego regału biurowego i po cichu uchylił górną szufladę. Zobaczył tam szereg segregatorów, skrupulatnie oznakowanych, z uwzględnieniem różnych kontekstów podróżowania. Dotyczyły chyba każdego miejsca na Ziemi, od Bali po Zanzibar.

Usłyszał skrzypienie podłogi, gdy gospodyni stąpała po orientalnym chodniku. Zasunął szufladę i jednym susem znalazł się na kanapie. W tym momencie w drzwiach pojawiła się pani Chandler ze srebrną tacą, na której stały dwie szklanki, miseczka migdałów i talerzyk z ciasteczkami. Postawiła tacę na ławie przed Billym, podała mu szklankę z wodą i usiadła. Sięgnęła po swoją wódkę i zamieszała ją pałeczką do koktajli.

— Dziękuję.

— Proszę — uniosła swoją szklankę. — Na zdrowie.

— Na zdrowie — wypił do dna. — No cóż, w zasadzie wstąpiłem tylko, żeby podarować pani te czekoladki.

Uniosła brwi.

— Oczywiście, zawsze miło panią zobaczyć — dodał.

— No tak — długa cisza. — Panie Danielu, proszę mi coś powiedzieć. Jeżeli mogę zadać osobiste pytanie? Co pan sądzi o wczorajszej grze Rogera Clemensa?

— To nie takie osobiste — roześmiał się.

— Dla mnie tak — odparła z uśmiechem — nawet pan sobie nie wyobraża, ile można się dowiedzieć o człowieku, poznając jego stosunek do sportu.

— No dobrze. Nie widziałem wczorajszego meczu. Ale mogę panią zapewnić, że jak dla mnie, Clemens może robić na boisku, co chce, bo pewnie jest ostatnim baseballistą, który gra dla przyjemności. Daje z siebie wszystko...

— Zgadzam się. „Wszystko” za każdym razem — znowu uśmiechnęła się łagodnie, ledwie widocznie.

Billy zarumienił. Było w niej coś staromodnego, sztywnego, a jednocześnie młodzieńczego. Czuł się przy niej bezpiecznie. I niezręcznie.

— W przeciwieństwie do tej karykatury człowieka, Barry'ego Bondsza — dodała.

— Podzielim — zaśmiał się. — Prawdziwy z pani kibic.

— Zwłaszcza baseballu. Piłki nożnej też. Może mnie pan spytać o wyniki ostatniego sezonu Jetsów. No, proszę.

— O cokolwiek?

— Mam porównać wyniki przed i po Hermanie Edwardsie?

— Niezwykłe jak na kobietę, jeśli mogę się tak niepoprawnie politycznie wyrazić.

— Niepoprawność polityczna to jedyny możliwy sposób zachowania, jeśli chodzi o politykę. I religię.

Także i tym razem rozbawiła go. Spojrzał na nią i zaatakował:

— Gra pani na zakładach?

Odpowiedziała mu odważnym spojrzeniem.

— To już pytanie osobiste.

— Ale spędza pani sporo czasu w Vegas.

Przyglądała mu się podejrzliwie.

— Pewnie ma pan na myśli stare teksty w „Esquire”. To było wieki temu. Teraz pisuję o podróżowaniu, nie o podróżach.

Milczał chwilę, nie bardzo wiedząc, na ile może sobie pozwolić przy pierwszym spotkaniu. Wtedy ktoś otworzył i zatrzasnął frontowe drzwi.

Safire szczechnął i pobiegł albo raczej powłókł się do przedpokoju. Szczekał całą drogę tam i z powrotem.

— Safire! — pogroziła mu palcem pani Chandler. — Co to za zachowanie!

— Szafir? Jak ten kamień?

— Jak dziennikarz, wspaniały William Safire.

Nim Billy zdążył odpowiedzieć, pies biegł już z powrotem do drzwi, by po chwili pojawić się znowu w pokoju, z językiem przy samej ziemi, chwiejąc się niczym pijany przy każdym kroku. Za nim szła jakaś osoba. "Billy podniósł wzrok i zobaczył Ninę, opiekunkę psów. Miała na sobie podkoszulek (czyżby studiowała na Sorbonie?), krótkie spodnie i wojskowe buty. Wyglądała jak dziecko.

— Dzień dobry, pani Chandler. Co słyhać? Piękny dzisiaj dzień... — wyciągnęła do gospodyni rękę na powitanie.

— Dzień dobry, moja droga. Czy znasz... — wskazała gestem Billy'ego — to pan Daniel Maguire.

Nina wykonała obrót i stanęła twarzą w twarz z Danielem. Dzielił ich tylko pies i ława. Wyglądała na zaskoczoną, potrzebowała kilku sekund, żeby się otrząsnąć.

— Znacie się — domyślnie stwierdziła pani Chandler, spoglądając to na jedno, to na drugie.

— Tak, ona... — próbował wyjaśniać Billy.

— Tak — przerwała mu Nina, sięgając ręką do włosów — wyprowadzam panu psa, Sida.

— Sid? Jak Sidney? To zabawne...

— Jak Siddhartha — wyjaśnił Daniel.

— Siddhartha — roześmiała się pani Chandler.

— To jeszcze nic — wtrąciła Nina — wyprowadzam też Zardoza, Kinga, Edwarda i Wallis, Stanleya z Oliverem...

— Imiona brzmią dumnie, przyznaję, ale Siddhartha? Nie śmiejemy się z pana, Danielu, śmiejemy się...

— ...ze mnie — i też się roześmiał, zażenowany.

— Po prostu nie sprawia pan wrażenia osoby pretensjonalnej. Nie wygląda pan też na miłośnika Hessego.

Nie ja nadałem mu to imię. — O Boże, ale się wpakował!

— Nie pan? — zainteresowała się Nina. — A kto?

— Mój brat.

Ale plama! Przecież nie miał zamiaru o nim wspominać. Nie chciał nikomu mówić, że w ogóle ma brata. Wszystko przez obecność tej Niny, przy niej traci czujność, staje się nieostrożny.

— To ma pan brata? — spytała Nina. Cóż ją tak dziwi?

— Chciałem powiedzieć siostra.

— No to brat czy siostra? A może to i brat, i siostra? — po tych słowach klepnęła się po twarzy, najpierw w jeden policzek, potem w drugi: — Mój brat, moja siostra, mój brat, moja siostra.

To sprawiło, że wybuchnął śmiechem. Ona też.

— No cóż — odezwała się pani Chandler, z niecierpliwością sprowadzając ich na ziemię — Safire chyba chciałby pójść na spacer.

— Wyjdziemy razem — powiedział Billy — właśnie się zbierałem.

Nina opuściła głowę. Kiedy podniosła wzrok na Billy'ego, ich spojrzenia spotkały się na moment. Natychmiast obróciła się na pięcie i powiedziała:

— Chodź, Safire. Czas na spacer.

Pochyliła się, żeby przyczepić smycz do obroży.

— Do zobaczenia, pani Chandler.

— Zawsze miło cię widzieć, Nino. I miło z pana strony, panie Danielu, że pan zajrzał. Jeszcze raz dziękuję za czekoladki — ruszyła ciemnym korytarzem w kierunku frontowych drzwi, a Nina, Safire i Billy podążyli za nią.

Przy drzwiach Daniel wyciągnął dłoń.

— Miło się z panią rozmawiało.

Pani Chandler uściśnęła mu dłoń.

— Proszę jeszcze kiedyś zajrzeć — powiedziała i natychmiast pożałowała tych słów, bo czuła, że on jest człowiekiem, który robi, co mu się każe.

— Będę za jakąś godzinę — wtrąciła Nina.

— Dobrze.

Gdy Daniel otworzył drzwi, do wnętrza wdarła się fala gorącego powietrza i rażący blask słońca odbitego od szyby jakiegoś samochodu. Światło oślepiło panią Chandler na chwilę, aż musiała się cofnąć. Mrużąc oczy, spoglądała za nimi, gdy schodzili po schodach w kierunku psów czekających na chodniku.

Pani Chandler zamknęła drzwi, oparła się o nie i w chłodnych ciemnościach przedpokoju szepnęła do siebie:

— To jeden z nich. Wrócili.

Na zewnątrz rozległo się szczekanie psa.

— Te moje przeczucia — odpowiedziała.

6

— Dziewczyna z łazienki — powiedział Daniel, będąc jeszcze na schodach, o dwa stopnie niżej niż ona.

Co takiego?! Dziewczyna z łazienki? — powtarzała Nina w myślach, gdy psy na chodniku zaczynały się podnosić. Odwiązała ich smycze od słupa, na którym widniał znak z napisem: „Nie parkować!”. Nie! Nie! Nie! — pomyślała.

— To gorsze niż psia opiekunka. Chociaż... nazwał ją dziewczyną. To akurat się jej spodobało. Kiedyś pragnęła, żeby o niej myślano i mówiono „kobieta”, zwłaszcza że jest takiej drobnej postury. Teraz uważa, że „dziewczyna” brzmi młodzieńczo i seksownie.

— No tak. To jest problem. Piję i sikam, i tak w kółko. Mam pęcherz wielkości ziarnka. A noszę ze sobą dwie butelki wody po ponad pół litra każda — powiedziała, wskazując ruchem głowy na plecak. — Wypiję wszystko w ciągu najbliższych dwóch godzin.

On tylko patrzył. Psy też, z oczekiwaniem, nadzieją, stojąc na chodniku, gotowe do spaceru.

— Znam każdą publiczną toaletę na Upper West Side. Po prostu wczoraj nie dałam rady pójść do żadnej z nich. Przepraszam i już.

— A kąpiel?

— To znaczy co? Myśli pan, że potrzebuję kąpeli? — udała oburzenie. — No nie...

Psy jak na komendę usiadły z powrotem. Wywieszone języki, chrapliwe oddechy, sapanie z gorąca... Wszystkie zwróciły oczy na Ninę. Każdy z tych czworonogów marzył o tym, żeby już znaleźć się w parku.

— Ależ nie, nie... ja... Brałaś wczoraj kąpiel w moim mieszkaniu — ujął to w formę rzeczowego stwierdzenia.

Usłyszała, ale udała, że do niej nie dotarło.

— To znaczy, oczywiście, że się kąpię, zwykle pod prysznicem. To znaczy, nie kąpię się pod prysznicem, tylko biorę prysznic pod prysznicem. I to codziennie.

Gdy już przetrwała to, co przed chwilą powiedział, spojrzała na niego z wyrzutem.

— Zaraz... czy pan myślał, że wczoraj naprawdę kąpałam się w pana łazience? — otworzyła usta tak, by wyrażały całkowite zdumienie. — No nie. A po co niby miałabym to robić?

— Nie mam bladego pomysłu.

— Niech pan posłucha — powiedziała z uśmiechem, zalotnie, celując w niego palcem — w porządku, skorzystałam z pańskiego kibelka, ale na pewno...

Daniel zmarszczył brwi. Ledwo widoczny, sceptyczny uśmieszek na jego twarzy całkiem zbił ją z pantałyku.

— Nie kąpałam się. A poza tym mówi się „nie mam bladego pojęcia”, a nie „nie mam bladego pomysłu”. Co to, czyżby język prawników był inny niż normalnych ludzi? — uśmiechnęła się przy tym, aby pokazać, że się droczy.

— Moglibyśmy nie omawiać kwestii mojej jamy ustnej? Ledwo się znamy.

To ją tak rozbawiło, że wybuchnęła głośnym śmiechem.

— Głupi żart — powiedział przepaszająco.

— Ale inteligentny — odparła.

Patrzyli na siebie chwilę zawstydzeni. Psy coraz bardziej się niepokoiły: zrywały się na cztery łapy, obracały i znowu siadały, niecierpliwie skomląc.

— Pójdę już — powiedział i zaczął się oddalać. Coś nie pozwalało mu jednak odejść.

— Poczekaj — zawołała Nina, ciągnąc za smycze. Następna chwila zdawała się trwać w nieskończoność, jak wtedy, gdy człowiek wie, że zdarzy się coś strasznego, i nic na to nie może poradzić. Jak w *Ptakach* w scenie na stacji benzynowej: strużka benzyny, płonąca zapalka, twarz Tippi Hedren, rzucona zapalka, płomień, przerażona twarz Tippi Hedren, wybuch. W przekładzie na tę sytuację: Nina czuje szarpnięcie i coś pociąga ją do tyłu, psy się denerwują, Nina odwraca się, widzi smycz Sadie wokół kostek Daniela, zaniepokojona twarz Niny, twarz Daniela, który zaczyna zdawać sobie sprawę z sytuacji, Sadie znowu ciągnie, linka zaciska się wokół nóg Daniela, przerażona twarz Niny i...

— Co... aj... — Daniel klapnął tyłkiem w chodnik. Siedział tam, pośród dwunastu psów, które zniecierpliwione wrywały się i zaciekle ujadły. Wpadły w histerię, jakby ktoś cisnął w nie jakimś nieznanym, niebezpiecznym przedmiotem. Przeciągnęły Daniela prawie o metr, zanim Nina zdołała je opanować.

— Hej! Pieski! Spokój! — wrzeszczała. — O Boże, Boże! Przepraszam — uklękła, żeby go wyplatać i pomóc mu się podnieść. Nie było to łatwe, bo równocześnie musiała uspokajać dwanaście psów.

— Nic się nie stało... To nic — powiedział Daniel, wstając i otrzepując spodnie na siedzeniu. Nina zdążyła pomyśleć, że pod tymi luźnymi spodniami khaki na pewno kryją się zgrabne pośladki. Może posiniaczone. Zauważyła, że w tym zamieszaniu oderwał mu się róg lewej kieszeni z tyłu.

— Muszę już iść — powiedział.

— Naprawdę bardzo przepraszam. Spodnie...

— W porządku.

Spojrzał na nią żałośnie i niepewnie, jakby chciał coś dodać, ale po chwili odwrócił się i odszedł. Nina patrzyła jeszcze za nim, kiedy przechodził przez ulicę. Miała ochotę krzyknąć... Co tam krzyknąć, chciałyby za nim pobiec, przytulić go i sprawdzić, czy naprawdę nic mu się nie stało, ale musiała wstąpić po jeszcze jednego psa, a robiło się późno, więc pognała, nie roztrząsając tego, co przed chwilą zaszło. Na to będzie czas później.

Ruszyła w stronę Central Parku i 88 ulicy, żeby odebrać Lucę, żółtego labradora, którego właścicielem był Jim Osborne — reżyser seriali komediowych. On sam wcale nie był zabawny. Sposób, w jaki traktował Lucę, tym bardziej. Może i zrobił kilka świetnych seriali komediowych, ale to nie usprawiedliwia faktu, że nie wpuszcza Luki do mieszkania.

Każdy wie, że gdy bierze się do domu psa, staje się on członkiem rodziny. Nawet gdy tego nie chcemy. Wcześniej czy później zawładnie on naszym życiem, kanapą, miejscem na łóżku, a nawet sercem. Nie ma na to rady. Chyba że jest się Jimem Osbornem i ma się serce z kamienia. Jim trzyma dużą, pełną werwy, silną Lucę na tyłach mieszkania. Kiedy Jim spożywa posiłek w jadalni, Luca jest zamknięta za barierką dla dzieci w pomieszczeniu za kuchnią. Gdy Jim siedzi przed telewizorem, zaśmiewając się z własnych dowcipów, Luca jest zamknięta za barierką dla dzieci w pomieszczeniu za kuchnią. I kiedy Jim jest w łóżku, Luca leży na swoim pościeli za barierką dla dzieci w pomieszczeniu za kuchnią.

Wydaje się oczywiste, że pies — jak człowiek — zamykany, izolowany, trzymany zawsze z dala, zwariuje. Taka właśnie była Luca. Neurotyczna, szalona suczka, która wpycha każdą łapę do każdej windy, szczeka i szczyrzy groźne kły na każdego mijanego psa, szarpie smycz z zaciętością pumy.

Dlatego codziennie po południu, gdy Nina zabierała Lucę, starała się przed wyjściem okazać jej trochę ciepła, serdeczności. Czasem Jim był u siebie w gabinecie, zajęty płodzeniem kolejnej śmiesznej sceny. Wtedy musiała chodzić na palcach, żeby przypadkiem nie przerwać strumienia geniuszu spływającego na komputer. Gdy go nie było, mogła wejść dalej, popieścić i poprzytulać Lucę, dopóki się nie uspokoiła i czuła na tyle swobodnie, by móc dołączyć do innych psów.

Tego dnia Jim był w domu, co Nina zauważyła zaraz po otwarciu tylnych drzwi. Nie odezwała się ani słowem, nauczona, że nie powinna otwierać ust pierwsza. Luca podbiegła wielkimi susami i zaczęła ocierać się o Ninę, aż ta musiała przytrzymać się futryny, żeby nie upaść.

— Hej, malutka — szepnęła, drapiąc Lucę za uszami, pod brodą i po grzbiecie. — Co słyhać?

Przymocowała smycz do obroży i wyszła powoli, cicho zamykając za sobą drzwi, żeby nie zakłócić spokoju laureatowi Nagrody Emmy. Za każdym razem, gdy opuszczała to mieszkanie, nie zamieniwszy słowa z właścicielem, czuła ulgę. Nic wielkiego nigdy się nie wydarzyło, jeśli pominąć ten jeden raz, kiedy dopiero zaczynała i jeszcze nie знаła zasad — zagadnęła wówczas Jima, a to go rozproszyło i stracił twórczy wątek. Odwrócił się w jej stronę i wrzasnął na cały głos: „Zamknij dziób!”. Od tego dnia tylko raz na jakiś czas widuje jego piorunujące spojrzenie, ale za każdym razem przekracza jego próg z duszą na ramieniu. Wydaje jej się nieuniknione, że któregoś dnia nie wyjdzie stąd żywa.

Dzisiaj jednak znowu się udało. Kiedy Luca dołączyła do grupki psów na chodniku, wszyscy razem poszli do Central Parku, gdzie czworonogi najpierw po kolei sikały, potem sikały na miejsca obsikane przez pozostałe, potem węszyły, robiły kupy, wreszcie spacerowały i merdały ogonami. Nie wiedziały, jak mocno bije jej serce po spotkaniu z Danielem. Czy to na myśl o tym spotkaniu, czy o nich dwojgu, dość że ręce jej

dygotały, a wszystkie zmysły się wyostrzyły. Nina zastanawiała się, czy psy czują silną woń forsycji, czy zauważyły dziecko, które podniosło garść piasku i wsadziło sobie do buzi, i jego matkę krzyczącą ze śmiechem: „Nie, nie! Jonathan, nie wolno!”. Czy jej podopieczni dostrzegli okrytą czerwonym pledem staruszkę na wózku pchanym przez pielęgniarkę w białym stroju? Czy zwrócili uwagę na parę obściskującą się na biało-niebieskim obrusie w kratę na trawie? Albo na dzieci grające w piłkę nożną na piaszczystym boisku? Ojca jadącego na rowerze z jednym dzieckiem w siodełku z przodu i drugim z tyłu? Dziewczynę w niebieskim bikini w paski, leżącą na różowym ręczniku z napisem „Wojna i pokój”? Co widzą psy? Mają dobry wzrok i silny węch, ale co tak naprawdę dostrzegają? Niektórzy twierdzą, że mózg psa można porównać z mózgiem dwuletniego dziecka. To znaczy, że odczuwają miłość, smutek, radość i strach. Ale czy rozumieją, co dzieje się wokół? Nina ma tę świadomość, a dzisiaj życie toczące się w parku poruszyło ją w szczególny sposób. Nagle poczuła pod powiekami łzy. Żyjesz, coś psujesz, jak ona przed chwilą z Danielem, żyjesz. Dowodem jest to wszystko wokół: psy, trawa, zieleń, upał, dzieci, rowery, brud, kochankowie, życie. To wszystko można zobaczyć tylko w Nowym Jorku, tylko w tym parku i tylko, gdy ma się oczy otwarte.

7

Tego wieczoru Nina była umówiona na randkę. Nienawidzi randek, ale nienawidzi też niechodzenia na nie. Tym razem dodatkowo zniechęcał ją fakt, że randka miała się odbyć w dniu jej ostatniego, jeszcze świeżego w pamięci, przypadkowego spotkania z Danielem. Ale co tam! Przecież musi zakładać mało realną możliwość, że ta albo którakolwiek randka przeistoczy się we wspaniałą, żarliwy romans, a może nawet prawdziwą miłość. Poza tym umowa to umowa. Zmusiła się więc, żeby wstać i założyć ulubioną (i jedyną) letnią sukienkę. Bez rękawów, czarną, obcisłą, ale wygodną. Nina zdążyła się już przekonać, że gdyby musiała myśleć o tym, co ma na sobie, czy ubranie odsłania za dużo, czy za mało, czy coś się jej podwija albo marszczy, gdyby nie mogła swobodnie wsiąść do taksówki albo uciec przed niebezpieczeństwem, przeżywałaby prawdziwe katusze i cokolwiek by robiła, ten czas byłby stracony. Bezproblemowy strój — to jej zasada.

Założyła czarne sandały na boscie stopy, związała włosy wysoko w kucyk. Żadnej biżuterii, z wyjątkiem maleńkich brylantowych kolczyków, które dostała od ojca. Poruszyła głowę, próbując uchwycić refleksy światła, zobaczyć, jak lśnią — co było możliwe, gdy powoli, ostrożnie obracała głowę w lewo, a potem przechylała ją w dół, w kierunku barku. Przypomniła się jej ten wieczór, gdy je otrzymała.

To były jej osiemnaste urodziny. Ojciec spojrzał jej prosto w oczy, co zdarzało mu się nieczęsto. Zawsze sprawiał wrażenie zupełnie niezainteresowanego jej życiem. Miał cygańską duszę, uwielbiał być w ruchu, zawsze dokądś gnał, nawet gdy miało to znaczyć — o czym się niedługo potem przekonała — porzucenie żony, obowiązków i jej. A ona tak bardzo chciała być jego księżniczką, tak jak jej przyjaciółki dla swoich ojców. On natomiast tak bardzo nie chciał być królem (oczywiście w przenośni, bo nie zna nikogo, kto byłby bogaty jak na króla przystało). Tamtego wieczoru był jednak przy niej, a w ręku trzymał mały czarny woreczek z aksamitu.

— Niedługo skończysz szkołę. Jestem z ciebie dumny. Nieważne, co teraz wybierzesz: kurs dla sekretarek, małżeństwo, a może nawet studia, zawsze będę z ciebie dumny.

Spojrzał na nią, chyba spodziewając się odpowiedzi. Ona natomiast myślała tylko o jednym: kurs dla sekretarek? Czy jej ojciec naprawdę wcale jej nie zna? Nie wie, że cały rok wypełniała kwestionariusze przyjęć na studia? Czyżby był jedynym żydowskim ojcem na świecie, któremu nie zależy na dyplomie? Albo i dwóch?

— To dla ciebie. Kocham cię, dziecińko.

Otworzyła woreczek i znalazła w nim te same brylantowe kolczyki, które dawał jej już dwa lata wcześniej. Aż zakręciło się jej lekko w głowie, jakby miała wyraźne *déjà vu* albo traciła zmysły. Spojrzała na niego z niedowierzaniem. Nie dość, że ma wobec niej tak niskie wymagania — „a może nawet studia?” — to jeszcze tak rzadko o niej myśli, że zapomniał, iż w jej szesnaste urodziny już odprawił ten sam rytuał.

Oczywiście, ktoś inny mógłby na to spojrzeć zupełnie inaczej: ojciec, co prawda, taki roztrzepany, kocha ją tak bardzo, że daje jej dwa razy ten sam podarunek, pragnąc wyrazić siłę swoich uczuć.

Tyle tylko, że taki ktoś byłby idiotą. Nawet ona musiała jednak przyznać, że dla ojca był to moment szczególny, i nie chciała mu tego zepsuć. Pomyślała, że jeśli zacznie coś mówić, on chyba się rozplacze, więc odczekała chwilę i założyła kolczyki.

— Piękne — powiedział ojciec.

Stanął za nią, położył dłonie na jej ramionach i patrzył na jej odbicie w lustrze.

Teraz, szykując się na randkę, Nina spoglądała w lustro i zastanawiała się, gdzie się podziało tych osiemnaście lat. Ojciec odszedł. Któregoś dnia, niedługo po owym Wieczorze Drugiej Pary Kolczyków, wyjechał. Widywała go jeszcze później, ale na palcach rąk można by policzyć, ile razy. Teraz, siedząc przed lustrem, uniosła jedną dłoń jak do złożenia przysięgi w sądzie, że będzie się mówiło prawdę, całą prawdę i tylko prawdę, a po chwili wstała, wyprostowała się i powiedziała na głos:

— No nie. Wystarczy. Mam randkę.

Sam, siedzący przy jej prawej nodze, podniósł głowę, popatrzył na nią i na jej odbicie, i jeszcze raz na nią i na jej odbicie, niespokojny, niepewny, która Nina wysłucha jego prośby o coś do jedzenia. „Jeść. Jeść. Daj mi jeść. Proszę. No, proszę! Ciastko. Coś do żucia. Coś do żarcia. Cokolwiek. Jestem głodny!”

Jeszcze raz popatrzyła w lustro. Wygładziła sukienkę, poprawiła włosy. Spojrzenie z profilu, *en face*, uśmiech.

Osmagana słońcem skóra, brązowe włosy z jasnymi refleksami, zaróżowione od słońca policzki. Trochę szminki i już. Jest gotowa do randki, jeśli nie do tego, by kochać i być kochaną bez strachu przed porzuceniem i zdradą. Chwyliła płaską czarną torebkę (klucz do mieszkania tkwił bezpiecznie ukryty w przegródce na drobne) — podróbkę tych od Prady, zamykaną z trzech stron na zamek — pochyliła się i ucałowała Sama w łeb.

— Ciebie, Samku, kocham prawdziwie, całkowicie, szalenie — powiedziała.

On skomlał: „jeść! jeść!”

I już była za drzwiami.

Było tak parno, nawet teraz, że Nina z trudem oddychała. Jak w zupie — pomyślała. W takich chwilach odzywała się jej klaustrofobia — musiała się zatrzymać, żeby złapać oddech. Doszła do metra, dojechała linią

B do F, a tą do autobusu numer cztery i wysiadła przy ulicy Lafayette w Soho. Była tam umówiona z Ziggym Wallersteinem, z którym miała iść na kolację i do kina.

Ziggy był radiologiem, którego poznała w kawiarni niedaleko Tower Records przy Lincoln Center. To było dwa tygodnie temu. Skończyła popołudniowy spacer i niezmiernie potrzebowała dawki kofeiny w czymś zimnym, lodowatym. Stąd też znalazła się na obrotowym stołku w małej knajpce na alei Kolumba. Sącząc zmrożoną mocę latte, zobaczyła, jak wszedł, coś zamówił, spojrzął w jej stronę i uśmiechnął się. Odwróciła głowę. W końcu zwróciła się z powrotem w jego stronę, ale jego już nie było. I dobrze — pomyślała. Po kilku minutach wyszła i ruszyła w stronę Tower, gdzie chciała kupić oryginalne broadwayowskie nagranie *The Pajama Game*.

Kiedy tylko znalazła się na ulicy, facet z kawiarni wyrósł u jej boku jak spod ziemi.

— Cześć — powiedział.

— Cześć — odparła.

— Dokąd idziesz? Mogę się przyłączyć? — zapytał.

— Chyba tak.

— No to gdzie idziemy?

— Do Tower.

— Świetny podkoszulek.

Spojrzała w dół. Miała na sobie zdarty podkoszulek Uniwersytetu Twardogłowych. Ma całą kolekcję podkoszulków uniwersyteckich, obejmującą T-shirty ze stu szesnastu istniejących uczelni oraz żartów jak ten i podróbek z wszystkich pięćdziesięciu stanów, dwudziestu krajów i wszystkich kontynentów. Jest ze swojej kolekcji dumna, ale coraz trudniej zmieścić to wszystko w małym mieszkaniu.

— Nie mogę oderwać od ciebie wzroku.

Nie odpowiedziała. Miał korektę nosa, zauważyła. Doszli do Broadwayu i zatrzymali się przed światłami.

— Co chcesz kupić w Tower?

— *Pajama Game*.

— Uwielbiam *Pajama Game!* — krzyknął zbyt głośno, zbyt entuzjastycznie. — To, zdaje się, musical?

Weszli do sklepu.

— Pozwól, że zrobię ci prezent — zaproponował. Otworzyła usta, żeby odmówić.

— Nie odmawiaj, proszę, pozwól, że to dla ciebie zrobię.

Po słowach „pozwól, że to dla ciebie zrobię” była zdolna wybaczyć mu ten nos, to, że jest 15.30, a on nie w pracy, i jakąś nerwowość, która kazała jej myśleć, że jest dilerem narkotyków. Pozwól, że to dla ciebie zrobię — powiedziała do siebie w myślach i uśmiechnęła się.

Znaleźli płytę na tyłach, w dziale musicali. Kupił też jedną dla siebie. Wyszli razem ze sklepu, każde ze steam heat w małej żółtej torebce.

Chciała się pożegnać i podziękować, ale on odezwał się pierwszy:

— Mogę cię gdzieś zaprosić?

— Dziękuję za prezent.

— Może w przyszły weekend? W ten weekend pracuję, ale w przyszłą sobotę moglibyśmy się wybrać na kolację, może do kina.

Czuła ciężar torebki w ręku. Jak mogłaby odmówić? Dobrze. Zgadza się.

— Czym się zajmujesz?

— Jestem radiologiem, ale chwilowo zajmuję się też czymś innym. Pracuję dorywczo w Szpitalu Roosevelta i prowadzę jeszcze inną działalność.

Handel koką w Ameryce Południowej? — pomyślała.

— Oj, a nazywam się Ziggy Wallerstein.

O la la — pomyślała. — Nie żeby była antysemitką, ale Ziggy Wallerstein?

— Nina Shephard — przedstawiła się.

Uścisnęli sobie dłonie, wymienili numery telefonów i pożegnali się. On ruszył w stronę centrum, a ona w przeciwną.

— Świetny T-shirt — krzyknął jeszcze, będąc prawie o przecnicę dalej.

Usiłowała się uśmiechnąć. Spojrzała na zapakowaną płytę, zła na siebie za to, co właśnie zrobiła.

I oto teraz on stoi przed kinem Angelika, zgodnie z umową. Z szerokim, głupkowatym uśmiechem na tej swojej facjacie z dużo za małym nosem.

— Hej — przywitała się, zmuszając się do uśmiechu.

— Ładnie wyglądasz — odparł. — Chodźmy, zaraz się zacznie.

To był jeden z tych filmów kina niezależnego, które nie zasługują na zapamiętanie. Pełno w nich narkotyków, nagości i ciągłych narzekań bohatera, który nie ma w sobie nic sympatycznego, a jego zdanie o czymkolwiek nikogo nie interesuje. Przynajmniej kino było klimatyzowane. Tylko dlatego Nina nie zasnęła.

Zachowała czujność także dlatego, że Ziggy trzymał ją za rękę. Co on sobie myśli? Przywitali się, kupili popcorn i dietetyczną colę, znaleźli dwa miejsca w głębi, ale nieco z boku, bo ciężko się było dalej dostać, i spędzili chwilę na rozmowie o minionym tygodniu („Dużo pracy. Całkiem niezłe”). W sumie jednak ledwo się znali. Nie wydarzyło się między nimi nic, co wywołałoby jakieś ciepło, intymność, grę zmysłów i mogłoby być naturalnym bodźcem do takiego zachowania. Skąd więc u niego myśl, że jak tylko światła zgasną, będzie mógł wziąć ją za rękę i spotka się to z aprobatą?

Nie chciała zranić jego uczuć, więc zostawiła dłoń w jego uścisku. Czuła się jednak nieswojo, było jej niewygodnie, gorąco. W sali był tłum, a oni siedzieli gdzieś w głębi, więc może odezwała się jej klaustrofobia. Wtedy on zaczął przesuwac kciukiem po jej kciuku i wierzchu dłoni. Nie znosi, kiedy faceci tak robią. O co chodzi z tym głaskaniem? To jej przypomniało byłego męża, który na co dzień raczej nie okazywał jej czułości, ale ilekroć byli na przyjęciu, natychmiast jego dłoń lądowała na jej plecach i przesuwała się we wszystkie strony, jakby dając sygnał: „Należysz do mnie. Pamiętaj, że tu jestem, a ty jesteś moja”. Jejku, jak tego nie znosiła! Rozpraszało ją to, swędziało, czuła się jak pies posiadany na własność i pieszczony, jak teraz z tym kciukiem. Wyszarpnęła dłoń. Obrócił głowę, żeby na nią spojrzeć, ale ona niewzruszenie wpatrywała się w ekran, udając zainteresowanie filmem. Po chwili on również patrzył przed siebie. Czas dłużył jej się niemiłosiernie. Wreszcie film się skończył i wyszli z kina.

To jeszcze nie koniec. Nadeszła pora na kolację w Blue Ribbon Sushi na Sullivan. Zbyt dużo ludzi, zbyt modnie i za ciasno — mało powietrza, małe stoliki, za dużo Ziggy'ego. Jednak tuńczyk na ostro ze świeżymi kiełkami i arugulą, owo połączenie pikantnego ze słodkim, chrupiącego z miękkim, sprawiły, że było warto tu siedzieć.

Ziggy spędził sporo czasu na mętym opowiadaniu o swojej podejrzenie niejasnej sytuacji życiowej. Jest radiologiem. Ogólnie rzecz biorąc. W bliskich stosunkach z ojcem — chirurgiem plastycznym (a jednak!). Czasami. Wie, czego chce w życiu. Chociaż nie bardzo dokładnie. Dużo podróżuje do miejsc, o których nic nie wspominał. Nie brak mu pieniędzy, których najwyraźniej nie wydaje na ubrania. A kiedy wrócił z toalety, pociągał nosem i pocierał go.

Wkrótce potem Nina wstała, wymawiając się tradycyjnym: „jest późno, a jutro muszę wcześniej wstać, żeby wyjść z psem”, wskoczyła do taksówki i dwadzieścia minut później była już przed domem.

Ktoś stał przed wejściem. Gdy Nina wysiadła z taksówki, ten ktoś zaczął nerwowo podskakiwać w miejscu i energicznie machać ręką.

— Ni-naa! Jestem!

To była Claire. Ale przecież powinna być w Kalifornii!

— O Boże! — pisnęła Nina. — Co ty tu robisz?! Objęły się, co nie było łatwe, bo Claire przewyższała Ninę wzrostem prawie o głowę. Z lubością przytuliły się do siebie. Claire odsunęła się pierwsza, przyjrzała się Ninie, utuliła ją jeszcze raz, obróciła ją w lewo i w prawo, cały czas się śmiejąc.

Wreszcie Nina wyrwała się z jej objęć, niemal spychając przy tym przyjaciółkę ze schodów.

— Wróciłaś! Ja cię! To dopiero!

— No dobra. Daj mi je — powiedziała Claire, wrywając Ninie klucze. Otworzyła drzwi. Weszły do budynku.

— Miło wiedzieć, że ani trochę się nie zmieniłaś, kiedy mnie tu nie było. Jesteś taka jak zawsze. Ale, jak to mówią w Hollywood, to super dobrze.

— Będziesz chciała wrócić do pracy?

Claire jej nie słyszała. Zaczęła już wspinaczkę pod górę do mieszkania położonego cztery piętra wyżej. Nina wkrótce ją dogoniła i wspólnie, dysząc ciężko, zgodnym rytmem dotarły do celu. Nina wyjęła klucze z ręki Claire i otworzyła drzwi.

— Pewnie będziesz chciała wyprowadzać psy, nie?

Claire wpatrywała się w kompozycje Niny. Dotykała koralików, szkiełek, przyglądała się węzłom na całej wysokości. Powoli przechodziła od jednej konstrukcji do drugiej, każdą uważnie obchodząc dookoła, obserwując z uwagą, tak jak to robią prawdziwi przyjaciele.

— Nina, one są... niezwykle. Sama je zrobiłaś?

— Przecież to nic takiego. Zwykle śmieci pozbierane z ziemi.

— O nie! Są naprawdę super! Wspaniałe — zwróciła się w stronę Niny, która cały czas patrzyła na nią ponuro. Pochyliła się, żeby spojrzeć Ninie w oczy, i zapytała: — Co się dzieje? Powiedz.

Nina nie odpowiadała.

— No... Nina. Przecież nie chcesz wyprowadzać psów do końca życia — odezwała się Claire.

Nina zmarszczyła brwi.

— Nie chcesz, prawda?

— No... nie — nie była przekonana — ale na pewno nie chcę pracy na etacie.

— Musisz mieć jakąś pracę. Chyba że po moim wyjeździe na tyle się wzbogaciłaś, iż nie musisz myśleć o takich rzeczach.

Nina uśmiechnęła się pogardliwie.

— Ale nie prawdziwą posadę. Nigdy więcej. Chodzić do biura, mieć szefa, być dla wszystkich miłą.

— To rozumiem. Bycie miłym cały czas to z pewnością nie jest coś, co człowiek chciałby robić codziennie — uśmiechnęła się Claire. Podeszła do lodówki i nalała sobie dietetycznej coli.

— Poza tym, spotkałam go dzisiaj. To znaczy wczoraj. A potem znowu dzisiaj — powiedziała Nina.

— Kogo? O czym ty mówisz?

— No, zgadnij.

— Daniela?

Nina skinęła głową.

— I co? — na twarzy Claire pojawił się uśmiech.

Cisza.

— No i?

— I co? I co? A co ma być? Kapałam się w jego cholernej wannie.

— Nie krzycz na mnie. Ja nie... Co?! Co robiłaś? Nina nie potrafiła się zdobyć na powtórzenie tego wyznania.

— A teraz jeszcze ty się zjawiasz. Właściwie, to co tu robisz? Nie dzwoniłaś, nie pisałaś. Nie uprzedziłaś mnie w żaden sposób.

— Czekaj, czekaj. Nie tak szybko, dziewczyno.

Tym razem, inaczej niż w ustach Daniela, słowo „dziewczyna” miało podkreślić brak dojrzałości. Bez żadnych odniesień do płci.

— Kapałaś się w jego łazience? — ciągnęła Claire. — W jego mieszkaniu? Jego mydłem? I on tam był? Wiedział, zaproponował: „Może byś się wykapała?” — zaczerpnęła tchu. — Zaraz. Moment. Opowiedz mi wszystko po kolei.

— Było gorąco. Byłam spocona, zmęczona. Mieszkanie było puste. No więc...

Claire potrząsała głową. Jej złote włosy huśtały się na boki.

— Niiii... naaa!

Claire w szczególnie sposób wymawiała to imię, z francuska, z naciskiem na końcówkę.

— Pewnie chcesz wrócić do pracy?

— Nie, jeszcze nie. Nie teraz. Może za kilka tygodni, miesiąc. Cieszę się, że mnie skreślili z obsady, ale teraz to trochę potrwa, zanim się znowu wdrozę do życia tutaj. No to jeszcze jakiś czas to pociągniesz?

Nina wzruszyła ramionami.

— Tylko bez głupstw — dodała Claire — bo jeszcze się wpakujesz w kłopoty.

Kilka tygodni. Nawet miesiąc. To o wiele za mało, ale musi wystarczyć. Nina objęła przyjaciółkę.

— Cieszę się, że przyjechałaś. Masz ochotę na wino?

— Ja też się cieszę. Poza tobą nie mam nikogo.

— Wiem. Ja też.

— WRÓCIŁAM!

— WRÓCIŁAAAS!

Obie wykrzykiwały jak dzieci, obejmując się i podskakując.

W końcu zmęczyły się i ucichły. Nina wyjęła z lodówki butelkę białego wina. Claire przyglądała się kompozycjom.

— Są naprawdę dobre — zauważyła i obróciła się w stronę Niny. Patrzyła na nią, tak jakby widziała ją po raz pierwszy.

— Chodź — zawołała Nina, idąc na taras z butelką i dwoma kieliszkami.

Tak oto dwie stare przyjaciółki wróciły do momentu, w którym się rozstały, jakby tej dwunastomiesięcznej rozłąki ani odległości pięciu tysięcy kilometrów nigdy między nimi nie było.

8

O trzeciej nad ranem wszystko przybiera niebieskawy odcień księżyca. To, co w świetle dnia wydawałoby się realnym zadaniem, o tej porze staje się nadludzkim wyczynem, szczytem nie do zdobycia — skalistym, urwistym, pełnym groźnych występów, od którego dzielą nas miliony kilometrów. Nina czuła, że jest w potrzasku. Z galopującym sercem wyszła z łóżka.

Sam, ze swojego posłania wyłożonego czerwonym pledem, obserwował oczywiście każdy jej ruch, ale gdy uznał, że nic jej nie grozi, opuścił łeb z powrotem na przednie łapy. Zasnął w jednej chwili, jak to potrafią tylko psy i dzieci.

Nina wyszła na taras. Jej wzrok powędrował ponad parkiem ku miastu, które leżało daleko w dole. Księżyc był w pełni, w jego blasku liście drzew lśniły tak samo jak gwiazdy w górze. Nina zmiotła trochę kurzu z okalającego taras ceglanego murka, który miał ją chronić przed roztrzaskaniem się o chodnik kilkanaście metrów niżej. Dwa dni temu poznała Daniela. Kilka godzin temu wróciła Claire. W sumie wyszła na taką idiotkę! I nic w tym dziwnego. Przecież jest idiotką! Kapać się u niego! Kiedy to drobne myszkowanie, zaglądnienie tu i tam zamieniło się w korzystanie z wyposażenia cudzych domów? Musi z tym skończyć. Powinna zaprzestać tego okropnego — i ryzykownego — zachowania, i to jak najprędzej. On jest przecież prawnikiem! Mógł ją aresztować. Co gorsza, mógł pozwać ją do sądu. Musi się więc z nim spotkać w bardziej sprzyjających okolicznościach. Tylko jak i kiedy? Nigdy go nie ma, gdy ona przychodzi po Sida. Zwrócić na siebie jego uwagę, sprawić, żeby dojrzał w niej normalnego człowieka, żeby zechciał ją bliżej poznać — i osiągnąć to za pomocą legalnych i etycznych metod — oto wyzwanie, które przed nią stoi.

A za dwa tygodnie, może miesiąc, kto wie, Claire będzie chciała wrócić do dawnego zajęcia. To tak niedługo! Ta praca to dla Niny wszystko. Kto by pomyślał, że będzie się uważała za opiekunkę psów. Wydaje się, że nie dalej jak wczoraj pisała teksty na obwoluty dla wydawnictwa Random House, roztrząsała z autorami

kwestie użycia przecinków, traktowana jak śmieć przez wyręczających się nią redaktorów ignorantów. Tak to już jej dojadło, że była bliska wyskoczenia przez okno.

Claire zadzwoniła w najbardziej odpowiednim momencie — najlepsza przyjaciółka zawsze wie, kiedy jest potrzebna. I życie Niny całkiem się odmieniło. Teraz nie ma już powrotu do przeszłości. To nie znaczy, że Nina chciałaby na zawsze pozostać psią opiekunką. Po prostu, jak to zwykle bywa w takich sytuacjach, bardzo trudno jest jej myśleć o przyszłości, a dużo prościej rozpamiętywać to, co minęło. I właśnie tym się zajęła.

Oczywiście to nie miłość do psów uczyniła z niej najpopularniejszą opiekunkę na Upper West Side w Nowym Jorku. Co nie znaczy, że nie kocha psów. Kocha je, ale dowiedziała się o tym dopiero w wieku trzydziestu trzech lat, kiedy jej małżeństwo już się rozpadało. To było dwa lata temu, dokładnie pamięta tamten dzień. Szła sobie aleją Kolumba ze swoim przyszłym byłym małżonkiem, który właśnie wygłaszał jej wykład o wysublimowanym romantyzmie Luisa Buñuela, którego filmy wymagają od widza pewnej dozy inteligencji, a wiadomo, że on jako filmowiec i członek Mensy takową posiadał (czego oczywiście nie da się powiedzieć o niej), kiedy mały biało-brązowy beagle z wywieszonym do ziemi różowym językiem wyrwał się swojemu panu i tak się do niej łąsił, że udało mu się dosięgnąć przednimi łapami jej kolan. Obwąchiwał ją, ocierał się pyskiem, lizał i sapał, jakby wiedział, jak bardzo jej potrzebne czyjeś zainteresowanie. Może w proteście przeciwko temu całemu surrealizmowi, a może aby zmanifestować swój wstręt do intelektualistów i przywiązanie do spraw przyziemnych, usiadła na chodniku i skrzyżowała nogi, żeby ułatwić Scoopowi wskoczenie na kolana, lizanie jej po twarzy i sapanie, gdy drapała go za uszami i głaskała po grzbiecie. W dodatku była tym zachwycona. Zupełnie jakby nagle odkryła w sobie lesbijskie skłonności, tak silne i gwałtowne było to uczucie. Jak można przeżyć trzydzieści trzy lata i nie wiedzieć, że kocha się psy?

Niewykluczone, że dzięki temu odkryciu Nina zebrała się na odwagę, by porzucić męża. Zrozumiała, że łatwo może go zastąpić o wiele bardziej wrażliwą, bardziej ludzką istotą. Wystarczy wybrać się do schroniska.

Podpisanie papierów rozwodowych było jedną z tych rzadkich chwil w życiu, po których niełatwo było się pozbierać. Potem w miłości nic jej nie wychodziło. Doszła do wniosku, że to sprawa genów. Najpierw rozwód rodziców, potem jej własny. Dwukrotnie została tak zraniona, że czuła się dużo starsza, niżby to wynikało z metryki. Czuła, że zamienia się w cyniczną zrzedę, która marzy o miłości, chociaż nie ma na nią szans. Dojście do siebie zajęło jej prawie rok.

Podobnie jak wypchany różnymi kłopotami plecak, tak Ninie zawsze towarzyszy poczucie rozczarowania. Ciężko jej z tym, prawdopodobnie lepiej by zrobiła, zostawiając ten ciężar w domu, ale tak się do niego przyzwyczaiła, że gdyby go zabrakło, czułaby się naga. W jakiś sposób jest z tych doświadczeń dumna. To, że przetrwała, dała sobie radę, sprawiło, iż we własnych oczach zasługiwała na większy szacunek, niż gdyby nie zaznała żadnych cierpień. Innym również to imponowało.

W każdym razie dziękuje Bogu za Sama. W mroźny grudniowy dzień Nina znalazła się w schronisku dla zwierząt na East 93. I wtedy się zakochała, bezwarunkowo i na zawsze, w jedenastomiesięcznym kundlu o niepewnym rodowodzie (według niej był mieszańką labradora i spaniela). To była miłość od pierwszego wejrzenia i od tamtej pory w ich związku istniały już tylko wzloty. W porządku, jest psem. Kto jednak raz doświadczy takiego uczucia, potem już zawsze będzie czuł niedosyt. Miłość między ludźmi musiałaby być niezwykle głęboka, żeby wytrzymać takie porównanie.

Wtedy Claire — Potliwa Aktorka, jak nazywają ją przyjaciele z powodu skłonności do nadmiernego pocenia się podczas przesłuchań — dostała niewielką rolę w tasiemcowym serialu komediowym i musiała na jakiś miesiąc wyjechać do Los Angeles. Claire jest najładniejsza z przyjaciółek Niny. Wysoka, jasnowłosa, do tego aktorsko utalentowana. Nina z pewnością marzyłaby o zabiciu jej z zazdrości, gdyby nie to, że Claire jest taka jak wszystkie lubiane przez Ninę osoby: neurotyczna, trochę zagubiona, niepewna siebie i zabawna. Serial widocznie potrzebował takiej postaci jak Claire: dziewczątka, które potrafi się pocić na zawołanie. Utalentowana, ale też w jakiś sposób ułomna, Claire nie zagrała wielu ról, do których jest stworzona, jak Ofelia, Nora, Emma, Ally McBeal. Na tym większą ironię zakrawał fakt, że miała w końcu zdobyć sławę w telewizyjnym programie o dużej oglądalności.

Przed wyjazdem Claire musiała jednak uporządkować swoje życie, a to oznaczało znalezienie kogoś do wyprowadzania psów, którymi zajmowała się, żeby zarobić na chleb. Kto ze znajomych nie jest całym sercem oddany pracy, kto mógłby wziąć cztery tygodnie wolnego, kto byłby gotów na taką zmianę i kto się szybko nie zniechęci ani nie będzie się czuł zbyt ważny, żeby móc się podjąć tak pogardzanego zajęcia? Tej prostej pracy fizycznej, służebnej, nie wymagającej inteligencji, lecz tylko dyspozycyjności o regularnych porach, dwóch sprawnych nóg i gotowości do zbierania psich odchodów do plastikowych torebek.

Nina się nadaje. Stara dobra Nina. Na niej można polegać.

Zwłaszcza że od jakiegoś czasu bolały ją oczy, gdy szła do pracy. Wyraźnie było widać, że powinna ją zmienić. Tej wiosny wszyscy w Random House przygotowywali najciekawszą, najwspanialszą, najbardziej poetycką, najznakomitszą — po przedrostku naj... można by mnożyć określenia — powieść, jaką wydano w XXI wieku. Nikt, oprócz Niny, nie miał tyle odwagi czy też zdrowego rozsądku, by zauważyć, że od początku wieku minęło zaledwie parę lat, co w znacznym stopniu zmniejsza doniosłość całego osiągnięcia. A kiedy ona na jednym z cotygodniowych zebrań zwróciła na to uwagę, spotkała się z takim oburzeniem, jakby popełniła świętokradztwo. Pisarzem był przystojny Brytyjczyk, a książka to całkiem niezła romantyczna powieść o osiemnastowiecznym malarzu zakochanym w kobiecie z XXI wieku (lepiej nie pytać o logikę). Zapłacono za to dzieło około ośmiu milionów dolarów, więc atmosfera w pokojach redakcyjnych i na korytarzach była nerwowa.

I nie zatwierdzono Ninie tekstu na obwolotę.

Nina pięła się wówczas po szczeblach kariery, już ją widziano na miejscu szefa (miły, sympatyczny, raczej milczący), któremu zostało pół roku do emerytury. Umiała pisać, umiała się wysławiać, chociaż czasami zbyt ostro i zbyt subiektywnie, miała wycucie w sprawach wyboru pozycji i marketingu książek.

Nie zatwierdzono jednak jej tekstu na obwolotę.

Jeśli podobał się autorowi, nie podobał się redaktorowi. Kiedy redaktor zaakceptował, naczelny i autor skrytykowali. Musiał jeszcze zaakceptować agent, żona autora, szef działu sprzedaży, pies szefa działu sprzedaży. Więc Nina poprawiała, przepisywała, zmieniała, upiększała.

Wciąż jednak tekstu nie zatwierdzano. Nina prosiła najróżniejsze osoby, żeby spróbowały jej pomóc — swoją asystentkę, asystentkę szefa, redaktora, autora, recepcjonistkę — wszystko na próżno.

Ile razy można podchodzić do napisania krótkiego tekstu, który ma informować potencjalnego czytelnika, o czym jest książka? Pewnie z milion. Zupełnie jakby cała ta ośmiomilionowa inwestycja firmy

zależała od przeklętych skrzydełek obwoluty. Nina wiedziała, że w razie niepowodzenia całe odium spadnie na nią. Sukces natomiast będzie miał wielu ojców, oczywiście z wyjątkiem niej.

Czuła, że nie jest na swoim miejscu. Owszem, ta praca pozwalała jej opłacać czynsz, ale to samo można powiedzieć o prowadzeniu taksówki albo o... wyprowadzaniu psów.

I w końcu to zrobiła. Napisała tekst na obwolutę, który został przyjęty. Obwoluta poszła do druku i wszyscy odetchnęli z ulgą, zwłaszcza Nina, która wtedy po raz pierwszy od kilku tygodni dobrze się wyspała.

Aż nadszedł ten nieuchronny dzień, w którym przybył wydruk próbny — obwoluta przysłana z drukarni do ponownego przejrzania przed wydrukowaniem pięciu milionów egzemplarzy — i został doręczony do rąk własnych naczelnego.

Nina, w swoim gabinecie w głębi korytarza i w lewo, i jeszcze kawałek w głąb korytarza, wyraźnie słyszała ten wrzask. Słyszała ciężkie kroki, im bliżej, tym głośniejsze, i po chwili zobaczyła w drzwiach redaktora naczelnego, którego głowa wydała się jej olbrzymia i czerwona niczym pomidor. Widziała parę wydobywającą się z jego uszu, oczu i ust.

Stanął w drzwiach, rzucił w nią tą nieszczęsną obwolutą i powiedział:

— To największy chłam, jaki kiedykolwiek przyszło mi czytać! Ty osobiście, ty, Nina Shephard, będziesz odpowiedzialna za upadek tego wydawnictwa!

Widocznie już nie pamiętał, że kilka tygodni wcześniej on sam zaaprobował tekst do druku. A może zmienił zdanie albo i jedno, i drugie, jak to bywa w zwyczaju znerwicowanej kadry kierowniczej.

Minął już prawie rok — pomyślała Nina, obserwując helikopter unoszący się nad Central Parkiem. Maszyna krążyła wte i wewte, tam i z powrotem, niczym ptasia mama nad zagrożonym gniazdem, a jej migotliwe światełka wyraźnie odcinały się na tle granatowego nieba.

Czego też helikopter może szukać w ciemnościach parku? Jakie niebezpieczeństwo się tam czai? Niewyobrażalne, nie do pomyślenia — to cała kategoria zagrożeń, których Nina się boi, nie wiedząc nawet, czego. Jak to jest, że człowiek reaguje strachem na coś, czego nie zna, co nigdy się nie wydarzyło, że zamartwia się z powodu czegoś, co może się nigdy nie przytrafić?

Przypomniała sobie tamten czwartkowy wieczór na początku września ubiegłego roku, kiedy poszła do Claire odebrać klucze i instrukcje dotyczące psów. Claire już w poniedziałek miała lecieć do Los Angeles.

— Tutaj jest grafik na cały tydzień. Właściciele mają twój numer do domu i na komórkę, na wszelki wypadek. Zawsze noś przy sobie telefon.

Nina spojrzała na nią z powątpiewaniem.

— Ni-naa, to ważne. Psy i ich właściciele na ciebie liczą. Była tak poważna, że Ni-naa miała ochotę zachichotać,

Kiedy Claire wręczyła jej jakieś dwadzieścia kopert w torebce Bonwit Teller, Nina nie wytrzymała.

— Pamiętam Bonwit — roześmiała się.

— Rany, Ni-naa, to naprawdę ważne.

— Bonwit Teller zamknęli kiedy? Jak dawno? A ty ciągle trzymasz torebkę — Nina zmrużyła oczy, uśmiechnęła się szelmowsko i wyciągnęła szyję w kierunku Claire. — Założę się, że wszystko trzymasz, na

pewno twoje szafy to koszmar, wypełnione po brzegi rzeczami. Rzeczami, szpargałami, których nie potrafisz wyrzucić. To przez wychowanie w rodzinie białej amerykańskiej elity.

Claire chwyciła Ninę za rękaw i pociągnęła w głąb korytarza. Otworzyła szafę. Nina nigdy nie zapomniała tego, co zobaczyła. Nie widziała dotąd czegoś podobnego. Planowanie, obsesyjny porządek, chorobliwa troska o szczegóły. To była szafa seryjnego zbrojcy. Każda półka podpisana dziwacznymi słowami, jak „pościel mieszkania królowej” czy „ręczniki dla gości” i „torby na zakupy” (gdzie na pewno leżała torba Bonwit), a nawet „koce na piknik” (chyba w odróżnieniu od koców na łóżko). Pomyślawszy; czy możliwe jest poznanie kogokolwiek? — Nina obróciła się, żeby spojrzeć na szajbniętą Claire.

— To — powiedziała Claire, stojąc ze skrzyżowanymi na piersiach rękami i głową dumnie uniesioną w górę — jest moje wychowanie. A teraz uważaj.

I Nina uważała. Jak w tym starym kawale: „Co zrobić wążemu prawie sto kilo goryłowi? — Wszystko, co zechce”.

— Każda koperta jest podpisana imieniem psa. W każdej masz adres, numer telefonu i instrukcje. Na przykład w budynku Cody'ego... zobaczysz, polubisz Cody'ego, jest taki kochany... nie ma klucza. Jeden z portierów sprowadza Cody'ego na dół i zaprowadza na górę. Więc jak idziesz po Cody'ego, musisz poprosić portiera i potem oddajesz go temu samemu portierowi. Tylko pamiętaj, że musi być ten sam. Nie dawaj Cody'ego innemu, bo się psina wystraszy. To naprawdę ważne. I słuchaj...

Otworzyła kopertę z imieniem Webster i popatrzyła na Ninę, chcąc się upewnić, że ta uważa.

— Webster jest szczególny. Można go prowadzić tylko z dwoma albo trzema psami naraz i nigdy przenigdy z Sadie, która mieszka w tym samym budynku. Nie wiem, o co chodzi, ale te dwa psy się nienawidzą.

— Stara waśń rodzinna.

— Przestań, Nina. Mówię poważnie. Chcesz, żeby się pozagryzały? To możesz mnie w ogóle nie słuchać.

— Claire...

— No i oprócz klucza lub instrukcji dotyczących klucza są też inne wytyczne. Jak zajmować się psem. Na przykład, gdzie on czy ona lubi spacerować, czy musisz go albo ją karmić, czym go/ją karmić, jego albo jej upodobania, jeśli chodzi o robienie kup...

— Mogłabyś przestać rozgraniczać płęć? Przecież to psy. Zwykle psy, które trzeba wyprowadzić, żeby nie narobiły właścicielom na dywan. Tym właścicielom, którzy tak je kochają, że łążą z nimi do psychoterapeutów, ale nie mają czasu, żeby z nimi pospacerować.

— Musisz się jeszcze sporo nauczyć. Psy to też ludzie.

— Co? — Nina parsknęła śmiechem.

— Co „co”?

— Nie, nic — wesoło odparła Nina.

— Wiesz co? Nie znoszę, jak tak robisz.

— Co robię?

— Tak się uśmiechasz z wyższością.

— Coś ty, przecież słucham. Tylko ty jesteś taka poważna. Psy to też ludzie? — nie mogła powstrzymać śmiechu.

— Ni-naa, to poważna sprawa. Te psy na ciebie liczą. Ich właściciele na ciebie liczą. Jeżeli stracę choć jednego klienta, gdy mnie nie będzie, to...

— Nie będziesz musiała. Obiecuję. Wiem, że to ważne. Naprawdę.

Claire wręczyła Ninie torbę Bonwit Teller pełną kopert z wszelkimi informacjami potrzebnymi do zejścia na złą drogę.

Tamtej nocy, siedząc z Samem na tarasie przy blasku księżyca w pełni, czytała notatki i instrukcje Claire. Wcześniej Nina uważała, że jej stosunek do Sama jest jak najbardziej normalny. Karmi go, wyprowadza i głaszcze dwa razy dziennie. Często gra z nim w piłkę, pozwala spać w nogach swojego łóżka, latem pływa razem z nim, a w weekendy wybiera się z nim na wycieczki za miasto. Mniej więcej cztery razy w roku chodzi z nim do psiego fryzjera. No dobra, jeszcze wspólnie jedzą lody... jedną łyżeczką. No, dobra... jeszcze pozwala się całować, a właściwie lizać po ustach. No dobra... i jeszcze z nim rozmawia. To dlatego, że on tak potrafi słuchać.

Klienci Claire są chorzy, to jakiś koszmar — myślała Nina. Zaczęła czytać. Najpierw list od Claire na papierze z jej monogramem.

„Droga Nino!

Witaj. Dziękuję, że przysłaś mi z pomocą. Jestem Ci naprawdę wdzięczna. Pamiętaj, żeby przestrzegać tych instrukcji co do joty (sic!). Rób dokładnie to, co napisane poniżej. Wkrótce wrócę i będę chciała odzyskać swoją pracę bez utraty choćby jednego klienta!!!

W torbie jest kilka rzeczy. Po pierwsze, klucze do mieszkań. Klucze na kółku są podpisane (sprytne, nie?) imionami psów z ich adresami (często klucze mają portierzy, a niektórych właścicieli zastaniesz w mieszkaniach). Po drugie, masz tu koperty z instrukcjami dotyczącymi każdego psa z osobna. Musisz się do nich ściśle stosować. Ściśle! Co do słowa! Dokładnie tak, jak to zapisałam! I po trzecie, jest tu też grafik miesięczny, którego masz przestrzegać jak dekalogu (jakbyś była wierząca! hahaha).

A teraz unieś prawą dłoń i coś mi obiecuj: zgadzasz się wyprowadzać moje psy zgodnie z załączonym harmonogramem, przez cztery tygodnie, kiedy mnie nie będzie. Nawet jak nie będziesz mogła chodzić, i tak będziesz musiała. Nie możesz brać wolnego ani z powodu choroby, ani z powodów osobistych, nie możesz nigdzie wyjeżdżać. Tylko w razie pobytu w szpitalu albo śmierci pozwalam Ci zadzwonić do mojego kuzyna Davida (nr 326-22-09). Poznałaś go u mnie na urodzinach (to ten, który Ci się nie podobał z powodu butów). Ale pamiętaj, że tylko szpital albo śmierć może Cię usprawiedliwić. Liczą na Ciebie psy, ich właściciele, wszyscy na Ciebie liczymy.

Nie wolno Ci w żaden sposób odstępować od tych instrukcji. Po prostu przestrzegaj ich dokładnie, a wszystko będzie dobrze. Do zobaczenia za miesiąc. Jestem Ci naprawdę wdzięczna za zastępstwo.

Twoja wkrótce sławna (hahahaha) przyjaciółka-aktorka
Claire".

Czego można się spodziewać po kimś, kto podpisuje szafę z bielizną, myślała Nina, pijąc wino. Sam uganiał się za jakąś ćmą. Otworzyła kopertę podpisaną KING.

„Imię: King.

Adres: 32 West, ulica 88, m. 2. Tel: 262-33-90.

Rasa: dalmatyńczyk.

Harmonogram spacerów: 5 razy w tygodniu, 3 razy dziennie: rano, w południe, wieczorem (zob. kalendarz).

Właściciel: Theresa i Matthew Quint.

O właścicielach: wzięta prawniczka i makler giełdowy. King to ich «dziecko».

Klucz: na kółku.

Sposób płatności: gotówka za cały tydzień zostawiana co poniedziałek na pianinie przy wejściu.

Szczególne zalecenia: Jeśli na dworze jest zimno, pies musi mieć na sobie sweter, który znajdziesz w pudełku w szafie w przedpokoju z napisem „Rzeczy Kinga”. Smycz zawsze wisi na wieszaku na drzwiach w tej szafie. Co wieczór dawaj mu naturalną wołowinę z zamrażarki (w torbie z napisem «Obiad Kinga»). Włóż całą torebkę do mikrofalówki na minutę rozmrażania i na minutę gotowania. Włóż do jego miski i dodaj trochę wody. Torebkę wyrzuć do niebieskiego kubła na surowce wtórne pod zlewem.

Inne: gdyby Theresa i Matthew mieli wyjechać na kilka dni, zadzwonią do ciebie, żebyś wzięła Kinga do siebie”.

No nie! Obce psy w moim mieszkaniu? — myślała Nina. Z Samem? O Boże, Boże. W co też się wpakowała? Sweter? Naturalna wołowina? Zabieranie do siebie na nocleg? Ten King to jakieś pieprzone ksiąŜatko! Podniosła słuchawkę i wybrała numer.

— Halo — usłyszała melodyjny głos Claire.

— Nic nie mówiłaś o nocowaniu obcych psów. Z Samem? Nie ma mowy. Dzięki, ale nie...

— One nie są obce.

— No dobra. Nieznajome. Nie znane mi. Nie znane Samowi. Tego nie mówiłaś.

— No wiesz co, Ni-naa...

— I te instrukcje! Chorobliwie pedantyczne. Ja się chyba do tego nie...

— Ni-naa, obiecałaś — jęknęła Claire. — Ja się pakuję. Rano mam samolot. Nie możesz się teraz wycofać.

— „Śnić sen, najpiękniejszy ze snów, iść w bój w imię cierpień i krzywd...”.

Claire roześmiała się.

— Wiem, że uwielbiasz te broadwayowskie piosenki, ale chyba powinnaś trochę zaktualizować swój muzyczny repertuar.

— Ja nie żartuję — i zapadła długa cisza. — Lepiej mi przywieź coś fajnego z Los Angeles. Ten mały sklepik na Melrose...

— Jesteś kochana. Będzie mi cię brakować. To tylko cztery tygodnie.

Chrobot w słuchawce i już jej nie było. Nina wypła chyba zbyt dużo wina, a jeszcze czekały inne koperty. Numer dwa. Podpisana LUCA. Ładnie.

„Imię: Luca.

Adres: 317 Central Park West, m. 22A. Tel.: 262-57-84.

Harmonogram spacerów: 2 razy dziennie: rano i wieczorem (spodziewaj się wielu wezwań specjalnych o innych porach).

Rasa: żółty labrador.

Właściciel: Jim Osborne.

O właścicielu: Jim to reżyser seriali komediowych, więc jest nieprzyjemny. Nie (podkreślone cztery razy) odzywaj się do niego, kiedy pracuje. To nie jest łatwe, bo musisz przejść przez jego gabinet, żeby dojść do psa.

Klucz: u portiera.

Sposób płatności: gotówka zostawiana w każdy poniedziałek w kopercie na haczyku razem ze smyczą.

Szczególne zalecenia: wchodzić zawsze tylnymi drzwiami dla obsługi. Musisz przejść przez gabinet Jima, żeby się dostać do psa, który jest zawsze w pokoju za kuchnią, odgradzony barierką, żeby nie wchodził do mieszkania. Nie karm go, chyba że Jim cię o to poprosi.

Inne: Luca jest słodka, ale bardzo nerwowa. Może na ciebie wskakiwać i...".

Nerwowa, samotna, spragniona uwagi i jedzenia psina. Biedna Luca. O, ja biedna — myślała Nina.

„Imię: Edward i Wallis". Tylko nie to. Anglofile z psami. „Adres: 278 Central Park West, m. 8F. Tel.: 262-71-18.

Harmonogram spacerów: 2 razy dziennie, od poniedziałku do piątku: rano i po południu. Rasa: jamniki.

Właściciele: Celeste i George Crutchfield. O właścicielach: Celeste jest historykiem sztuki, pracuje w Sotheby's, a George to bankier. Oboje są anglofilami". Miałam nosa! „Klucz: na kółku.

Sposób płatności: gotówka codziennie na stoliku przy wejściu.

Smycze: psy ci je przyniosą. Właściciele chowają je co rano i chcą, żeby psy je znalazły. To taka gra".
Brzmi świetnie.

„Szczególne zalecenia: psy wolą akcent brytyjski i będą chętniej reagować na polecenia wydawane z brytyjskim akcentem".

Edward i Wallis, jak członkowie rodziny królewskiej, jak ze skandalu w rodzinie królewskiej, jak dupki z rodziny królewskiej. I jeszcze trzeba do nich gadać z brytyjskim akcentem. Co to, to nie — pomyślała Nina. Po raz pierwszy zrozumiała tych, którzy trzymają koty.

„Imię: Siddhartha".

Chyba żartujesz?!

„Ale nazywam go Sid".

No, tak jest dużo lepiej.

„Adres: 14 West, ulica 91, m. 12A.

Tel.: 267-88-33.

Harmonogram spacerów: od poniedziałku do piątku: w południe, a także rano i wieczorem na żądanie.

Rasa: wyżeł weimarski".

Sieg Heil! Czy ktoś z nich słyszał o tym, że można wziąć psa ze schroniska?

„Właściciel: Daniel Maguire.

O właścicielu: Boski! Prawnik! Kawaler! Ale nigdy go nie widuję, bo wyprowadzam Sida tylko wtedy, kiedy on nie może”.

Takie życie.

„Klucz: na kółku.

Smycz: na stoliku w przedpokoju.

Sposób płatności: co piątek na tym samym stoliku.

Szczególne zalecenia: żadnych. Sid jest słodki i dobrze wychowany. Daniel zadzwoni, jak będzie potrzebował dodatkowych spacerów”.

To było wtedy, a teraz jest teraz. Cztery tygodnie zamieniły się w cztery miesiące, potem w sześć, a potem w dziewięć. Teraz Claire wróciła. Dla Niny to wielkie przeżycie. Claire to jej jedyna przyjaciółka, z którą rozumie się bez słów. Z drugiej strony powrót Claire nie ucieszył Niny tak jak powinien. Jeśli będzie musiała oddać Claire psa, co jej pozostanie? W głowie Niny huczało, chociaż na tarasie i w mieście dookoła panowała cisza. Żadnych błysków, warkotu helikoptera, krzyków ani syren. Tylko puls łomoczący w skroniach niczym tam-tam. Dała taką plamę! Zniszczyła, może bezpowrotnie, wszelkie szanse, jakie prawdopodobnie miała na poznanie Daniela, a raczej na to, żeby on ją poznał i żeby, przy odrobinie szczęścia — nie powinna mówić takich głupstw, ale przecież myśleć zawsze może — zakochał się w niej.

A jednak. Musi być jakiś sposób. Potrafi znaleźć miliony pretekstów, żeby do niego zadzwonić, ale zawsze będzie dla niego tylko opiekunką jego psa, pomocą, służbą, wynajętym pracownikiem. Nie, musi się z nim spotkać w sytuacji nie związanej z wyprowadzaniem psa. Może nawet w sytuacji nie związanej z nią.

I wtedy to usłyszała. Saksofon. Nie, to puzon. Tak, na pewno. Ktoś gra na puzonie, melancholijnie, łagodnie. To muzyka na żywo, grana w mieszkaniu. Dźwięki tego dużego blaszanego instrumentu dętego przedostały się przez pionowe żaluzje pokoju, przez otwarte okna i pomknęły w dół, pokonując dwa piętra kamiennego budynku o dwie przecznice dalej i dwa skrzyżowania, wdarły się na górę na czwarte piętro przez ceglany murek aż na jej taras, wprost do jej głowy i serca.

Co to takiego? — pomyślała Nina. Wsluchiwała się, wpatrzona w księżyc. Wyobrażała sobie, że widzi wspaniałą lśniącą kulę. Słyszała też perkusję — ktoś grał na niej jak na skrzypcach: z namaszczeniem, liryzmem, wydobywając melodię. Gra na perkusji z precyzją i uwagą. Nigdy jeszcze czegoś takiego nie słyszała. I pianino, o tak, wspaniałe. Tylko puzon był jednak „żywy” — zwracał się bezpośrednio do niej w tę nowojorską noc.

Wyprowadzanie psów ma wiele wad. Opiekunka nie ma kolegów z pracy, z wyjątkiem innych psich opiekunów, którzy na ogół stanowią zbieraninę prawdziwych dziwolągów. Podopieczni też nie należą zwykle do rozmownych, chociaż zdarza się im odpowiadać na „siad” lub „zostań”. Trzeba zbierać psie odchody, a w przypadku prawie czterdziestokilogramowego labradora to nie byle gratka, jeśli można się tak wyrazić.

Czasem opiekunowie sami są traktowani jak odchody, które sprzątają, i nie wiadomo, co gorsze — myślała Nina — wykonywanie tej czynności czy poczucie, że inni widzą w tobie tylko to, co zbierasz.

Przy tym wszystkim nie jest to zawód, którym można by komukolwiek zaimponować. Nikt nie marzy o zostaniu opiekunem psów.

Co jednak najgorsze, do czego najtrudniej się przyzwyczaić, z czym trzeba się zmagać dzień po dniu, to wczesne wstawanie, każdego ranka, bez wyjątku, choćby nie wiadomo co, chyba że jakimś cudem nikogo nie trzeba wyprowadzać, co nigdy się nie zdarza. Właśnie o to w tym chodzi. Opiekun wyprowadza psa wtedy, kiedy nikt inny nie chce.

Bez względu na wszystko. Siedem dni w tygodniu. Na kacu, chory, przygnębiony czy po prostu zmęczony. Opiekun psów musi zjawić się w pracy, bo inaczej będzie musiał stawić czoło złym psom, wkurzonym właścicielom i możliwej utracie zajęcia. No nie, myślała Nina następnego ranka, czując się zbyt niewyraźnie, żeby wstać. Może przez tę zakichaną randkę z poprzedniego wieczoru (kiedy się nauczy ufać intuicji i nie umawiać z facetami po operacji nosa?) albo jakieś nieświeże sushi (już widzi róbala pełznącego z żołądka do jelit i z powrotem), albo przez brak snu (gdzieś czytała, że od tego można nawet umrzeć), czy też dlatego, że na zewnątrz leje (i już jest 18°C). A może przez to spotkanie z Danielem u pani Chandler. Albo dlatego, że tak głupio się wywalił. Może, bo zrobiła z siebie głupka. Jedna z tych rzeczy. Wszystkie te rzeczy.

Z łóżka mogła dojrzeć przez okno niebo — wystarczyło położyć się na plecach i opuścić głowę z materaca, wyciągając szyję w dół i zadzierając do góry podbródek, tak że niemal uderzała głową o podłogę. W tej pozycji mogła patrzeć na niebo ponad ścianą sąsiedniego budynku. Teraz, o 5.45, niebo było złotobrazowe, słońce powoli wyłaniało się zza chmur, a jego promienie przedzierały się przez smog i deszcz.

Nina rzuciła się z powrotem na środek materaca i zapatrzyła w sufit. Do licha — pomyślała — muszę wstać, a czuję się do niczego.

Jakby czytając w jej myślach, Sam wskoczył na łóżko i mocno się do niej przytulił. Nina ledwo zareagowała — przesunęła tylko nogę, żeby zrobić mu miejsce. Położył łapę na jej ramieniu. Ona ją zdjęła. Polizał ją po policzku.

Starła ten pocałunek. Szturchnął Ninę pyskiem w głowę. Zignorowała go, wciąż wpatrzona w sufit. Odczekał kilka sekund i jakby zniechęcony takim traktowaniem, powoli się podniósł i szykując się do skoku z łóżka, wetknął jej w twarz swój ogon. Oszukał ją jednak — nagle zrobił zwrot o sto osiemdziesiąt stopni i wskoczył na nią zniecka jednym zwinnym susem. Z zamięłowania Sam był psem cyrkowym.

Nina objęła przymilającą się mordkę, przytuliła się do niej mocno i ucałowała. Potem, z silnym westchnieniem, jakby pragnąc odsunąć szczęśliwy moment i na nowo pogрузić się w rozpacz, usiadła, zepchnęła psa z łóżka i ruszyła prosto pod prysznic.

Wszystko tego ranka było trudne. Mycie głowy, golenie nóg, wybieranie białych skarpetek. Każda decyzja, każda chwila wymagała ogromnego wysiłku. Zupełnie jakby to gęste powietrze zagnieździło się w jej wnętrzu. Smętnie — tak chyba najlepiej wyrazić to, jak się czuła. Ociężała — tak się ruszała. Jak w letargu — w takim tempie się w końcu ubrała, zrobiła kawę i tost. Użyła chleba z ośmiu zbóż z piekarni nie dlatego, że tak się zdrowo odżywia, ale ponieważ jest dużo lepszy od pakowanego „pełnoziarnistego” (a Nina to Marilyn Monroe, ha, ha). Ugryzła. Żuła. Zauważyła, że mieszkanie przydałoby się pomalować. Ma dosyć tych mebli, całego tego wnętrza. Kolejny kęs. Nie podoba się jej kompozycja, nad którą właśnie pracuje. Musi ją jak najszybciej wyrzucić. Kolejny kęs. Musi coś zrobić z przedpokojem: pomalować, położyć chodnik czy coś takiego. Wybór tkaniny tak ją przeraża, że nie może się zdobyć na wyprawę do sklepu. W efekcie ma tylko rolę, żadnej ładnej narzuty, nic ciekawego, co upiększałoby wnętrze. Całe mieszkanie wygląda jak więzienna cela. Przełknęła. Spojrzała na zegar. Ojej! A niech to! Przez to całe ociąganie się w łóżku i w łazience, opieszale ubieranie się i marudzenie pewnie się spóźni. Nie ma już czasu, żeby zabrać Sama na spacer osobno. Będzie musiała go wyprowadzić razem z poranną grupą.

Wylała kawę do zlewu, przełknęła resztkę tostu, wzięła plecak, przyczepiła Samowi smycz do obroży i po chwili już byli na zewnątrz.

Kontakt z upalnym wilgotnym powietrzem odczuła jak uderzenie w kamienny mur. Przestało już padać, ale przy takiej wilgotności i temperaturze trudno to było zauważyć. Człowiek po prostu nasiąkał wilgocią. Ledwo łapała dech, gdy Sam ciągnął ją w dół po schodach i w stronę parku. Nagle zachłysnęła się powietrzem, które w przelyku wymieszało się z kawałkiem tostu, i zakrztusiła się. Nie mogła opanować kaszlu. To drapanie w gardle, to zdradliwe drapanie, które ją czasem łapie w najmniej odpowiednich momentach — na spotkaniach, u lekarza, w bibliotece, w samolocie — drapanie, od którego aż zbiera się jej na wymioty, oczy łzawią, a cała twarz staje się czerwona jak burak, dopadło ją właśnie teraz.

Dławiła się więc, krztusiła i purpurowiała z braku powietrza na Central Park West, zgięta w pół, a jej pies szalał z niepokoju. Wskakiwał na nią, łapami sięgał jej piersi, omal jej nie przewrócił, co wcale nie pomagało. Nina postawiła na ziemi plecak i mocno trzymając smycz, odpięła sprzączki i wydobyła butelkę wody Poland Spring. Napiła się i od razu poczuła się lepiej.

Jakiś robotnik niosący deski na budowę zapytał:

— Wszystko w porządku, złotko?

Fizycznie nie miała sił odpowiedzieć: „Tylko nie złotko, ty palancie”, z wysiłkiem więc wychrypiąła: — Tak, nic mi nie jest.

Kiedy już mogła oddychać bez przeszkód, ruszyła do swoich obowiązków. Pierwszy przystanek: Luca. O Boże — pomyślała — miejmy nadzieję, że Jim jeszcze śpi.

Zostawiła Sama z portierem i weszła po schodach. Zapukała do tylnych drzwi. Cisza. Weszła więc po cichu, dosłownie na palcach. Jima nie było w gabinecie. Luca leżała na swoim posłaniu, odgradzona barierką w maleńkim pomieszczeniu za kuchnią.

Po co niektórzy trzymają psy, skoro nie chcą traktować je jak członków rodziny? To pytanie dręczyło Ninę za każdym razem, kiedy przychodziła po Lucę.

Powinno być przecież jakieś prawo — myślała Nina — na mocy którego trzeba by przejść jakieś testy czy badania, by wykazać, że będzie się dobrym panem, a może nawet stwierdzić, dla jakiego psa taki kandydat na właściciela najbardziej się nadaje.

Luca miała gadżet ze sznurka, używany do zabawy z psami w przeciąganie liny. Dla Niny był to miernik poziomu zadowolenia suczki. Jeśli zabawka leżała w tym samym miejscu, w którym Nina zostawiła ją podczas ostatniej wizyty, znaczyło, że Jim w ogóle nie zajmował się psem.

No i proszę: zabawka leży dokładnie tam, gdzie zostawiła ją wczoraj. Już wie, że w tym domu nie było żadnych igraszek.

Gdy tylko Luca zobaczyła Ninę, podniosła łeb. Wyprostowała tylne łapy, przerzucając ciężar ciała na przednie kończyny. Ten sposób wstawania przypominał wielbłąda.

W końcu uniosła też przód ciała, otrząsnęła się i niezdarnie podbiegła do Niny, energicznie machając ogonem.

— Minutkę, panienko — Nina nie mogła otworzyć przekłętej barierki. — Cholera, też wymyśli.

Luca coraz bardziej się niepokoiła, drapała przednimi łapami po wierzchu ogrodzenia. Nina odepchnęła ją, nie przestając mocować się z kłódką. Aż nagle barierka się przewróciła. Nina już wiedziała, co będzie dalej.

— Co jest. Co się, kur... — Jim, który najwidoczniej się obudził, wrzasnął z sypialni na drugim końcu mieszkania. — Zamknij pysk!

— Szybko, panienko — powiedziała Nina do Luki. A do Jima: — Przepraszam. — I do suczki: — Chodźmy — i otworzyła drzwi.

Pies natychmiast wyskoczył na zewnątrz i rzucił się po schodach w dół. Nina nie zdążyła mu nawet przyczepić smyczy.

W holu Luca omal nie przewróciła starszej pani z laską, obiegła kilka razy głupiego pudła, typowego przedstawiciela swojej rasy, i zaplątała się w jego smycz, co poważnie poirytowało właściciela — pulchnego mężczyznę, który wyglądał, jakby spacer dookoła budynku miał go wykończyć, a wiadomo, że pudle potrzebują dużo ruchu i zabawy. Nina, wykorzystując sytuację, wręczyła mężczyźnie swoją wizytówkę, po czym przypięła Lucę smycz, odebrała Sama od portiera i powiedziawszy: „dzięki”, wybiegła.

Teraz, z Samem i Lucą, udała się po Kinga — rozpieszczonego dalmatyńczyka Quintów. Zostawiła Sama i Lucę przed budynkiem pod czujnym okiem portiera.

Co to, wszyscy jeszcze w łózkach? Wszyscy oprócz niej? Wiedziała, że Quintowie są w domu, bo słyszała odgłosy ich miłosnych igraszek. Kiedy weszła, King szalał: biegał tam i z powrotem od drzwi wejściowych do zamkniętych drzwi sypialni państwa. Oczywiście, on też ich słyszał. Trzeba by być głuchym jak Che, stary beagle należący do Bona, żeby nie słyszeć tych okrzyków. Chociaż chyba nie rozumiał znaczenia westchnień: „O tak, nie przestawaj!”, ale King z pewnością domyślał się, o co chodzi.

Kiedy King dołączył do Luki i Sama, powstało zbiorowisko, które można by nazwać psim Woodstockiem — za dużo energii na zbyt małej przestrzeni. Nina musiała poświęcić kilka minut i użyć sporo sprytu, żeby tę sforę uspokoić.

Z Kingiem, Lucą i Samem poszła do Crutchfieldów po Edwarda i Wallis. Nawet te dwa dobrze ułożone małe pieski zachowywały się podejrzanie. Jakby jakaś obca istota, jakaś zła, wroga psom siła wdarła się do każdego z tych czworonogów i teraz była po wnętrznościach, chcąc się wydostać. A jeśli nie przybysz z kosmosu, to co innego może je tak drażnić? Pogoda? Czyżby księżyc pod tą grubą warstwą chmur był akurat w pełni? A może psy intuicyjnie wyczuwają niepokój, podenerwowanie Niny?

Cokolwiek to było, i tak nie da się stwierdzić na pewno, co. Faktem jednak jest, że zanim Nina przyprowadziła sześć kolejnych psów, żeby zebrać całą jedenastkę, nagle w to stadko wstąpiło coś niepojętego — jakby wszystkie wstały tego dnia lewą łapą. Każdy z nich był rozdrażniony, niespokojny, niepewny. Świadkowie psiej walki byli przekonani, że ciałami zwierzaków zawładnęło coś pozaziemskiego.

A zaczęło się następująco:

Nina, jak każdy doświadczony, znający się na rzeczy opiekun psów, wiedziała, jak ważne jest odpowiednie ustawienie podopiecznych. Tak jak przydział miejsc przy stole na przyjęciach, na których Nina nigdy nie bywa, może zaowocować albo fascynującą, albo beznadziejnie nudną konwersacją, albo inteligentnymi dyskusjami o polityce, albo głupkowatymi kłótniami, jakie zwykle wybuchają między liberałami a konserwatystami. Ustawienie psów jest również sprawą wielkiej wagi. Takie czy inne rozmieszczenie może oznaczać spokój lub zamieszanie i destrukcję, jak to się stało w tym przypadku.

Nina, w swojej bezwładności, bezmyślności, w stanie prawdziwego umysłowego zaćmienia spowodowanego kiepskim nastrojem, pokpiła sprawę. Po prostu. Umieściła Lucę obok Kinga (podstawowy błąd!), a Edwarda po swojej lewej, z dala od Wallis, która znalazła się po prawej. Wszystko pomieszała. Równie dobrze mogłaby podrzucić psy w górę i pozwolić im spaść w przypadkowej kolejności na bruk.

Skutkiem był bunt na pokładzie.

Edward napinał najdrobniejsze mięśnie, próbując zbliżyć się do Wallis. Luca robiła, co mogła, żeby odsunąć się od Kinga, który starał się wyc, warczeć, skomleć głośniejsz niż ona.

Ale przyczyną całego zamieszania stał się mały lhasa apso, który przeciął im drogę. Psy tej rasy wyglądają na słodziutki. Wtajemniczeni jednak wiedzą, że są one z piekła rodem. Nie wolno dać się zwieść ich niewielkiemu rozmiarowi, małym czarnym oczkom i noskom, małym różowym języczkom, kędzierzawej białej sierści i uroczenemu sposobowi chodzenia, jak z kreskówek. To prawdziwe diabły wcielone. A ich właściciele to w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach przypadków adwokaci diabła. Nie ma dla nich ukochańszych piesków, ważniejszych, inteligentniejszych, miłszych, lepszych. Jak rodzice, którzy myślą, że ich dziecko jest ideałem, tak właściciele lhasa apso uważają za wielce zabawne, kiedy ich małe diabły wspinają się na ludzi, drapią, biegają między nogami, płaczą smycze, chwytają zębami głaszczące ich dłonie, czy też, jak to się stało tego ranka, przebiegają bez opamiętania przez stado psów, ujadając przy tym zaciekłe. Kiedy Nina wrzeszczała, żeby ją czy go zatrzymać, pani tego czarciego nasienia zaśmiewała się do rozpuku, podziwiając popisy swojego pieszczołka.

Psy wpadły w szal. Luca znalazła się na Kingu, Edward wyszczerzył kły na Sama, Wallis wskoczyła na Lucę i chwyciła ją zębami za zjeżoną sierść na karku, przez co Luca bezwiednie zaatakowała Safire'a. Skończyłoby się pewnie rozlewem krwi, gdyby nie Sam, który odciągnął całą tę watahę od buńczucznego

lhasy. Wtedy Nina ustawiła ich tak, jak należy, kazała im siadać, przekupiła ciastkami i każdy musiał za karę posiedzieć spokojnie dwie minuty.

10

Po tym wszystkim czekał ją jeszcze jeden przystanek: Che na 85 ulicy między Central Park West a Kolumba. Przyłączenie Che do całego stada zawsze było kłopotliwe, bo mieszka w ogromnym czteropiętrowym bloku bez portiera. Dlatego Nina musiała zostawiać psy bez opieki, kiedy wchodziła do budynku. Dzisiaj jednak — gdy psy były w tak dziwnych nastrojach — cała sytuacja stała się logistycznym koszmarem. Nina rozdzieliła Kinga i Lucę i wokół każdego zgromadziła po kilka psów, tworząc w ten sposób dwa stadka, które przywiązała do różnych drzew. Uważając, żeby nie poplątać smyczy, na każdej kolejno robiła pętlę, odpinała smycz od obroży, owijała ją wokół pnia i ponownie przypinała do obroży.

Wreszcie skierowała się do domu Che. „Zwykle o tej porze Bono jest w szkole, ale teraz, w czasie wakacji, pewnie siedzi w domu i nic nie robi” — myślała Nina. Jego ojciec na pewno jest w pracy, a mama nie wiadomo gdzie. Nina nie potrafiła rozgryźć tej rodziny. Niewyobrażalnie bogaci rodzice w zasadzie nie zaniebują dzieckiem, tylko mają własny system wartości. I jeśli coś uznają za najważniejsze, nie ma dyskusji. Ojciec, Richard Armstrong, to działacz społeczny i lobbysta. Ciągłe kursuje między Harlemem, gdzie znajdują się siedziby większości jego organizacji, a Waszyngtonem, gdzie są pieniądze i władza. Jest idealnym przykładem liberała nowego tysiąclecia. Pracuje dla dobra biednych, walczy o prawa obywatelskie, a nosi garnitury od Armaniego. Bywa na przyjęciach u osób z kręgów opiniotwórczych i rządzących, a jednocześnie zabiega o porządne niedrogie mieszkania i o pracę dla bezrobotnych. Jeździ bmw, ale nie ma czasu, żeby zagrać z synem w baseball.

Matką Bona jest Phyllis Batterman Armstrong, zwariowana fanka U2. Zameżne mamuśki zbliżające się do pięćdziesiątki raczej nie kojarzą się z osobami, które jeżdżą w trasy koncertowe za swoim idolem, ale ta jedna właśnie tak robi. Nie tylko chodzi na wszystkie koncerty U2, ale także na próby, próby prób, wręczenia nagród i na każdą imprezę charytatywną, jaką Bono organizuje w Ameryce czy też Europie (jeździłaby za nim do Afryki i Ameryki Południowej, ale tu już wtrącił się Richard i przypomniał jej, że przecież jest też matką). Nina nigdy nie zapomni tego, co Phyllis jej opowiedziała o niedawnym rozdaniu nagród Grammy: Phyllis załatwiła sobie pracę bileterki i jakimś sposobem udało się jej zająć miejsce Bona, kiedy on był na scenie (oczywiście tylko dosłownie, bo zajęcie jego miejsca jest przecież niemożliwe). Kiedy ogłoszono laureata nagrody za najlepszy album, Bono był jeszcze za kulisami. Usłyszawszy, że nie on jest laureatem, Phyllis zerwała się z miejsca i krzyknęła: „Okradziono nas, Bono! Okradziono!”.

Ruchem głowy odrzuciła włosy do tyłu, jedną rękę położyła na biodrze (na markowych dżinsach firmy Diesel), a drugą na klatce piersiowej zdobionej bluzką od Miu Miu i z egzaltacją opowiadała Ninie o tym, jak to ona i Bono nawiązali kontakt wzrokowy.

— Patrzył prosto na mnie. I widziałam w jego oczach, jakie to dla niego ważne, że ma fanki, które ubierają się u Prady.

Bono Van Batterman Armstrong. To ich jedyne dziecko. Bono wiadomo po kim, Van po Morrisonie, Batterman po matce i Armstrong po ojcu. Che, ich jedyny pies, został tak nazwany w hołdzie dla rewolucjonisty z lat sześćdziesiątych. A ich kot, Einstein, nazywa się tak... no cóż, jeśli ktoś nie wie, na czyją cześć, z pewnością nie jest Einsteinem.

Dzień w dzień Bono wraca do domu po szkole i ogląda kryminały, głupkowate komedie, musicale, romanse. Filmy sensacyjne i science fiction. Wszystko jak leci. Nawet filmy dla maluchów. A teraz, w wakacje, ma całe dni na bezmyślne siedzenie przed telewizorem. Był prawdopodobnie jedynym dzieckiem w Nowym Jorku, które mając tak bogatych rodziców, nie wyjechało na obóz, na wędrowkę w Alpy ani nie grało w tenisa. Z jakiejś przyczyny Bono całe lato spędza samopas.

To nie znaczy, że rodzice zostawili go samemu sobie. Nie są młodzi. Bono przyszedł na świat, gdy byli już po czterdziestce. Zmiana stylu życia, żeby zaspokoić potrzeby dziecka, nie była w ich planach. Bono ma więc Melissę — opiekunkę, która całymi popołudniami czyta, zazwyczaj „Us” albo „Vogue”, raz na jakiś czas zmirowatą powieść albo podręcznik psychologii używany na Uniwersytecie Columbia, i która nie zawraca sobie głowy graniem w szachy, chodzeniem na spacer, na boisko, czy choćby rozmowami z ośmiolatkiem.

Przywiązawszy psy do drzew, Nina wygrzebała klucz do domu Armstrongów. Weszła po schodach i otworzyła olbrzymie czerwone drzwi. W holu krzyknęła:

— Dzień dobry?! Dzień dobry! Che?!

Psa ni widu, ni słyhu. Żadnego tup-tup łap beagla. Żadnego szczekania, skomlenia. Piętnastoletni Che był głuchy jak pień, więc Nina nie spodziewała się odpowiedzi na powitalny okrzyk. Zwykle jednak zastawała go śpiącego w holu na podłodze.

— Che, gdzieś ty jest, do licha?!

Gdy wciąż nie było odpowiedzi, przeszła do salonu, gdzie podłogi były wyłożone perskimi dywanami, ściany wypełnione książkami oraz obrazami Bena Shahna, a na ławie leżały egzemplarze „Nation”, „New Republic” i „Harpers”. Wykonała kolejnych kilka kroków w stronę fortepianu i podniosła klapę. Co ciekawe, wśród etud Chopina i sonat Bacha znajdował się najnowszy bestseller Danielle Steel. Ha! Żywy dowód upadku gustów Amerykanów. Richard strofowałby żonę, gdyby ją zastał na czytaniu czegoś takiego. Oto dowód jego nieświadomości. Na fortepianie leżał list z Białego Domu. Nina położyła na nim dłoń i właśnie miała go podnieść, kiedy zza oszklonych drzwi wyskoczył Bono. Trzymał w ramionach wściekle ujadającego Che.

Gdy Nina ochłonęła, zwróciła się do Bona surowym tonem:

— To nie jest zabawne. Omal nie wykitowałam na zawał.

Chwilę dochodziła do siebie, wciąż z prawą ręką na sercu.

— Złóż przysięgę na sztandar — wyrecytował Bono, kładąc Che na podłodze.

Pies powoli obrócił się kilka razy w kółko i w końcu zatrzymał. Uniósł w górę maleńki pyszczyk z różowym jęczyzkiem i wylupiastymi ślepiami, w których widać było wdzięczność za chęć zabrania go na spacer. Wzrok Bona wędrował od Niny do listu na pianinie i z powrotem.

— Nie musisz składać przysięgi, żeby przeczytać list od prezydenta.

— Przymknij się — odparła Nina ze śmiechem. — Zresztą, wcale nie miałam zamiaru go czytać.

Jakby nie słyszał zaprzeczenia, powiedział:

— No, przeczytam ci go.

Teraz to ona udawała, że go nie słyszy.

— A co ty robisz w domu? Nie wybierasz się na obóz albo na wycieczkę?

W tym momencie z kuchni wyłoniła się Melissa, z książką w jednej ręce i talerzem w drugiej.

— Cześć, Nina — rzuciła i usiadła na kanapie.

— Hej.

Było w niej coś — to jej opanowanie, poczucie wyższości, ta jej torba od Hermesa — co sprawiało, że Nina miała ochotę trzasnąć ją w twarz.

— Dasz wiarę? Smarkacz źle się czuje, więc ja muszę przyłączyć o ósmej. Rano!

— O ósmej! To straszne. Na pewno nie płacą ci wystarczająco.

— Na szczęście nie mam dzisiaj zajęć — zwróciła się w stronę Bona i potrząsnęła książką, niczym pastor baptystów Biblią. Nina zauważyła tytuł książki: *Niania w Nowym Jorku*. — Masz szczęście, że masz taką nianię.

— O matko! Jesteś nianią? A ja myślałem, cały czas myślałem, że jesteś moją... moją... mamusią! — wybuchnął udawanym szlochem.

Mruknąwszy głośno: „a kysz!”, Melissa otworzyła książkę.

— A tak w ogóle, to co ci jest? — zapytała rozbawiona Nina.

— Jestem przeziębiony, i to porządnie. Chcesz zobaczyć moje glutu? — podniósł palec do prawej dziurki w nosie.

— Nie, nie chcę oglądać twoich glutów. To obrzydliwe! Czy rodzice niczego cię nie uczą?

— Nie wiem nic o rodzeniu, panno Scarlett.

Nina zachichotała.

— No dobra, widziałeś *Przemięło z wiatrem*.

— Na mnie patrzysz?

Znowu śmiech.

— Na mnie patrzysz?

— Jezuuu! *Taksówkarz*? Przecież masz dopiero osiem lat!

— Osiem i pół.

— Przestań — powiedziała Nina. — Dosyć tej telewizji. Koniec z filmami. Chodź, pokażę ci trochę prawdziwego życia. Nie jesteś aż tak chory, żebyś nie mógł iść na spacer. Jest całkiem przyjemnie — oboje zwrócili głowy w stronę okna, potem na siebie nawzajem, wiedząc, że Nina kłamie.

Bono jednak włożył buty i szybko przypiął smycz do obroży Che. Wyszli, pozostawiając Melisę na tłustym tyłku (tak naprawdę wcale nie taki tłusty, chociaż na to zasługiwał), zaczytaną w książce, która dawała jej poczucie nie zmarnowanego czasu.

Gdy Bono, Che i Nina podeszli do czekającego stada, od razu zauważyli, że psy są niespokojne. Delikatnie mówiąc. Wyły, czekały, warczały, wierząc się, obracając, goniąc własne ogony, obwąchując się, skomląc, ujadając, pokazując kły, strosząc sierść, groźnie łypiąc ślepiami. Gotowe do kolejnego starcia.

Kiedy Che dołączył do tej diabelskiej sfory, w jednej chwili jakby w zwierzaki wstąpiła cała energia piekieł. Szarpały się, ciągnęły Ninę i Bona w stronę Central Parku, jakby brały udział w wyścigu zaprzęgów Iditarod i od tego zależało ich życie.

Gdy przechodzili przez Central Park West, lśniący żółty hummer omal nie zwałił ich z nóg.

— Palant w hummerze! — krzyknął Bono. Nina spojrzała na niego ze śmiechem.

— Uważaj, ma większy samochód niż ty.

— Tylko palant jeździ takim wozem. Nie boję się żadnych duchów!

Nina znowu się roześmiała.

— *Łowcy duchów!*

— Wiedziałam! Chyba nie myślałeś, że tego nie wiem — powiedziała Nina, pękając ze śmiechu.

Dotarli do parku, ciągnięci przez psy z taką siłą, jakby u celu czekał na nich smakowity kawał mięsa.

— Hej! Dziesięć kilometrów na godzinę na parking! — wrzasnął Bono.

Nina spojrzała na niego, potykając się o tylne łapy Sama.

— *Inspektor Gadget!* — krzyknął znowu.

Wybieg dla psów znajduje się na południe od stawu w pobliżu 84 ulicy. Do tej części parku prowadzi betonowa ścieżka, którą dochodzi się do schodów. Zwykle psy pokonywały setki stopni energicznym krokiem.

Teraz zdawało się, że rzuciły się w dół jednym susem, na łeb na szyję. Za nimi niczym żagle na wietrze powiewały uszy, a dalej pędziła Nina, starając się utrzymać smycze, i Bono, krzycząc: „Jeeeeej!”. Patrzyła na chłopca z przyjemnością — na jego jasnobrązowe włosy, które od wilgoci ułożyły się płasko na głowie, podkoszulek tak duży, że ledwie było widać chude ręce, luźne szorty sięgające poniżej kolan, najmodniejsze najki, twarz, na której malowało się i przerażenie, i szczery zachwyt. Poczowała ściśnięcie w gardle, ukłucie w piersi. Dzieciak. Jakże by chciała mieć dziecko. I to nie idealne, o nie, ale właśnie takie. Jedyne, wyjątkowe, bystre. Takiego urwisa. Kochałaby go. Głaskałaby go po głowie. On opowiadałby jej kawały. Zabrałaby go na film *Music Man*.

— Szczeniaki i dzieciaki — powiedziała kiedyś Claire. — Właściwie to wszystko, czego bym chciała. Szczeniaki i niemowlaki. I jeszcze domu w New Jersey.

— A co z pracą? — odpowiedziała Nina pytaniem. — Nie wiesz, co wygadujesz.

— A ty? Nigdy byś się nie przyznała, że ty też marzysz o dzieciach i psach. Udajesz taką twardą, ale to nie ty — zmrużyła oczy i wycelowała w Ninę palcem. — Znam cię.

I oto teraz całe moje życie to szczeniaki — myślała. Dziecko, niemowlak, też by się przydał. Ale jak na razie nie jest jej pisany. Jak na razie nic nie jest jej pisane. Z wyjątkiem tego porannego psiego szaleństwa.

W parku psy w pierwszej kolejności zajęły się wypróżnianiem. Robiły kupy jeden po drugim: najpierw szukały węchem odpowiedniego miejsca, potem obracały się po trzy, pięć razy. Potem przysiad i... Wszystko to robiły grzecznie, spokojnie, wyczerpane wcześniejszą walką. Pozostawały w zasięgu smyczy i uważały, by się nie zaplątać. Wyglądało to mniej więcej tak: od Niny na wszystkie strony rozchodziły się smycze, niczym nacięcia na dużej okrągłej pizzy. Każdy pies na swoim kawałku terenu szukał miejsca i zostawiał po sobie pamiątkę. Rozsądne, porządne psie zachowanie. Te zwierzaki mogłyby nauczyć niejednego człowieka paru rzeczy o codziennej toalecie — dziwiła się Nina. Nawet dzisiaj, w takim dniu, w parku gęstym od zarośli i

pełnym brzęczących muszek, komarów i pszczoł, nawet po walce, psy zachowują się tak grzecznie, tak wspawspaniale. Teraz przyszła kolej na nią: pozbierać odchody, co robiła za każdym razem, bo uważała to za swój obowiązek wobec innych mieszkańców miasta. Wściekała się zawsze, gdy wdepnęła w psią kupę, gdy widziała starą psią kupę, gdy zauważyła, że ktoś nie sprząta po swoim psie. „Świnia!”, zdarzało się jej często mruczeć pod nosem.

Później przyszła pora na bieganie. Psy uwielbiały ganiać po wybiegu. To miejsce, gdzie mogą szaleć do woli, nieskrępowane, wolne, bez smyczy, bez ludzi, to czas prawdziwych psich psot. Teren, otoczony metalowym płotkiem, ma długość dużego budynku i o połowę mniejszą szerokość. Wewnątrz na obrzeżach jest kilka ławek i pni, na których przesiadują właściciele psów. Nina nienawidziła tu przychodzić. Nawet gdy sobie postanawiała (a robi to zawsze), że nie będzie się wdawać w głupie gadki właścicieli psów o rasach, wieku, chorobach i pięknych psich ogonkach — ta oaza psiego spokoju zawsze stawała się areną walki. I to nie między psami, ale między durnymi ludźmi: przeciwnikami wybiegu (nie mającymi psów) a zwolennikami wybiegu (właścicielami psów). Widocznie szczekanie i skomlenie, psi zapach i kupy, pnie drzew wokół, uciecha, jaką sprawia psom bieganie bez opamiętania, i pretensje ze strony niektórych, na przykład tych, którzy biegają po parku — wszystko to spowodowało, że okolicznym mieszkańcom, ekologom i innym ten wybieg zaczął przeszkadzać i stał się kwestią numer jeden w porządku obrad posiedzeń samorządowych. Prawa zwierząt, wolność słowa, miejsca publiczne, różnice klasowe (psy uprzywilejowane kontra cwane psy klasy robotniczej) i utrzymanie czystości — wszystkie te sprawy pojawiały się w dyskusjach o nieszczęsnym wybiegu. Ten raj dla czworonogów — nie można już do nich zaliczyć Schmooeya, mieszańca owczarka i collie, który z powodu raka stracił jedną łapę — stał się kością niezgody mieszkańców, Nowym Jorkiem w pigułce. Ninę aż odrzucało. Jak coś tak proste, niewinnego, przyjemnego (plac zabaw dla psów!) mogło doprowadzić do takich podziałów? Gdyby nie to, że psy bardzo lubią to miejsce, Nina najchętniej omijałaby je szerokim łukiem.

A oto Bono stoi na pniu drzewa i szczyrzy zęby w małpim uśmiechu, przyglądając się psim figlom. I psy: całe w skowronkach, podskakują, węszą, bawią się. Niektórzy potrafią się cieszyć.

Nagle kątem oka Nina zauważa coś strasznego. Odwraca się i: no tak! O mój Boże! — myśli. — Ty świniu!

Niecałe pół metra poza wybiegiem stał mops, który właśnie zrobił kupę, a jego pan zostawił tę pamiątkę na ziemi. Zignorował to i poszedł sobie. Świnia z mopsem!

— Pilnuj psów — powiedziała do Bona i pobiegła za mężczyzną.

Klepnęła go w plecy.

— Przepraszam, proszę pana! Przepraszam! Obrócił się. Miał na sobie garnitur z kory w niebiesko-białe paski, brązowe mokasyny, które wyglądały na miękkie i drogie, i brązowy pasek. Jaki facet nosi ubranie z kory? — pomyślała Nina.

— Dzień dobry — powiedział, uśmiechając się. Zlustrował piersi Niny, potem nogi, a w końcu, jakby po namyśle, spojrzał na jej twarz.

— Nie sprzątnął pan kupy swojego psa — zignorowała jego uśmiech, który i tak był zbyt szeroki, zważywszy, że facet miał na palcu złotą obrączkę.

— Co? — chwilę potrwało, zanim zrozumiał, o co chodzi. — No, przecież jesteśmy w parku. To w końcu część natury, nie?

— W parku czy nie, to śmierdzi, przenosi choroby, a zresztą takie są przepisy.

— A co to, z pani taki wzorowy obywatel? — parsknął. Z tych jego prążków sączył się jad wyniosłości.

— Właśnie tak. W Nowym Jorku trzeba sprzątać po swoich psach, bo inaczej miasto będzie zavalone psimi odchodami. Codziennie w coś takiego wdeptuję. Proszę, tu jest torba — wyciągnęła w jego stronę plastikową torebkę, na którą on ledwo raczył spojrzeć.

— Jak to dla pani takie ważne, to niech pani sobie sama to zbierze — powiedział i obrócił się na pięcie, żeby odejść.

— O nie, dokąd to? — pobiegła za nim i zagroziła mu drogę. Z tego miejsca widziała Bona, który ją obserwował i machał do niej ręką.

— Naprawdę musi pan to sprzątnąć. Tak należy.

— Tak należy? A kim, u diabła, pani jest, żeby mi mówić, co należy? Jakimś strażnikiem moralności? — podniósł głos i Nina zauważyła, że jego ziemista twarz coraz bardziej się czerwieni.

— Nie, w zasadzie jestem strażnikiem odchodów. Mam już dosyć takich jak pan, którzy zostawiają gówna swoich pupilków gdzie popadnie, żeby inni w nie włązili. Aż zapytam: Skąd u pana takie poczucie wyższości? Dlaczego miałby pan być lepszy od innych? Nie uważa pan, że powinniśmy sprzątać odchody swoich psów?

— Nie w parku. Mówimy o naturalnych odpadach. O naturze. W proch się obrócisz.

— To dotyczy śmierci. I jeśli nie chce jej pan zaznać już teraz, radzę panu to pozbierać albo wykonam zatrzymanie obywatelskie.

— Słuchaj, idę do pracy. Jak chcesz to zbierać, proszę bardzo. Ale ja mam ważniejsze rzeczy na głowie.

Było coś w tym dniu — upał czy ogólny nastrój — co sprawiało, że nie chciała pozwolić facetowi odejść. Chwyła go za pomarszczony rękaw.

— Co to za...? — usiłował się wyrwać i w efekcie ona zrobiła krok w tył, nadepnęła na patyk czy kamień, czy też coś innego, poczuła, jak ugina się jej noga w kostce, jak traci równowagę, upada...

— Hej! Co pan robi! Niech pan przestanie!

O Boże! Niemożliwe! A jednak. To był Daniel. W jednej ręce trzymał smycz Sida, a w drugiej klapę marynarki Elegancika.

— Nina, w porządku?

Nina podniosła na niego wzrok. Znowu to poczuła. Serce, ba! nie tylko serce, ale wszystkie narządy wewnętrzne wypadające ze swoich miejsc, wiotczejące mięśnie, flaczejące żyły — całe jej wnętrze zaczęło się zapadać. Czy to te jego oczy? Jego gniew? Sposób, w jaki trzyma smycz Sida, obwiązaną wokół nadgarstka i ukrytą w zaciśniętej pięści? Tak, tak, tak. Tylko — a niech to! — czemu, czemu, czemu zawsze, kiedy wpada na Daniela, dzieje się coś dziwnego?! Ostatnio zdarza się to nadzwyczaj często, a wcześniej przez rok w ogóle go nie widywała. Życie naprawdę potrafi płatać figle.

Teraz właśnie podtrzymuje ją za łokieć, chwyta za dłoń, a ona czuje się jak głupek.

— Nic ci się nie stało?

— Nie, nie. Ten facet, on...

— Nina! Nic ci nie jest? — krzyknął Bono, który właśnie nadbiegł zdyszany.

— Miałeś pilnować psów.

— Nic im się nie dzieje. A co z tobą? Stało się coś?

— Co pan? — zwrócił się do Elegancika. — Czemu pan ją popchnął?

— Nie chciałem jej nic zrobić. Chciałem tylko, żeby się odczepiła. Wmawiała mi, że muszę sprzątnąć psią kupę. Tutaj, w parku!

— Ooo! Nie wiedziałem. — Daniel spojrział na Bona i Ninę, jakby byli szaleńcami, a potem znowu na Księcia Odchodów i powiedział: — No to niech pan sprzątnie. Na co pan czeka?

Mężczyzna posłał mu wrogie spojrzenie.

— Przecież jeśli wszyscy pozwolą psom robić gdzie popadnie i nie będą tego zbierać, ten park zamieni się w rynsztok. Już są tu szczury wielkości pańskiego psa. I jest pan za to osobiście odpowiedzialny. No, teraz niech pan zrobi to, co należy, i sprzątnie tę kupę.

— Już drugi raz słyszę dzisiaj „co należy”. Jakbyście oboje najlepiej wiedzieli, co dobre, a co złe. Jeśli tak jest, to jakiś koszmar. Dzwońcie po policję, jak chcecie, pieprzeni stróże porządku.

— Przepraszam, ale tu jest dziecko — powiedział Daniel. — Tak przy okazji... Jestem Daniel — zwrócił się do Bona i wyciągnął rękę.

— Bono — odparł chłopiec, ściskając Danielowi dłoń.

— „A ja jestem wielkim skurwysynem, który nie pozwoli byle komu wciskać sobie kitu” — powiedział bezpośrednio do Elegancika.

Troje dorosłych zwróciło wzrok na chłopca. Bono przechylił głowę i wzruszył ramionami. Uwadze Niny nie umknął uśmiech Daniela. Co to był za uśmiech: ciepły i szczery. Nieczęsto się tak uśmiecha

— pomyślała. Na zdjęciach w jego mieszkaniu też się uśmiecha, ale... Ale na żywo wydaje się dużo bardziej zdystansowany wobec siebie, jakby wszystko chłonał i uczył się nawet w sytuacjach, po których najmniej można się tego spodziewać. Jak w tym przypadku.

Facet w garniturku już się oddalał ze swoim mopsem.

— Chodź, Zeus, idziemy! Dość już tych miernych śmiertelników.

— Zeus — roześmiała się Nina.

— Powinien go nazwać Kupotitus, władca kup — krzyknął za nimi Bono i parsknął głośnym śmiechem. To ich wszystkich rozluźniło, oczywiście z wyjątkiem Elegancika.

— Niech idzie — powiedział Daniel. — Nie warto.

— Tacy jak on strasznie mnie wkurzają — stwierdziła Nina.

— Mnie też.

— Mnie też — dodał Bono.

— Ciebie? — wrzasnęła Nina z udawaną złością. — Przecież miałeś pilnować psów!

— Nic im się nie dzieje. Dobrze się bawią. Popatrz.

Wszyscy troje skierowali wzrok na wybieg dla psów i przynajmniej jedno z nich pomyślało z podziwem, że psy potrafią radzić sobie na niewielkiej powierzchni dużo zgodniej niż ludzie.

Po chwili Daniel zwrócił się do Niny:

— Cieszę się, że cię spotkałem.

— Naprawdę? Ja też — odparła uradowana.

— Chciałbym, żebyś wyprowadziła Sida jutro rano. Nina, starając się ze wszystkich sił ukryć rozczarowanie, mruknęła:

— No pewnie, nie ma sprawy.

— To dobrze — stwierdził Daniel.

— Kiedy? — zapytała Nina dziwnie cienkim głosem.

— Rano.

— Ano tak. Ale dokładnie kiedy będą potrzebne moje usługi? — jej rozczarowanie zamieniło się w złość.

— Niech no pomyślę — powiedział. I jak powiedział, tak zrobił. To myślenie zajęło mu ponad minutę, jakby próbował przemyśleć coś bardzo skomplikowanego, co wymagało szczególnej rozwagi. — Koło dziewiątej? Może być?

— W porządku. Nie mam nic innego do roboty. Przecież jestem tylko psią opiekunką...

— Jeśli to kłopot...

Zdała sobie sprawę, jak to zabrzmiało, i natychmiast wzięła się w garść. Poza wszystkim innym stwarzało to jej dodatkową okazję, żeby znaleźć się w jego mieszkaniu.

— Nie, nie. To moja praca.

— Dobrze. Dzięki. No... dobrze, że nic ci nie jest.

Podziękowała mu za pomoc. Chyba się zarumienił. Potem ona i Bono pożegnali się z Danielem i Sidem, którzy ruszyli ścieżką pod górę.

— Dziwny facet — powiedział Bono.

— No — potwierdziła Nina.

— Jakiś taki spięty.

— No właśnie. Też to zauważyłeś?

— Jakby się nie czuł swobodnie, o coś martwił, albo ja wiem...

Nina popatrzyła na niego.

— Ile ty masz lat? Osiem? Co możesz wiedzieć o swobodnym samopoczuciu i o zmartwieniach?

Wzruszył ramionami i włożył ręce w kieszenie. Nina uśmiechnęła się smutno i podrapała go delikatnie po szyi. Zachichotał.

Kiedy Nina i dziecko schodzili w dół w stronę wybiegu dla psów, Daniel zatrzymał się i długo ich obserwował. Nina czuła na sobie jego wzrok. Gdy doszła już do wybiegu, obróciła się w jego stronę i ich spojrzenia się spotkały.

Nina miała zadanie do wykonania. Skupiona, zdecydowana, trochę, jak to ona, zwariowana, wkraczała do akcji. Budzik zerwał ją z łóżka wcześniej. Szybko wzięła prysznic, wysuszyła włosy, umyła zęby. Potem wskoczyła w szorty (wygodne), podkoszulek Harvardu (robi wrażenie) i oczywiście czarne buty (pozwalają biegać, wspinać się i w razie potrzeby ukrywać). Następnie przełknęła pożywne śniadanie, bo od dzieciństwa była uczona, że to najważniejszy posiłek dnia, przez tę samą mamę, która ją upominała, żeby nie robiła zeza, bo tak jej zostanie. W końcu wyszła z Samem, przyprowadziła go z powrotem, dała mu herbatnika, podrapała po pysku, ucałowała i wyruszyła stawić czoła rzeczywistości.

Była gotowa. Zbierała po jednym swoich porannych podopiecznych, posługując się własnymi kluczami, pożyczając klucze od portierów lub też wpuszczana domofonem przez właścicieli. Pospacerowała z nimi i odprowadziła ich do domów. Dopiero wtedy poszła po Sida. Zaraz za drzwiami zaskoczył ją szum wody z prysznicza i nucenie Daniela: „Bum bum bumbumbum...”. Śpiewał, jakby grał na dętym instrumencie, i trochę przy tym przypominał Binga Crosby'ego. Może nie zdążył wyjść o planowanej porze, a może ona z tego wszystkiego przysłała za wcześniej? Spojrzała na zegarek i... no tak... dopiero ósma trzydzieści.

Zatrzymała się w holu i nasłuchiwała, próbując rozpoznać melodię. Zaczęła się lekko kołysać do rytmu, przenosząc ciężar ciała z lewej nogi na prawą i z powrotem. Ta melodia brzmiała znajomo, ale Nina nie potrafiła jej z niczym skojarzyć. Słowa miała na końcu języka, gdzieś w szufladce mózgu, która akurat nie chciała się otworzyć. Wiedziała, że to jej się przypomni całkiem niespodziewanie, może nawet w nocy — obudzi się nie wiedząc czemu i stwierdzi: „to jest to!”. Postanowiła więc nie pozwolić się teraz wprawić w obłąd, tylko zaufać własnej pamięci.

Chętnie zostałaby na całym koncercie albo i na zawsze, ale Sid już się niepokoił. Robił to, co zwykle, w ten sam, energiczny sposób: biegał, podskakiwał, tańczył wokół niej i nie przyjmował do wiadomości ani: „zaraz”, ani: „za chwilę”. Wzięła smycz ze stołu, z nadzieją, że gdy wróci, Daniela już nie będzie.

Pierwszy przystanek w drodze do upragnionego celu — do szafy Daniela, jego ubrań, jego łóżka, jego szuflad i komputera, niekoniecznie w tej kolejności — to sklepik spożywczy na rogu Kolumba i 89, gdzie Nina zawsze kupuje paczkę orzeszków w czekoladzie dla Pete'a. Zostawiła Sida przed sklepem, przywiązanego do parkometru. Do niektórych sklepów wolno wprowadzać psy. Do tego nie. Widziała jednak Sida ze środka, więc gdyby ktoś próbował go zaczepiać, w jednej chwili znalazłaby się przy nim. Oczywiście, kradzieże psów nie zdarzają się często, ale Nina zawsze wyobraża sobie najgorsze. Gdyby tylko jeden pies w mieście miał zostać skradziony i wykorzystany jako żywa przynęta w walce psów w ciemnej uliczce, na pewno byłby to jej pies. I to zupełnie bez związku z rachunkiem prawdopodobieństwa, z którego Nina i tak nic nie rozumie. Czy 3:2 jest lepsze czy gorsze niż 5:3, albo nawet 2:1? Często żartowała, że pewnie nie było jej w szkole, kiedy to przerabiali. Nigdy nie ogląda ceremonii wręczenia Oscarów z tej prostej przyczyny, że nie umie rozszyfrować, która z gwiazd ma największe szanse. Nawet jeśli te szanse zostały dokładnie wyszczególnione i opisane, choćby w „Entertainment Weekly”. Zwłaszcza kiedy są tak opisane. Dzięki Bogu, nie musi grać na wyścigach konnych.

Nina nie może polegać na rachunku prawdopodobieństwa, ale też nie jest pewna, jak to jest z przeznaczeniem. Z jednej strony uważa, że człowiek sam jest kowalem swojego losu, że podejmuje decyzje, wybiera drogę w tym cholernym lesie. Z drugiej jednak strony w życiu człowieka ciągle zdarzają się rzeczy, które wydają się z góry zaplanowane. Pisali w „Timesie” o facecie, który podczas burzy wszedł na dach, żeby sobie popatrzeć na błyskawice. Pomysł nie okazał się najlepszy, bo minutę później gość już nie żył, rażony piorunem. Nina często się nad tym zastanawiała. Załóżmy, że istnieje przeznaczenie. Jakie było prawdopodobieństwo, że uderzy w niego piorun w miejscu otoczonym przez wyższe budynki, w mieście, gdzie takich wysokich budynków jest całe mrowie? To był jego własny wybór. Nikt go nie zmuszał do wychodzenia podczas burzy. Czy nie sam ponosi winę za własną głupotę, która doprowadziła go do śmierci? A może po prostu miał pecha?

Nina nie wierzy w szczęście (i tak go nie ma), ale jest przesądna. Pewnego dnia w parku wprost pod jej nogi spadła z drzewa martwa wiewiórka. Czyżby to był jakiś znak? Nic szczególnego się nie wydarzyło ani tego dnia, ani tygodnia, ale przecież mogło. Gdyby tak zawsze chodziła wzdłuż Central Park West do, powiedzmy, budynku Quintów na West 88, co by się stało, gdyby ten jeden raz postanowiła pójść inną trasą, na przykład aleją Kolumba i skręcić w lewo w 88? To byłby ten dzień, według Niny, kiedy samochód prowadzony przez pokurzonego dziewięćdziesięciodwulatka, który ledwo sięga wzrokiem poza kierownicę i akurat wcisnął pedał gazu zamiast hamulca, zjechałby na chodnik na rogu Kolumba i 88, gdzie akurat tego dnia znalazłaby się z Samem. Sam zostałby zabity na miejscu, a ona przed śmiercią leżałaby jeszcze w śpiączce dwa tygodnie.

Nina ma niejasne przeczucie, że jeśli zrobi coś inaczej albo w ogóle coś zrobi, na pewno zwiększy prawdopodobieństwo wystąpienia czegoś strasznego. Przywiąże psa do słupa, a na pewno ktoś go ukradnie. Pójdzie w prawo zamiast jak zwykle w lewo, a tam spadnie na nią cegła. Albo spotka ją inne nieszczęście. Już widzi nagłówki w gazetach: „Zazwyczaj Nina Shephard skręcała w lewo, ale dzisiaj postanowiła pójść w prawo. Kometa spadła z nieba wprost na kobietę, zabijając ją na miejscu”.

To wcale nie znaczy, że szklanka Niny jest do połowy pusta. Ale przecież można się utopić nawet w łyżce wody. Dlatego każdej decyzji, którą podejmuje, towarzyszy myśl, że to może być jej ostatnia decyzja.

Mimo to nie uważa się za zręde — przeżywa każdy dzień, solidnie podchodząc do obowiązków, jakby wiele od tego zależało. Dzisiaj musi kupić orzeszki w czekoladzie. Musi przejść obok Pete'a z typową gadką: „prowadzę Sida ze spaceru” (łatwe), wejść do mieszkania Daniela (łatwe) i uczynić z Pete'a współnika (trudne). Ale ma motywację. Kobieta opętana.

Tak więc, przywiązawszy Sida na zewnątrz, weszła do sklepu. Właściwie to nie był sklep, ale jego arabski odpowiednik. Telewizor zawieszony pod sufitem odbierał telewizję Al Dżazira. Palestyńczycy układali na półkach coca-colę i wodę Poland Spring, nabijali w kasie drobne kwoty i w swoim rodzimym języku spierali się o wynik jakiegoś meczu.

Nina, wchodząc, zwróciła na siebie uwagę.

— Dzień dobry pani — odezwał się kasjer z wyraźnym arabskim akcentem. — Niech zgadnę: goobersy?

— Skąd pan wie? — uśmiechnęła się Nina.

— To nie jest, jak wy mówicie, fizyka jądrowa. Była pani u nas dziesięć, dwanaście razy. I zawsze pani kupuje goobersy.

— I wodę w butelce — dorzucił sprzedawca z działu wód butelkowanych.

— Racja.

Położyła na ladzie butelkę wody i paczkę goobersów.

— Dwa dwadzieścia pięć.

Sięgnęła do małej kieszonki plecaka. Podała pieniądze kasjerowi, włożyła wodę do plecaka i chwyciła za słodycze.

— Dziękuję.

— Niech pani dzisiaj uważa — powiedział kasjer, przesywając ją wzrokiem niczym mieczem.

Nina odebrała to jako ostrzeżenie. Może ten sklep, z półkami pełnymi ciastek, puszek, wędlin i słodyczy, to tylko przykrywka dla al Kaidy albo czegoś innego? Nie wyobrażała sobie, ale mogła — najgorsze. Ktoś inny mógłby zinterpretować to spojrzenie jako zwykłe pożegnanie. Tak, a ona jest królową Anglii. Dla niej to znaczyło, że on zna jej nieczne zamiary. Odebrała resztę, uśmiechnęła się najszerzej jak umiała i wyszła.

Billy rzucił jeszcze okiem na ekran komputera, zanim wysłał raport do szefa, zapisał kopię i zamknął laptop. Siedział przy biurku w samych bokserkach i myślał o pani Chandler, a z włosów, jeszcze mokrych po prysznicu, spływały mu po plecach drobne krople. Skąd ona ma tyle gotówki? Może handluje narkotykami, jak podejrzewa wielu w agencji. Tak, a on jest księciem Walii.

Nie pasuje też do profilu hazardzisty: to zazwyczaj mężczyźni. Nie zajmuje się paserstwem, nie ma powiązań z prawdziwą mafią, jeśli nie liczyć obiadu raz w roku z Tommym Rozzano we Frankfurcie. Skąd więc ma tę forszę? I gdzie ją trzyma? Trochę, to znaczy sporo, w banku, jak wynika z jej zeznań. Ale gdzieś musi być więcej — Billy już dawno się przekonał, że nie ma dymu bez ognia. Nie trzyma ich na kontach zagranicznych, chyba że posługuje się jeszcze innymi nazwiskami. Czyżby pod materacem? Na tę myśl Billy roześmiał się na głos. Po tym wszystkim, z czym zetknął się podczas wielu lat pracy w skarbowce — podstępny, oszustwa, kłamstwa — nic nie zdoła go zadziwić. Z wyjątkiem tej jednej rzeczy: gotówki pod materacem. Oklepana, aż przysłowiowa kryjówka, prosta i genialna.

Wstał i ubrał się. Gdzie, u licha, podział się Sid, który zwykle kręci się po sypialni, gdy Billy tu jest?

— Sid? Sid! — krzyknął.

Nie otrzymał odpowiedzi. Zajrzał do holu i zauważył, że smycz zniknęła. Nina musiała wziąć Sida, kiedy on brał prysznic. Spojrzał na zegar na ścianie w kuchni. Dopiero dziewiąta. Przyszła więc wcześniej i pewnie go słyszała, jak śpiewał. Na myśl o tym oblał się rumieńcem.

Widziała już, jak się przewrócił, a teraz jeszcze słyszała jego śpiew pod prysznicem. On zresztą też był świadkiem jej upadku. Zobaczyć ją w jego łazience — o, to by było ciekawe. Na chwilę popuścił wodze fantazji. Ujrzał ją naga, zrelaksowaną w gorącej wodzie, z włosami unoszącymi się na powierzchni. Szybko jednak powściągnął wyobraźnię i wywołany obraz posłusznie wrócił, skąd się wziął, niczym jo-jo. Co za dziwaczne zachowanie! On nigdy nie wszedłby do cudzej wanny bez pytania. Może dlatego on jest taki przewidywalny, a ona taka nieokiełznana, bez hamulców, wolna.

Billy z niechęcią spojrział na własne odbicie w lustrze przy frontowych drzwiach. W tej fryzurze nie wyglądał najlepiej — pomyślał. A garnitur! Przydałby się nowy. Właściwie Billy ma dość konserwatywnego podejścia do kwestii ubioru, jakie obowiązuje w urzędzie skarbowym. Jedną z panujących tam zasad jest strój „służbowy”, czyli garnitur. Czemu nie chcą iść z duchem czasu i pozwolić agentom ubierać się jak normalni ludzie? Może wtedy nie wzbudzaliby takiej nienawiści. Pewnie, że strój nie czyniłby ich pracy mniej potępianą, zwłaszcza że stale dręczą niewłaściwe osoby (czytaj: nie bogaczy, nie przestępców), ale może chociaż wyglądaliby na bardziej ludzkich. Potarł palcem wskazującym o lewą dłoń, żeby nie zapomnieć porozmawiać o tym z szefem. To i tak drobiazg w porównaniu z tym wszystkim, co tak naprawdę nie dawało mu spokoju: coraz silniejsze poczucie rozdwojenia, brak pełnego przekonania o słuszności swojej pracy z powodu ciągłego naginania przepisów wobec osób wpływowych i stosowania surowych kar wobec tych, którzy ledwo utrzymują się na powierzchni, a także coraz większy brak zaufania do innych agentów, którzy zdają się interesować tylko tym, żeby wyrobić normę, i olbrzymie rozczarowanie państwową administracją i jej możliwościami wtrącania się w cudze życie.

Urząd skarbowy to instytucja wyjątkowo anachroniczna. Jedną z przestarzałych zasad, których złamanie grozi wyrzuceniem z pracy, jest ta, że agent zawsze musi się przedstawiać. W skarbowce nie ma tajnych służb, przynajmniej na tym poziomie. Trzeba pokazywać legitymację zaraz po przybyciu i nie wolno wchodzić do mieszkania bez zaproszenia. Billy'emu zdarzało się już łamać te procedury. To nic w porównaniu ze wszystkim, na co napatrył się w agencji. Poza tym, prawdę mówiąc, w obecnych czasach ludzie nie zawsze kierują się moralnością. Ma już tego dość. Planował pójść do pani Chandler i uczciwie jej powiedzieć, kim jest, licząc na jej dobrą wolę. Albo użyć bardziej wymyślnych metod, nie sprzeniewierzając się przepisom. W przeszłości zawsze działał w ten sposób. Mówił ludziom, kim jest, i docierał do prawdy prostą drogą. Proces osiągania celu jest, czy też powinien być, najważniejszy. Gdy posuwamy się do wszystkiego, nawet do tego, co uważamy za złe — jeśli kłamiemy, żeby dotrzeć do prawdy, kradniemy, żeby nakarmić biednych — wtedy prawda i filantropia tracą sens. Żaden cel nie uświęca środków, jeśli te środki są nielegalne, nieetyczne czy po prostu złe. Tak było do tej chwili.

Platon twierdził, że „szlachetne kłamstwa” są czasem konieczne. Miał na myśli władców kierujących się dobrem obywateli. Taki pogląd jednak może też posłużyć jako usprawiedliwienie tego, co Billy zamierza zrobić. Jest już późno. Musi się spieszyć, jeśli chce wszystko załatwić przed powrotem pani Chandler do domu.

Czy jest coś, o czym nie wiedzą? Wiedzą o wycieczkach na Bahamy, do Frankfurtu, do Vegas. O hazardzie, grze na giełdzie. O pracach zleconych dla czasopism, gazet i biur turystycznych. Mogą to wszystko udowodnić według dat, wypłat i zaliczek. Może to wszystko. Kto wie, czy ich podejrzenia są uzasadnione. Może jest po prostu dziennikarką, która uczciwie zgłasza swoje dochody i płaci podatki i nie jest wplątana w żadne finansowe machlojki.

Takie przypadki już się zdarzały. Ileż to razy — aż ciężko byłoby zliczyć — agencja była przekonana o czyjejs winie, ściagała go, śledziła, gnębiła, nachodziła, przeszukiwała, by się w końcu przekonać, że w grę wchodzi sumy tak drobne, aż nie warte włożonej energii i poniesionych kosztów.

Przeczesał włosy palcami, wziął klucze i ruszył do mieszkania pani Chandler z zamiarem zrobienia tego, co należy. Wiedząc, że nie postępuje jak należy. Zasady urzędu skarbowego są często przestarzałe i zwyczajnie złe, ale jeśli ta kobieta robi coś, co komuś wyrządza krzywdę, jej działalność jest jeszcze gorsza.

TLR

Nina i Sid wyłonili się zza rogu w tym samym momencie, w którym Daniel wychodził z domu. O kurczę — pomyślała Nina, chowając się za schodami z piaskowca. I po chwili — Co ja, u diabła, robię? — Przecież jej obecność na tej ulicy jest jak najbardziej uzasadniona. Ma do tego pełne prawo! Musi odprowadzić Sida. Wpadła na niego. No i co z tego? Czemu zachowuje się jak głupek? Pewnie przez poczucie winy. Nina wiedziała, po co tak naprawdę idzie do jego mieszkania, a było to coś, z czym należy się kryć.

Schowała się pięć stopni poniżej poziomu chodnika, przy wejściu do suterenu. W otwartym oknie za kratami siedział kot, który zaczął gwałtownie prychać.

— Zamknij się — powiedziała Nina.

Włożyła do kieszeni kawałek brązowego szkła i poczekała jeszcze chwilę, nim wysunęła głowę zza schodów.

Gdy to zrobiła, noga Daniela z głośnym „łup” zawadziła o jej czoło, powodując upadek Niny na pośladki przy akompaniamencie szczekającego Sida i miauczącego kota.

— Nic się nie stało? — Daniel pochylił się nad nią i wyciągnął rękę. — Cześć, koleś — zwrócił się do Sida.

— Aj — odpowiedziała Nina, pocierając czoło, na którym już wyrastał guz.

— Nie widziałem cię. Przepraszam. Na pewno nic ci nie jest?

— Ja... miałam... nie jestem... — usiłowała wymyślić jakieś logiczne uzasadnienie swojej obecności w tym miejscu, ale nic nie przychodziło jej do głowy.

Wyglądało jednak na to, że dla niego to zupełnie nie ma znaczenia. Tylko się jej przyglądał. To było dziwne. Jakby był jednocześnie skupiony i zdekoncentrowany. Jakby się jej przyglądał, jednocześnie myśląc o czymś innym. Może tylko się zdenerwował? Nawet nie przyszło mu do głowy zapytać, co ona robi w takim miejscu. Nie wiedziała, co on sobie myśli, ale była pewna, że czuje się nieswojo.

Pochyliła głowę, zmarszczyła brwi i uśmiechnęła się, próbując go rozszyfrować. Wtedy on odwrócił wzrok.

— No dobra — powiedział — skoro wszystko w porządku... muszę już iść. Jestem spóźniony. Uważaj na siebie.

Znowu to samo! Ostrzega ją. Jakby miała na piersiach wryty napis: „Mam zamiar wejść do cudzego mieszkania... twojego mieszkania... i przeszukać twoje rzeczy”. Czy to aż tak widać? Często słyszała, że wszystko można wyczytać z jej twarzy, że nie mogłaby grać w pokera, że nie potrafi niczego ukryć.

Muszę nad tym popracować — pomyślała.

Odprowadziła go wzrokiem do domu pani Chandler. To już drugi raz w ciągu kilku dni. Ciekawe.

Jedno z nas ciągle podnosi to drugie z ziemi — myślał Billy, odchodząc. Nina, dziwaczna psia opiekunka, to nieodłączna część tej dzielnicy i zdaje się, że teraz też jego życia.

Starł się nie patrzeć w jej duże brązowe oczy. Próbował nie dostrzegać tego nierównego przedziałka, prowokującego go do złapania za niesforny kosmyk, który układał się w lewo zamiast w prawo. Starł się ze wszystkich sił opanować chęć dotknięcia jej delikatnej skóry, szczególnie w tym miejscu pod obojczykiem,

które aż się prosi, żeby przejechać po nim palcem. Robił, co mógł, żeby na nią nie patrzeć. Mimo to jednak — i wiedział, że ona to zauważyła — nie mógł oderwać od niej oczu.

Nina dotarła do domu Daniela purpurowa ze wstydu i podniecenia.

— Pete — powitała portiera.

— A gdzie to się podziewałaś?

— Różnie, jak to opiekunka psów. Przychodzimy, odchodzimy, zbieramy kupy... — sięgnęła dłonią do guza na czole.

— Dobra, dobra. Oszczędź mi szczegółów. Masz wszystko? — uśmiechnął się i obejrzał przez ramię.

— Tym razem zapłata z góry? — spytała. Potem chwyciła jego rękę, przekreśliła dłonią do góry i wcisnęła w nią paczkę goobersów.

— Może pobędę tam chwilę. Stój na straży, dobrze?

— Nie wiem, na ile wyszedł, więc nie siedź długo.

— Tylko, błagam, zadzwoń, jak będzie się zbliżał.

— Postaram się, ale rano jest spory ruch.

Szła już z Sidem przez hol, gdy usłyszała głos Pete'a:

— Tylko nie miej do mnie pretensji, jak cię przyłapie!

Podeszła do windy.

Billy wszedł po schodach prowadzących do drzwi pani Chandler. Obrócił się, żeby spojrzeć na ulicę. Co za dzień. Deszcz, upał, wilgoć i do tego wszystkiego jeszcze Nina. Jest w niej coś — może to, że wsadziła mu głowę pod kolano, tak, to musi być to — co go wytrąciło z równowagi. Westchnął. Zresztą to samo mógłby powiedzieć o tej wąskiej ulicy z domami z piaskowca, kwiatami w skrzynkach, kwiatami wokół drzew rosnących co pół metra — to wszystko sprawia, że Billy odczuwa brak w swoim życiu czegoś znaczącego, czegoś ważnego. Nie domu, nie rzeczy, ale czegoś, co by w nim zrodziło chęć posiadania domu i przekonanie, że to możliwe. Nie mam o czym myśleć, zbeształ sam siebie. Trzeba się wziąć do pracy.

Zadzwoił do drzwi pani Chandler.

Nina zadzwoniła do drzwi Daniela. Dopiero co zdruzgotał ją na ulicy, potem widziała, jak szedł do pani Chandler, i jeszcze rozmawiała o nim z Pete'em, więc wydawało się nieprawdopodobne, by mógł być w domu. Ale ostatnie wydarzenia świadczyły o tym, że nigdy nie wiadomo, czego się spodziewać.

Oczywiście nikt nie odpowiedział, więc otworzyła drzwi i weszła. Spuściła Sida ze smyczy. Rzucił się do swojej miski w kuchni niczym kaczka do — no właśnie — do wody.

Oczywiście, nikt nie odpowiedział, gdyż pani Chandler o tej porze, jak w każdy wtorek rano, była w salonie, gdzie robiono jej manicure i układano włosy. Billy wyjął więc dorobiony klucz. To przypominało jedzenie czekoladek See's. Człowiek wie, że nie są zdrowe, ale pokusa, żeby je zdobyć, zjeść, jest silniejsza niż wola, nakazująca się pohamować, zastanowić nad zawartością tłuszczu i cholesterolu, czy też w tym przypadku rozważyć kwestie moralne. Skoro już to zaplanował, nie potrafił się powstrzymać. Był już w drodze, sunął przed siebie pełną parą, ze wszystkich sił. Jeszcze przemknęło mu przez myśl pytanie, co też Nina robi w jego mieszkaniu. Może tym razem bierze prysznic?

Klucz w zamku. Drzwi otwarte.

Sid wybiegł pędem z kuchni do holu, zawrócił i pobiegł z powrotem, znowu zawrócił i jeszcze raz... Jakby chciał powiedzieć: „Patrz na mnie! Patrz na mnie, umiem się poruszać! Jestem koniem! Jestem tygrysem!”.

Safire stał i wpatrywał się w ścianę. Jakby myślał: „No, otwórz wreszcie i wypuść mnie”. Był dokładnie w tym samym miejscu, w którym Billy go zapamiętał z ostatniej wizyty u pani Chandler. Gdy Billy zamknął za sobą drzwi, Safire podniósł na niego wzrok i ruszył powoli w jego stronę. Jaki brzydki pies — pomyślał Billy. Nigdy nie był miłośnikiem psów, ale kiedy drapał Safire'a za uszami i patrzył na tę najbrzydszą mordę, jaką kiedykolwiek trzymał w dłoniach, dotarło do niego, że chyba gdzieś w głębi duszy ma słabość do tych czworonożnych stworzeń. Safire jednak, który jak i jego pani sprawiał wrażenie samotnika, szybko się znudził tym przywitaniem i pomaszerował z powrotem na swoje miejsce. Billy ruszył za nim.

Nina poszła od razu do sypialni. Najpierw usiadła na łóżku, niskim i nowoczesnym. Było równo zasłane — przykryte szarą pikowaną narzutą, gładką i śliską w dotyku. Klimatyzacja przyjemnie chłodziła pomieszczenie. Nina wygięła się do tyłu, tak że położyła się na plecach, pozostawiając stopy na lśniącej drewnianej podłodze.

Coś w tej sypialni nie dawało jej spokoju. Oczywiście, miał na to wpływ fakt, że on tu śpi i robi nie wiadomo co jeszcze, chociaż umiała to sobie wyobrazić. Ta sypialnia jest, owszem, stylowa jak łazienka — przypomina elegancję Calvina Kleina — ale czuć w niej chłód. Nie ma tu ani jednej rzeczy, która by się z tej chłodnej elegancji wyłamała: nic osobistego, ustawionego tu spontanicznie, bez powodu. Obrazy na ścianie dość ładne, ale chyba nie kupione z zamiłowania do sztuki. W zasadzie jedyne obrazy pełne życia to jego zdjęcia na biurku w rogu.

Może to cecha wszystkich facetów — myślała, gdy nagle i poczuła wilgotny język na kolanie; żywiąc nadzieję, że to Daniel, przekonała się, że jednak Sid.

Kolej na szafę. Zdjęła T-shirt z kołka na drzwiach i przyłożyła do siebie. O wiele za duży. Duży, ale przyjemny. Idealnie duży. Powąchała. Czuła się jak narkoman, ale jaka przyjemność! Jeszcze raz wciągnęła w nozdrza ten zapach, usiłując zarejestrować go w pamięci, aby móc go przywołać w każdej chwili, w każdym miejscu, a już zwłaszcza gdy będzie dzisiaj wieczorem leżała samotnie w łóżku.

Zobaczyła eleganckie garnitury, koszule uporządkowane według kolorów, buty równiutko ustawione na półkach. Wyglądały, jakby od ostatniego razu, gdy zaglądała tu kilka tygodni temu, w ogóle nie były używane. Uniosła jedną brew i przygryzła policzek od wewnątrz, zastanawiając się, dywagując, hmmm, to naprawdę ciekawe. Nagle dostrzegła coś wciśniętego w głąb szafy, blisko prawej ścianki. Za garniturami, za koszulami. Gdy weszła do środka, by tam sięgnąć, potknęła się o parę lśniących brązowych butów. Piękna skóra — zdążyła pomyśleć, nim się przewróciła. Sid podbiegł natychmiast, szczekając i podskakując.

— Ciiii — szepnęła.

Natychmiast wstała i wyciągnęła rękę jak najdalej mogła. Jakiś futerał. Chwyciła i pociągnęła.

Wydostała duży czarny futerał jakiegoś instrumentu. Ciężki. Pewnie saksofon albo puzon — pomyślała. Położyła go na podłodze i otworzyła. Tak, to piękny, lśniący puzon. Ostrożnie, delikatnie dotknęła czary, a potem suwaka. To obudziło w niej niejasne przeczucie czy też wspomnienie — jakby знаła kogoś, kto gra na

puzonie, albo była już kiedyś w takiej sytuacji. Wyjęła ustnik i przycisnęła do niego wargi. Był zimny i gładki. Szczelnie otaczał jej usta, oferując im przytulne, ciepłe schronienie. Wytarła ustnik w podkoszulek i włożyła z powrotem na miejsce. Ten pokrowiec bardzo się jej podobał — każdy element miał w nim własne miejsce, tak że nie dało się włożyć żadnej części tam, gdzie być nie powinna.

Odłożyła pokrowiec z powrotem: w to samo miejsce z tyłu szafy. To była prawdziwa niespodzianka. Coś, czego wcześniej o nim nie wiedziała. Czego jeszcze o nim nie wie?

Czuła się jak Złotowłosa w domku niedźwiedzi. Wypróbowała już łóżko, szafę, puzon, teraz przyszła kolej na biurko i komputer. Kogo bardziej trzeba by się obawiać: niedźwiedzi czy Daniela? — zastanawiała się, podnosząc pokrywę laptopa. Światelko zamigotało, a wzrok Niny powędrował ku zdjęciom na biurku. Boże, jaki on przystojny, jak wspaniale wygląda na tej plaży, z rozwianymi włosami. Jaka szkoda, że jej z nim nie było tam, na tym szczycie. A co to musiał być za wieczór, gdy ścisnął dłoń prezydenta. Kurczę, jaki on fotogeniczny — obiektyw zawsze uchwyci w nim coś takiego, czego chyba nie widać na żywo.

A może to jej wina. Może on jest tak zajęty albo tak nią nie zainteresowany, że nigdy nie zauważyła tej jego drugiej strony: tej energii, chęci życia, seksapilu. Co wcale nie znaczy, że Daniel, którego zna osobiście, nie jest seksowny. Tyle tylko, że to się w nim tli głęboko pod powierzchnią, jak w wulkanie, a on sam wydaje się zupełnie nieświadom tej mocy. Na tych zaś zdjęciach sprawia wrażenie, jakby już dawno eksplodował i teraz trwał w uśpieniu, gotów do kolejnej erupcji i przekonany o swojej sile.

Cóż to? Dziwna rzecz: inny wygaszacz. Daniel zawsze miał szybujące samoloty albo ośnieżone górskie szczyty. Teraz Nina zobaczyła nurka w głębinach, pośród ryb, ukwiałów i koralowców. Otworzyła najnowszy plik: „Projekt Schopenhauer”. Zmieniany dziś rano. Zawierał daty, godziny, notatki na jakiś trudny do rozszyfrowania temat. Jakieś tajemnicze hasła, kryptonimy: dostawca? kontakty? Las Vegas, Nowy Orlean, Frankfurt, przyjaźń z Alvarezem, rodzina Rozzano? Susskind? Hochschober?

Nie miała pojęcia, na co patrzy, ale poczuła się nieswojo. I wtedy to zobaczyła: gotówka Chandler.

Ten pokój to ideał — myślał Billy, siedząc przy biurku pani Chandler. Mógłby tu mieszkać. Książki, stare biurko, wygodnie wysiedziana skórzana kanapa, książki, orientalny chodnik, idealne oświetlenie do czytania i pisania, książki. Wstał i przesunął palcem po grzbietach książek na półce: zauważył wspomnienia polityków, książki historyczne, traktaty filozoficzne, opracowania z historii literatury i sztuki.

Constance Chandler to naprawdę ktoś. Billy nie zna innej tak niezwyklej kobiety. Gdyby była młodsza! Uśmiechnął się. Wiek nie ma tu nic do rzeczy. To kobieta nie dla niego, ale to przecież nie przeszkadza mu ją podziwiać.

Zmusił się do zajęcia się tym, po co tu przyszedł. Pieniądze. Skąd pochodzą. I gdzie trzyma resztę. Pomyślał o jej obrazoburstwie, sarkazmie, niezwykle świeżym podejściu do życia — i już wiedział.

Roześmiał się tak głośno, że Safire podniósł łeb i warknął, chociaż po chwili wrócił na swoje miejsce.

Tak więc Billy wyszedł do przedpokoju, a stamtąd do sypialni, gdzie podszedł prosto do łóżka pani Constance Chandler. Odchylił haftowaną kapę i zarzucił jej krawędź na pościel, odsłaniając materac z kremowym prześcieradłem i ramę łóżka przykrytą gęstym, sztywnym materiałem opadającym na podłogę. Podniósł materac. Wziął głęboki wdech. Zobaczył cały „zapas” jak na dłoni. Musiał to być jakiś milion dolarów w równiutkich studolarowych banknotach, posortowanych i popakowanych w małe paczuski.

Na pewno jest tego więcej.

Billy przypomniał sobie wszystkie stare filmy, jakie widział: Lucy Show, bracia Marx, różne stare komedie. Poszedł do toalety i zjrzał do mechanizmu spłuczki — bingo! — znalazł stertę szmalu w foliowej torebce. Przeszedł do salonu i przeszukał wnętrze fortepianu — tam też znalazł forszę. Następnie skierował się do kuchni, do puszek na ciasteczka, wiedząc, że pani Chandler nie trzymałaby w domu czegoś takiego bez ważnej przyczyny. Puszka była pełna gotówki. Wtedy wrócił do jej gabinetu i za obrazem ze szkoły Hudsona, który podziwiał ostatnim razem, odkrył schowek w ścianie, nie zamknięty na klucz i łatwy do otwarcia. W tym mieszkaniu były miliony, i to dosłownie, a nie w wartości antyków, dzieł sztuki czy samej nieruchomości.

Nina zamknęła komputer. Daniel musi być albo prawnikiem pani Chandler, albo złodziejem. Dlatego tak często tam bywa. Ciekawe, że żadne z nich o tym nie wspominało. Wygląda na to, że nie tylko Nina ma coś do ukrycia.

Wtedy usłyszała łomot uderzenia i pisk. Zanim skojarzyła je z Sidem skrobiącym po podłodze, wstała i czym prędzej wyniosła się z sypialni, jakby niedźwiedzie były już blisko.

Znalazszy się na chodniku przed jego domem, rozejrzała się jeszcze, żeby sprawdzić, czy nie nadchodzi. Droga była wolna, więc pędem rzuciła się w stronę domu.

Ze wszystkich podstępów, chwytów, numerów i przekrętów to przebiło wszystko. Aż śmiech bierze — pomyślał. Dla niego najważniejsze było jednak to, w jaki sposób weszła w ich posiadanie i jakie — jeśli w ogóle — podatki od nich płaciła, więc zostawiając Safire'a wpatzonego w ścianę, wyszedł i zamknął za sobą drzwi. Schodząc po schodach, myślał jeszcze, że pani Chandler przydałby się sympatyczniejszy pies.

Kiedy tylko Billy otworzył drzwi, Sid natychmiast znalazł się przy nim. Podskakiwał, piszczał na powitanie, a chwilę później obaj byli przy drzwiach szafy — Billy przebierał się w dżinsy i podkoszulek i wyciągał swój puzon, a Sid obserwował każdy jego ruch z prawdziwym, szczerym zainteresowaniem, wyrażanym spływającą z pyska śliną i machaniem ogonem. Billy położył futerał na łóżku, jak zawsze, i otworzył go. Wspaniały — pomyślał. Prawdziwe dzieło sztuki. Wyjął szmatkę spod klapki i składając instrument, przecierał dokładnie każdy element.

Dopiero kiedy przyłożył wargi do ustnika, poznał, że ktoś tu niedawno był. Przyjrzał się ustnikowi uważnie, znowu przyłożył usta i popatrzył jeszcze raz. No tak. Na pewno. Wyraźny odcisk palca. Smuga. Była tu. Znalazła puzon. I grała na nim.

Ponownie przyłożył wargi do ustnika. Wyobraził sobie ją podczas gry. Czy zauważyła to idealne wgłębienie — ten idealny kształt i rozmiar — jakie tylko geniusz mógł wynaleźć? Czy chłód ustnika zaskoczył ją tak samo, jak zaskakuje jego za każdym razem, gdy przykłada do niego wargi? Czy dmuchnęła i usłyszała te cudowne głębokie tony, stanowcze i zarazem delikatne, obcesowe i zmysłowe?

Co ona robiła w jego sypialni? Przejrzała szafę, wyjęła puzon, grała? Co z nią? Czego szukała? Kim tak naprawdę jest, że przychodzi tu i węszy?

Położył się na łóżku na wznak, przytknął puzon do ust i wycelował czarą w sufit, a Sid od razu, jak zwykle, umościł się w nogach łóżka. I Billy, pełen rozterek, pytań, wątpliwości związanych z osobą pani Chandler, swoim pociąganiem do Niny i nieufnością wobec niej, zniechęceniem do własnej pracy i wolą czynienia sprawiedliwości, targany tymi wszystkimi sprzecznościami i pragnieniami, zagrał.

A kiedy grał, znowu ujrzał Ninę, na schodach, chwilę po tym, jak stuknął ją kolanem w głowę — widział wpatrzone w siebie oczy. Przypomnił sobie, jak nie potrafił od niej oderwać wzroku, nie widział nic poza jej oczami, jej twarzą.

W domu, zdyszana, zdezorientowana tym wszystkim, co zobaczyła i czego nie rozumiała, Nina włączyła *My Fair Lady* i położyła się na łóżku. Sam nie odstępował jej na krok — wskoczył za nią na łóżko, wykonał trzy kółka, zanim wreszcie się umościł. Nina leżała na wznak, wpatrzona w sufit.

„Ludzie mówią mi, że dziwny wygląd mam”... Daniel i pani Chandler. Daniel jakiś taki nie-Danielowy, w każdym razie według jej osobistego przekonania o tym, jaki on jest. „Gdy ulicą tą wciąż chodzę sobie tu i tam...”. I jeszcze to, jak na siebie wpadają z dziwną regularnością, którą w innych okolicznościach przypisałaby losowi lub komuś tam, w górze, kto pewnie chciałby, żeby się lepiej poznali.

— No dobrze — powiedziała na głos, sprawiając, że Sam uniósł łeb, a ona aż poczuła się głupio. „Na ulicy, gdzie okno swe masz!” — No dobrze, dobiore się do niego!

Safire siedział tam, gdzie zawsze, pod ścianą, na tylnych łapach podwiniętych pod zwisający brzuch, wsparty na przednich łapach, z wywieszonym językiem i zażawionymi oczami, gdy Constance Chandler ze świeżo ułożoną fryzurą i wypielegnowanymi paznokciami otworzyła drzwi.

— Malutki. Pani wróciła — powiedziała Constance.

Safire ani drgnął, ale Constance i tak się nad nim pochyliła i ręką, z której zwisała mała torebka, podrapała go po uszach i pogłaskała po podgardlu. Obrócił się, spojrział na nią, przechyliwszy łeb, i wrócił do wgapienia się w ścianę, jakby jej przybycie oderwało go od ważnej czynności. Pani Chandler westchnęła. Byłoby miło mieć psa, który zachowywałby się jak pies — byłby czuły, wrażliwy, kochający. Zamiast tego trafił się jej typ, który zachowuje się jak mężczyzna — powściągliwy, zawsze zajęty, samolubny.

Położyła torebkę Hermes, za którą słono zapłaciła na giełdzie internetowej, na osiemnastowiecznym stoliku i odwróciła się. Stała tak chwilę. Daniel tu był. Wiedziała. Czuła to. Czym prędzej przeszła do gabinetu. Wszystko na miejscu. W każdym razie tak się wydaje. Nieład w papierach, sterty książek i czasopism. Zajrzała za obraz. Wygląda na to, że nic nie ruszano. Wsunęła jednak dłoń w ścianę, żeby się upewnić. Gotówka na swoim miejscu. Przeszła do sypialni. Pieniądze pod materacem nietknięte. Poszła do kuchni i zajrzała do puszki na ciasteczka. Pełna. Otworzyła fortepian i popatrzyła na kilka tysięcy w jego wnętrzu. W końcu udała się do toalety, żeby sprawdzić ostatnią kryjówkę — spluczkę toaletową. Zdjęła porcelanową pokrywę i trzymając ją mocno pod pachą, z jednym rękawem podwiniętym do łokcia, wymacała ukryte pliki banknotów owinięte w celofan.

Parsknęła głośnym śmiechem. Te kryjówki sprawiają jej taką frajdę! Każda z nich jest stereotypem, stosowanym i opisywanym tyle razy, że nikt by nie podejrzewał, iż w takich miejscach można jeszcze coś ukrywać. Forsa pod materacem? Z jednej strony trzeba być szalonym, żeby to trzymać w takim miejscu, z drugiej jednak trzeba być równie szalonym, żeby tego nie robić. Czy bank jest bezpieczniejszy? Pani Chandler mogłaby przytoczyć wiele powodów, dla których można tam stracić wszystko, i to w przypadku dużo mniejszych kwot niż te miliony, które ona trzyma w mieszkaniu. Co tam akcje, obligacje i inne tradycyjne formy oszczędzania. Przechowywanie większości środków płynnych pod ręką, pod samym nosem czy też za plecami (ta myśl wyjątkowo ją rozbawiła) jest najbezpieczniejsze.

Wystarczająco dużo trzyma w banku i innych tego typu miejscach, żeby federalni zostawili ją w spokoju.

Do dzisiaj. Dlaczego właśnie teraz się jej uczepili? — zastanawiała się, nalewając sobie drinka. Dużo lodu, dużo wody sodowej, dużo wódki. Zapaliła papierosa. Pali od czterdziestu lat — to jej słabość, grzech, który sprawia jej przyjemność, rozkosz. Tak, tak, palenie to śmierć. Umrze tak czy inaczej, a jeśli życie z papierosem ma być krótsze o dziesięć lat, niech będzie. Zaciągnęła się mocno i pomyślała o surowych represjach wobec palaczy — o tym, że w samym Nowym Jorku straszy się ich utratą pracy i niższymi zarobkami. Cierpią na tym restauracje, barmani tracą napiwki, ginie atmosfera miasta. Nowy Jork, w którym niegdyś panował duch tolerancji i wolności porównywany z Paryżem (którego ona nie znosi, bo za dużo tam Francuzów) czy Wiedniem (jej ulubione miasto), teraz stał się kolejnym Akronem (Ohio). Represjonowany, nudny, ale schludny. W porównaniu z Nowym Jorkiem Hoboken (dokąd często jeździ na kolację, na drinka, na papierosa) wydaje się mekką bezprawia.

Gdyby tak mogła znaleźć się teraz w Europie, gdzie wódka leje się strumieniami, w powietrzu unosi się dym z papierosów, przyjaciele zbierają się, by cieszyć się chwilą, bo przyszłość to jedna wielka niewiadoma. Jak hazard.

Robić to, co tak kocha i w czym jest naprawdę dobra. Być we Frankfurcie we wrześniu. Piłaby tam i paliła. Gdyby tak jeszcze ktoś młody i uroczy jak Daniel wybrał się razem z nią, wszystko byłoby idealnie. Wie, że nie jest jej to pisane i że to by skomplikowało wiele rzeczy, choćby z Gerardem, ale przecież zawsze można pomarzyć, poczuć żar młodzieńczych pragnień i niecierpliwości. Wrzesień jednak zdawał się bardzo odległy.

12

Nina musi zobaczyć Daniela. Ma zamiar złapać byka za rogi czy też, mówiąc konkretniej: złapać psy za smycze i przykuć jego uwagę, nawet gdyby musiała zrobić z siebie kompletnego głupka, co wydaje się nieuniknione.

Zaplanowała więc szczególny spacer z psami. Dzisiaj, zamiast — jak zwykle — mieszać psy różnych ras, zorganizuje wyjście białej psiej elity. Wymagało to trochę kombinacji z harmonogramem i przetargów z Suki, inną opiekunką psów, którą Nina poznała na wybiegu, a której psią klientelę w dużej mierze stanowiły małe białe pieszczołki. Suki była Ninie winna przysługę, od kiedy poleciała na wycieczkę last minute na Hawaje i Nina ją wówczas zastąpiła.

Nina nie odróżniłaby tych białych piesków od siebie, gdyby nie ich znaki szczególne, jak brak lewego ucha u Stelli czy wytarta sierść na lewym biodrze Jedi. Dla niej wszystkie stanowiły jedną białą psią masę, z wyjątkiem piesków cockapoo, które — jak na kundle przystało, bo to przecież mieszańce — są naprawdę słodkie i bystre. Rasowe białe pieski zwykle są własnością idiotów, którzy uważają je za milutkie dodatki, bo są małe i można je wnieść do samolotu lub restauracji. (Nina jednak nie osądza ich właścicieli, bo te pieski nie wywołują alergii i często jest to jedyny powód wyboru tej rasy).

Jeśli by jednak zagadnąć któregoś z właścicieli małego białego pieska, okaże się, że zachowuje się jak rodzic, przekonany, że ta rasa jest wyjątkowa, jedyna, i będzie rozmówcę zanudzał szczegółowym analizowaniem różnic między maltańczykiem a biszonym, a to ją oczywiście obchodzi tyle, co zeszłoroczny śnieg.

W każdym razie od strony estetycznej biała sfera to naprawdę niezwykle widok.

Nina zabrała je nad staw z nadzieją, że natknie się na Daniela. Wiedziała, że co rano biega, i znała jego trasę. Tego ranka w parku było tłoczno nawet na ścieżce dla koni, którą często prowadziła psy. Nie było osoby, która by się za nią nie obejrzała — wszyscy z uśmiechem podziwiali ten rozkoszny widok. Jak ognia unikała jednak ścieżki dla biegaczy. Biegacze to beznadziejne gnojki, jeśli chodzi o stosunek do psów, osób z dziećmi, spacerowiczów czy nawet osób na wózkach, a Nina nie miała ochoty stawiać im czoła, zwłaszcza mając na sobie nowe sandały, które porządnie dawały się jej we znaki.

Gdy już zbliżali się do tunelu na południowym krańcu stawu, z ciemności wyskoczył znajomy pies, Sid.

Ojej! — pomyślała Nina, gdy zwierzak rzucił się wprost na nią — nadchodzi!

Bo tam, gdzie Sid, tam jest też Daniel. Serce zaczęło jej bić z częstotliwością stu uderzeń na sekundę, na twarz wypłynął spontaniczny uśmiech, a dłoń powędrowała najpierw we włosy, by je przygładzić, potem ku krawędzi bluzki, by ją obciągnąć, i wreszcie na twarz, by obetrzeć pot z czoła.

Wtedy go zobaczyła. W podkoszulku i szortach, z fryzurą, jakby dopiero co zwał się z łóżka, biegł ze słuchawkami na uszach i odtwarzaczem mp3 w lewej ręce, wyraźnie skoncentrowany na muzyce. Biegł w kierunku Niny, nie widząc jej.

Aż nagle ją dostrzegł. Wtedy jego twarz rozjaśnił uśmiech, oczy rozbłysły, w policzkach pojawiły się dołki. Ciężko by było jej nie zauważyć. Otaczało ją jedenaście białych piesków, takich, które ludzie zwykle noszą na rękach i rozpieszczają, jak tylko mogą. Wyglądała niczym Dobra Wróżka z Północy, którą zamiast munchkinów otaczają biszony. Miała na sobie bardzo krótką spódnicę zamiast zwykłych szortów, zwiewną bluzkę zamiast zdartego podkoszulka „University of...” i te okropnie niewygodne sandały zamiast traperów.

— Daniel! — pomachała do niego.

Biegł w jej stronę, bo ona się zatrzymała. Te małe pieski kręciły się wokół niej. Może upadnie (ale nie chciałaby się zranić) i on będzie musiał ją podnieść (to nie byłoby złe).

— Cześć Nina!

I nagle, jakby za sprawą siły woli, stał się poważny, niemal surowy. Gdyby go już trochę nie znała, pomyślałaby, że jest wkurzony. Czyżby wiedział, że grzebała w jego mieszkaniu w miejscach, w których nie powinna? Zbliżając się do niej, zdjął słuchawki z uszu i zawiesił je na szyi. Wyłączył odtwarzacz.

— Do twarzy ci z tą gromadką. Co ty tu masz, dziesięć... jak im tam... biszonów? — spytał. Uśmiechnął się, gdy już znalazł się tak blisko niej, jak było to możliwe w tym towarzystwie.

— Co za znawstwo! Ale właściwie mam tu tylko jednego biszona, tę tutaj Stellę. A to Zardoz... mieszaniec biszona z yorkiem... ten, który właśnie sika na kamień. Mam tu dwa chi-poo, Sama i Dave'a, te z małymi różowymi kokardkami, jest też cockapoo Jedi, dwa psiaki rasy coton de tulear o imionach Jackie O. i John R, no i Annie, lhasaapso, piekielne stworzenie. Wiesz co? W domu nosi psią pieluchę. Naprawdę. A te trzy maltańczyki to Larry, Curly i Moe. Razem jedenaście psich japiszonków w jednym szeregu.

— Jak je rozróżniasz? To znaczy... który jest który? Dla mnie wszystkie wyglądają tak samo.

— Psi rasista! I nawet nie próbuj mówić, że pies to najlepszy przyjaciel człowieka!

Roześmiał się i spojrział w dół. Paznokcie stóp miała pomalowane na jasnoróżowo i chociaż jej stopy nie są najzgrabniejsze i mają za wysokie podbicie, wyglądała nadzwyczaj delikatnie w porównaniu ze zwykłym wizerunkiem rowerzystki z psami. Nie był pewien, którą Ninę woli.

— A gdzie buty?

Nina była tak zaskoczona i zadowolona, aż nie mogła się powstrzymać:

— Zauważyłeś?! To znaczy...

— I gdzie uniwersytecki T-shirt?

Zadziałało! — pomyślała Nina. Poczowała szarpnięcie za smycze. — Poczekajcie chwilę. Tylko minutkę, proszę...

— Ładnie wyglądasz.

Nina spojrzała w dół, na swoje stopy, potem znowu na Daniela.

— Dzięki. Ty też. To znaczy, no...

— Ale w tych butach pewnie nie jest ci wygodnie spacerować — popatrzył na jej stopy w sandałach z paseczków, na jej gołe nogi, a potem w oczy. Widziała, że ją dostrzegł, i zarumieniła się.

— No, muszę jeszcze z nimi pochodzić i poodprowadzać całą tę ferajnę do domów.

Czy już jej kompletnie odbiło? Czemu wspomniała o pracy? Przecież celem całego przedsięwzięcia było sprawić, żeby pomyślał o niej jako Ninie, a nie jako opiekunce.

— Racja. Jesteś w pracy.

Wszystko popsuka! Westchnęła więc i brnęła dalej:

— To przyjdę później po Sida? Skinął głową.

— Mam spotkanie. No to dzięki.

— Nie ma za co. Przecież to moja praca. — I pomyślała: Zgodziłabym się go wyprowadzać, nawet gdybym to ja miała za to płacić.

Wtedy Daniel stwierdził:

— Dziwne, że ludzie lubią te psy. Są słodkie, ale nawet nie przyniosą patyka. Taki pies jest jak lalka.

— No, ludzie są chorzy — potwierdziła Nina. Wyprostował się i spojrział na nią.

— Racja — powiedział, mrużąc oczy, jakby chciał ją przejrzeć na wylot. — Wchodzą na cudzy teren.

To ją zdumiało.

— Odwiedzają — odparła defensywnie.

— Węszą.

— Naprawdę? — uniosła brwi, myśląc o nim i pani Chandler, o jej nazwisku w jego komputerze.

— Śledzą.

— Kłamią — dodała Nina, zastanawiając się przede wszystkim nad tym, czemu on, prawnik, miałby wścibiać nos w sprawy pani Chandler.

— Naruszają granice prywatności.

Lustrowali się wzajemnie. Psy zaczynały się niepokoić. Annie obwąchiwała zadek Sida, a Moe wahała tyłek Annie. Tylko Sid nie był zainteresowany niczym zadkiem. Chciał jak najszybciej wyrwać się z towarzystwa białych czworonogów.

— Lepiej już idź. Sid nie wygląda na szczęśliwego.

Sid szczyrzył kły i warczał, nastroszył sierść na karku, postawił ogon w sztorc.

— Nic mu nie jest. Chodźmy razem — powiedział Daniel.

Zawahała się.

— No, chodź — nalegał.

Pomaszerowali więc brzegiem stawu wraz z tuzinem psów. Daniel trzymał Sida z przeciwnej strony, niż spacerowało białe stadko Niny.

— Dlaczego wyprowadzasz psy? — zapytał.

— A czemu nie? Co miałabym robić? Mieć prawdziwą pracę? O to ci chodzi?

Udał, że nie słyszy asekuracyjnego tonu w jej głosie.

— No, ale... od zawsze jesteś opiekunką psów?

— A co, coś w tym złego? — Czemu wszyscy zakładają, że wyprowadzanie psów to zajęcie, którego podejmuje się tylko wtedy, gdy człowiekowi nie uda się zostać tym, kim by chciał.

— Nie... tak pytam, z ciekawości. Uraziłem cię?

— Od roku. Moja przyjaciółka Claire musiała wyjechać na jakiś czas do Los Angeles i zastąpiłam ją na chwilę.

— No, nie taka to chwila. Cały rok. A wcześniej gdzie pracowałaś?

— W Random House. Jako redaktor.

— I rzuciłaś to, żeby wyprowadzać psy?

— Niewiele było do rzucania. Tylko moja mama jest innego zdania. Pozbawiłam ją powodu do dumy.

— Okropna z ciebie córka.

Musiała na niego spojrzeć, żeby sprawdzić, czy żartuje. Żartował. Odpowiedziała uśmiechem na jego uśmiech.

— Pewnie nieźle zarabiasz. Jak policzyć to, co ja ci płacę, i pomnożyć przez... ile? Masz sporo psów, nie? I wszystko w gotówce, prawda?

— Nie narzekam.

— Transakcje gotówkowe. To coś, o czym marzy każdy podatnik.

— A ty? Jesteś prawni...? — ugryzła się w język, ale było już za późno.

Zmrużył oczy i uśmiechnął się.

— Można tak powiedzieć. To nieźle słowo. Powtórz: prawnik. No, bez obaw.

— Prawnik — powiedziała i oboje się roześmiali.

— A skąd wiesz? — zapytał, chociaż dobrze znał odpowiedź.

— No... właściwie... domyśliłam się. Wyglądasz na prawnika. Sid to pies, który pasuje do prawnika. Twoje mieszkanie, no... z tego, co widziałam... to takie miejsce, które pasuje do prawnika.

— Z tego, co widziałas... to najistotniejszy fragment twojej wypowiedzi.

— Twój przedpokój.

— Nie zapominaj o łazience i...

— To wszystko. Nie widziałam...

— Przejścia z przedpokoju do łazienki, aha, i sypialni, przez którą musiałaś przejść, żeby dojść do łazienki.

Musiała go powstrzymać. Odwrócić uwagę.

— Taaak. Wanna, prysznic, toaleta. To wszystko cię zdradza. Każdy kąt krzyczy „tu mieszka prawnik!”

— roześmiała się. — Zapomniałam o łazience.

— A ja nie — odparł z uśmiechem na ustach.

Dochodzili już do końca East Side i zbliżali się do skrzyżowania w West — psy zadowolone, że wracają do domu, a Nina i Daniel pogrążeni w rytmie marszu. Upłynęło kilka minut, zanim Daniel się odezwał.

— I mój puzon.

— Co?

— Powiedziałem „mój puzon”.

Nina poczuła, że jej serce pulsuje jak perkusja w kwartecie jazzowym.

— Ty... grasz na puzonie?

Przyglądał się jej dłuższą chwilę, nic nie mówiąc. Gdy już ta chwila zdawała się trwać godziny, zapytał:

— Lubisz jazz?

— Pewnie... chyba tak — jej serce zmieniło dźwięk z talerzy na basy. Za chwilę albo ją gdzieś zaprosi, albo zdemaskuje.

— Moglibyśmy się wybrać na Side'a Hamptona. Jest w Vanguard i świetnie gra na puzonie. Przecież lubisz puzon.

Nie było to pytanie, więc nie odpowiedziała.

— Nie wiedziałam, że puzoniści jazzowi też są gwiazdami.

— Są puzoniści o gwiazdorskich umiejętnościach, ale nie są gwiazdami. Trąbki, saksofony, oczywiście, ale puzony nigdy nie zostały docenione. Puzon to taki instrument dęty, na którym nikt się nie poznał. Dla rozków angielskich jest muzyka klasyczna, tuby mają orkiestry dęte, trąbki i saksofony są oczywiście wszędzie. Ale puzon? To nie zauważany instrument. Cichy, natchniony, bratnia dusza trąbki.

Zaniemówiła, urzeczona jego entuzjazmem.

— No to co, chcesz go posłuchać? A w zasadzie pięciu? Hampton założył kwintet puzonowy. To będzie coś. I pomyślałem, że skoro się tym interesujesz, może chciałabyś pójść.

— No pewnie, ale... w zasadzie nie mam...

— To dzisiaj wieczorem.

— Dzisiaj? — pomyślała chwilę i coś się jej przypomniało. Zakryła usta dłonią. — Oj nie, dzisiaj nie mogę. — Dzisiaj przychodzi Claire, a Nina nigdy nie odwoła spotkania z przyjaciółką dla faceta. Nawet tego.

— A jutro? Przyjechali na kilka dni. Pierwszy koncert o dziewiątej. Moglibyśmy przedtem coś zjeść.

O Boże! Ojej! Tak, tak! Słońce pojawiło się właśnie ponad drzewami i Nina poczuła jego ciepło na twarzy. Psy radośnie wachały świeże poranne powietrze. To właśnie jest życie! — pomyślała. Idealny poranek. Patrzyć i widzieć. W jednej chwili wszystko nabiera barw.

— No... — tylko tyle zdołała powiedzieć. Doszli do West Side.

— To znaczy „tak”?

— No dobra — odpowiedziała.

— Biorę to za zgodę. Przyjść po ciebie?

Musiała myśleć szybko, zżerana strachem przed typowymi randkowymi procedurami, które w jej mniemaniu można by nazywać „śmiertelnym pocałunkiem”.

— Może spotkamy się na miejscu?

— Dobrze. Wiesz, gdzie to jest? Róg 7 i 11, na północy. Małeńki lokal. Wpół do ósmej?

— 7 i 11? — zaczerwieniła się ze wstydu, że nie zna miasta.

— 7 alei i 11 ulicy — uśmiechnął się.

Pokiwała głową, żeby mu pokazać, że wie, o czym mowa.

— O siódmej trzydzieści — powtórzyła mechanicznie, przejęta i przerażona nadmiarem wrażeń.

— Dobrze. Teraz już idę. Niektórzy muszą zarabiać na życie — posłał jej żartobliwy uśmiezek. — Żartuję — dotknął jej ramienia. — No to do zobaczenia jutro, tak? Wieczór puzonów.

Dotknęła miejsca, na którym przed chwilą spoczywała jego dłoń, i powiedziała:

— Aha.

Stała się randkokretynką, randkofobką, randkomaniaczką. Umieściła schadzkę z Danielem na najwyższym piedestale znanym ludzkości, niemal na szczycie Mount Everest, i teraz ma problemy z oddychaniem w rozrzedzonym powietrzu. To może być śmiertelnie niebezpieczne. Jeden nierozważny krok może ją wiele kosztować: w grę wchodzi miłość po/lub grób.

Ruszył z Sidem w stronę centrum. Po chwili zaczął biec i zniknął jej z oczu. Miała jednak dość czasu, żeby się obrócić i obserwować jego sprężyste ruchy, muskularne uda i ramiona, wykonać głęboki wdech i wydech, zamknąć oczy i wyobrazić sobie, że on ją obejmuje, całuje i...

Biały psi batalion brutalnie przywołał ją do rzeczywistości i ruszyli w drogę powrotną.

Pędził jak wiatr, jakby jeszcze nie przebiegł swoich ośmiu kilometrów. Miał wrażenie, że jest na haju, chociaż nie wiedział dokładnie, jak to jest. Próbował jeszcze w szkole i już niewiele pamiętał. Czuł też podniecenie, mimo że nie wiedział dokładnie, jak to jest. Tak dawno tego nie czuł, że już niewiele pamiętał. Jest niezwykła, myślał. A jak dostojnie wyglądała z tymi białymi psami. Jest w niej coś takiego — silne dłonie, piękne oczy, te jej usta, zaskakująca bezbronność, otwartość — co zwała go z nóg. O Boże! Byle to nie było to! Nie teraz, nie w skórze Daniela, nie z tą stukniętą dziewczyną, która nie dość, że jest chorobliwą podglądaczką, to jeszcze nie płaci podatków. Albo się w niej zakocha, albo będzie musiał ją aresztować, albo i jedno, i drugie. Ostatnim razem, gdy to zrobił — mowa o zakochaniu się, nie aresztowaniu — skończyło się bardzo źle. A wtedy pod nikogo się nie podszywał. Co będzie, kiedy ona się dowie — jeśli to zajdzie tak daleko — kim on naprawdę jest i czym się zajmuje? Już prawnik brzmi dostatecznie źle. Ale agent kontroli izby skarbowej?

Zdażył się już przekonać, że jeśli kobieta wie o tym z góry, może przywyknąć, ale gdy się dowie zniecka, nigdy się z tym nie pogodzi.

A może umówiła się z nim tylko dlatego, że uważa go za Daniela? Daniela z fotografii, z modnym mieszkaniem, z idealnym psem?

Ale skąd wie, że Daniel jest prawnikiem? Może powiedział jej ten gaduła Pete. Albo przeczytała jakieś raporty czy pocztę, albo wywnioskowała z mnóstwa innych rzeczy w mieszkaniu, które o tym świadczą. Dobrze, że Billy jest tak ostrożny, ukrywając swój zawód i tożsamość. Grzebała w szafie. Otwierała futerał z puzonem. Dmuchała w jego ustnik. Kąpała się w jego wannie. Kto wie, do czego jest zdolna? Czyżby nie uznawała żadnych granic?

Wiedział tylko, że następnym razem chciałby być w tej wannie razem z nią.

Zanim Nina poodprowadzała psy do domów, jej stopy krwawiły w siedmiu miejscach: trzy rany miała na prawej stopie, a cztery na lewej. Usiadła na brzegu łóżka. Spryskując rany wodą utlenioną i nakładając plastry na nieszczęsne stopy, które Sam z oddaniem oblizywał, myślała o tym, jaka jest głupia. Owszem, Daniel ją zauważył — trzeba by być ślepym, żeby jej nie zauważyć — ale też wiedział o jej kąpieli. Wiedział o puzonie.

Mimo wszystko ją zaprosił. I to ona do tego doprowadziła. Teraz tego nie zepsuj — mówiła do siebie, jakby była własną matką. Miała na myśli randkę.

Westchnęła głęboko, próbując przywołać z pamięci piżmowy zapach podkoszulka w jego szafie.

13

Tego wieczoru Claire wpadła do Niny na kolację. Upiekły na grillu rybę, brzoskwinie i kukurydzę i popijały to coroną z limonką. Oparte na łokciach o ceglany murek przyglądały się grupkom ludzi wchodzących do parku z kocami, jedzeniem i winem, z zamiarem wysłuchania orkiestry The New York Philharmonic, która miała grać utwory Mozarta, Schuberta i oczywiście V Symfonię Beethovena podczas finału konkursu sztucznych ogni. Wsłuchiwały się w noc — w dziwną muzykę warkotu nisko latających helikopterów i wyjących w dole syren — i napawały się podmuchami wilgotnego nocnego powietrza.

— Gra na puzonie — odezwała się Nina.

— Coś ty? Naprawdę? — zdziwiła się Claire. — Ojej, a co ci się stało w stopy?

— Nowe sandały. Znalazłam go w jego szafie.

— Jeszcze cię zamkną. A jak pójdziesz siedzieć, będziesz nosić pomarańczowe ubranko i będą cię gwałcić...

— Coś ty? Hm...

Claire nie wytrzymała.

— Dorwie się do ciebie jakaś stara baba bez zębów, z wytatuowanym na ramieniu napisem: „Cześć, kochasiu”...

— Powiedz lepiej coś o tych twoich przesłuchaniach.

— Musisz przestać — ciągnęła Claire. — Poważnie. To nie w porządku.

— Wiem, ale... — Nina obróciła twarz w jej stronę — co w tym takiego strasznego? Trochę się rozglądam...

— Dużo się rozglądasz.

— No więc dużo się rozglądam. Nie robiłaś tego w dzieciństwie, jak byłaś opiekunką do dzieci?

— Trzydzieści lat to nie trzydzieści pięć. Po dziecku każdy mógł się tego spodziewać. Poza tym nie rozumiałyśmy tego, cośmy widziały. Jesteś jak dorosła wersja Harriet z *Małego szpiega*. W dzieciństwie takie węszenie to nic złego, ale u dorosłych jest już przerażające. I nie zapominaj, że Harriet zawsze pakowała się w kłopoty.

— No to jestem trochę starsza.

— Jakies dwadzieścia lat. To więcej niż dekada. To dwie dekady. Pozwól, że spytam: jak byś się czuła, gdyby...?

— Okropnie. Byłabym wściekła. Jak gdyby mnie ktoś napadł, zgwałcił i w ogóle...

— No to wiesz, o co chodzi.

Przyjaciółki siedziały spokojnie dłuższą chwilę, zasluchane w dźwięki smyczków dobiegające z parku.

— Nina, nie wiem, jak to powiedzieć delikatnie. RUSZ TYLEK i zrób coś ze swoim życiem. Wróć do wydawania książek. Lubiłaś to...

Nina spojrzała na nią znacząco.

— No, w każdym razie nie nienawidziłaś tego. I dobrze ci płacili.

— Nie tak dobrze jak teraz.

— Ale to żaden zawód. I żadne życie.

— Jestem szczęśliwa. To się nie liczy?

— Nie jesteś szczęśliwa. Po prostu nie jesteś nieszczęśliwa.

Ninie zaczęło być gorąco. Zarumieniła się.

— Czy przy każdym naszym spotkaniu musimy o tym rozmawiać? O moim życiu? A co z tobą? Chyba nie dostałaś tej głównej roli, na którą, jak ci się zdaje, w pełni zasługujesz?

Claire posłała jej zagniewane spojrzenie.

— To chwyt poniżej pasa. Mówię ci to wszystko tylko dlatego, że chcę dla ciebie jak najlepiej.

Nina milczała. Czuła się naprawdę podle, że powiedziała Claire to, co powiedziała, i była tak zła na siebie, aż nie potrafiła przeprosić.

— Potrzebuję czasu, żeby wszystko sobie poukładać. Nie mam zamiaru być opiekunką psów całe życie. Mam marzenia. Cele. Co o tym myślisz?

— Myślę, że się boisz.

— Ja? Czego?

— Poświęcenia się czemuś, decyzji. Powiedzenia: „Tak, właśnie to chcę robić” i „chcę, żeby moje życie tak wyglądało”. Bo się boisz, że ci się nie uda.

Nina nie odpowiedziała, więc Claire ciągnęła:

— No dobrze, to może mi powiesz, co to za marzenia i cele?

— Nie wiem... — wyszeptała Nina.

— No nie! Przecież wiesz. Wiesz, tylko jesteś głupią trąbą.

To już wprawilo Ninę w szal.

— OK! — wrzasnęła — chcę tego samego, czego chcą wszyscy: miłości, szacunku, sukcesów, dzieci, wszystkiego. Całego tego majdanu.

— Nina, zawsze będziesz moją przyjaciółką, wiesz o tym — powiedziała Claire.

— Tak, ty. Ja...

— Ale to wszystko bzdury — ciągnęła Claire.

Nina musiała się uśmiechnąć. Właśnie dlatego tak lubi Claire. Claire myśli tak samo jak ona, jak Nina Narcyz.

— Nie wiem!

— Czego nie wiesz? Że to wszystko bzdury?

— Nie wiem, czego chcę — powiedziała Nina. — Czy nie mogłoby chociaż jakiś czas być przyjemnie? Nie wolno mi spędzić trochę czasu na wyprowadzaniu psów, zachowywaniu się źle, nawet nagannie, w cudzych mieszkaniach?

— Wolno ci spędzić trochę czasu — odparła Claire, przedrzeźniając Ninę i wywołując uśmiech na jej twarzy — ale musisz przestać się tak zachowywać. I powinnaś pomyśleć o przyszłości.

— Coś się wydarzy. Wiem to. Zawsze tak jest w moim życiu. Coś mi się zdarza. Ktoś dzwoni, że potrzebują redaktora w Random House, kiedy akurat szukam pracy w redakcjach. Potem źle się tam czuję, ale nie mogę się zdobyć na rzucenie tej pracy. I wtedy ty decydujesz się na wyjazd do Los Angeles. Życie mi się przydarza. Nie jestem i nigdy nie byłam kowalem swojego losu.

— To największe psie gówno, z jakim się zetknęłam. To gówno owczarka niemieckiego pani Joost.

— Nieprawda. Bardziej jamnika Crutchfieldów.

Obie się roześmiały. Podniosły oczy na helikopter nad głowami. W dole brzmiała symfonia Beethovena.

— Co z twoimi rzeźbami? Są naprawdę świetne. Próbowałaś je...

— Robię je dla zabawy! Wiesz, co to zabawa? — skłamała Nina.

— Ktoś je powinien zobaczyć. Nie znam się na sztuce, ale widzę, że są oryginalne, magiczne.

— Ty jesteś moją przyjaciółką i mnie lubisz — Nina położyła głowę na ramieniu Claire.

— Tak, ale mówię prawdę. Bądź więc cicho i słuchaj.

Nad ich głowami rozbłysły sztuczne ognie i obie zachwyciły się nimi resztę wieczoru. Nina nie mogła się oprzeć wrażeniu, że jej ekscentryczna przyjaciółka jest tą stroną stąpającą twardo po ziemi, a ona, zwykle rozsądniejsza, stała się dziwaczką. Kiedy to się stało? Kiedy zdążyły zamienić się rolami? Czy przyjaciele zawsze tak robią — nadrabiają cudze niedociągnięcia? Dzięki Bogu, zrobiły to jednocześnie, bo dwie wariatki byłyby nie do zniesienia. Może dlatego Nina i Claire są sobie tak bliskie? I zawsze będą, bo fantazjują i wracają na ziemię w idealnej harmonii.

Wtedy Claire zapytała:

— A właściwie to co w nim jest takiego? To znaczy, pewnie, że jest przystojny i w ogóle, ale to ci chyba nie wystarcza, żeby...

— Mówisz o Danielu?

— Nie, o Mahatmie Gandhim — odparła Claire.

Nina się roześmiała.

— Pewnie, że o Danielu. Nigdy go nie spotkałam. Powiedz, co cię w nim tak rajcuje.

Nina wzięła głęboki wdech i pociągnęła łyk wina.

— Jest inny, niż byś przypuszczała.

— To znaczy jaki?

Nina musiała się zastanowić.

— Jest... głęboki. I chyba silny. Bardzo obecny, wiesz? Jak choćby wtedy, na ulicy...

Claire parsknęła śmiechem.

— Nic mu się nie stało.

Nina skinęła potakująco głową.

— Ceni sobie życie. Wiem, że to brzmi...

— Brzmi nieźle — wtrąciła Claire z uśmiechem.

— Jest niezwykły. I te oczy.

— No — zgodziła się Claire.

— I jego... — dodała Nina.

— Tego nie widziałam.

— Ja też nie. Ale można pomarzyć, nie? Claire śmiała się serdecznie.

— To wszystko?

Nina przerwała, bo poczuła łzy w oczach, gdy coś się jej przypomniało.

— Patrzy na mnie. Tak naprawdę — powiedziała. — Wydaje się taki... jakbym na niego działała czy co...

Claire objęła przyjaciółkę ramieniem.

— A na kogo nie działasz?

Później, gdy kuchnia była już posprzątana, grill wyczyszczony, Claire poszła do domu i Sam wrócił z ostatniego spaceru, Nina leżała w łóżku i wpatrywała się w sufit. Claire miała rację: w którymś momencie Nina będzie musiała zająć się czymś innym. Pieniądze, jakie zarabia, nie są pewne — konkurencja wzrasta z każdym dniem, a coraz więcej osób z oszczędności zaczyna samodzielnie wyprowadzać psy. Pieniądze nie są tu jednak najważniejsze. Musi być ze sobą szczerą i przyznać, że jest ambitna. Pragnie sukcesów, chciałaby skosztować życia „na większą skalę”. Wie, że jest stworzona do czegoś więcej. Wyprowadzanie psów jest dla niej zbyt zaściankowe, ulice za wąskie, chodniki za ciasne, cała ta dzielnica zbyt prowincjonalna.

Jest jeszcze Daniel. Jutrzejszy wieczór. Nina wróciła pamięcią do tych niewielu spotkań z Danielem, odtwarzała je w myślach ze szczegółami, po wiele razy. On powiedział to, ona powiedziała tamto. O Boże, była taka zdenerwowana, była...

Właśnie wtedy usłyszała pisk. Usiadła. Spojrzała na zegar: pierwsza trzydzieści. Sam, w łóżku obok niej, podniósł łeb i postawił uszy. Znowu ten dźwięk: przerażające wycie dobiegające z parku. Sam i Nina

jednocześnie rzucili się w stronę tarasu. Ona wychyliła się przez murek, on drapał po ceglach przednimi łapami, nie mogąc nic zobaczyć. Kolejny skowyt i już mieli pewność.

To pies.

Nina narzuciła na siebie jakiś ciuch, złapała smycz Sama i już byli za drzwiami i mknęli po schodach w dół.

Ulice były prawie puste. Tylko gdzieś tam przemknął jakiś samochód czy para czekająca na taksówkę na Central Park West. Po tłumach, które były na koncercie w parku, nie było już śladu. Noc była ciemna. Niebo zakrywały chmury. Jedynie przeraźliwy skowyt tego psa raz na jakiś czas przeszywał ciszę.

Nina i Sam przebiegli ulicę, znaleźli się po stronie parku i szli w kierunku przerażonego stworzenia. Sam wskoczył na jedną z ławek pod kamiennym murem, który otacza park. Potem sam wskoczył na mur, czego nigdy wcześniej nie robił — wyglądał na tak samo zdesperowanego, by pomóc biednemu stworzeniu, jak ona.

Piski stawały się coraz głośniejsze. Nagle Sam chyba coś zobaczył, bo jednym susem przesadził mur i rzucił się w ciemność.

— Poczekaj! — wrzasnęła Nina. — Sam, czekaj!

On jednak był już daleko. Weszła do parku na ścieżkę w pobliżu 93 ulicy. Wąską alejkę oświetlały stare lampy, ale nie widziała nic w oddali. Gdyby miała więcej czasu lub gdyby się chociaż zastanowiła nad tym, co robi, może by się zatrzymała, wezwałaby policję, poszukałaby pomocy. Ciemność i płożące się pod jej stopami cienie napawały ją lękiem.

Wreszcie z mroku wyłonił się plac zabaw. Zza stalowego ogrodzenia niczym jakieś groźne stwory wystawały zabawki dla dzieci. Gdy podeszła bliżej, zobaczyła psa przywiązanego do metalowego słupka. Był tam też Sam — biegał jak szalony obok obcego zwierzęcia, tam i z powrotem. Ujrawszy Ninę, podbiegł do niej i wrócił, jakby powiadomienie jej było najlepszą rzeczą, jaką może w tym momencie zrobić.

Wspólnie ostrożnie zbliżyli się do psa. Nina rozglądała się na lewo i prawo, i za siebie, w obawie, że szalony właściciel jeszcze gdzieś się tu kręci. Tak naprawdę jednak wiedziała, że są bezpieczni. Podobnie jak niemowlę porzucone pod drzwiami kościoła, tak ten psiak został pozostawiony na placu zabaw po to, żeby ktoś go znalazł, zabrał i otoczył opieką. Nina była oburzona, ale też odetchnęła z ulgą, widząc, że nie ma się czego bać. Z wyjątkiem, oczywiście, samego psa, który był tak przerażony, że zrobiłby w swojej obronie wszystko. Musiała więc bardzo uważać.

Psina była mała, kundlowata, ze sztywną sierścią i błyszczącymi dziką furją, przerażonymi oczkami. Nina pomyślała, że to mieszaniec terriera z pudlem. Szarpał gwałtownie za linkę obwiązaną wokół szyi. Ciągnął mocno, a lina zmuszała go do powrotu. W tym przerażeniu, panice, nie rozumiał, o co chodzi, lub też nie obchodziło go, że im mocniej pociąga za linkę, tym silniej jest przez nią przyciągany.

Z bliska Nina zauważyła na karku psa rozdrapaną do żywego, krwawiącą ranę, w którą wrzynała się linka. Sierść w tym miejscu była aż sztywna od krwi. Nina przywiązała Sama do sąsiedniej ławki i na czworakach zaczęła się posuwać w stronę uwiązanego zwierzęcia, czując za sobą niespokojne sapanie i szarpanie Sama. Zawodzenie obcego psa przeistoczyło się w szczekanie — próbował odegnąć Ninę i zagrożenie, jakie według niego stanowiła.

Im jednak była bliżej, tym bardziej się uspokajał. Nina usiadła jakiś metr od niego i cierpliwie czekała. Wreszcie psiak zaczął chodzić w tył i w przód, na ile pozwalała mu lina. Sam też się uspokoił, czując, że porzucony pies nie chce skrzywdzić jego pani. Kiedy szczekanie i skowyt ucichły, chodzenie w kółko osłabło, a pies usiadł, żeby przez chwilę odetchnąć, Nina przybliżyła się do niego z wyciągniętą ręką i otwartą dłonią, nie patrząc mu w oczy. On na to czekał. Powąchał jej dłoń i polizał. Dotknęła jego łba, uszu, podrapała go po pysku. Ostrożnie wstała i odwiązała linkę od słupka. Owinęła ją sobie wokół dłoni, aż uzyskała odpowiednią długość smyczy. Wtedy odwiązała Sama i zabrała oba psy do domu.

Po przyjeździe dała nowo przybyłemu jeść i pić i przygotowała mu posłanie z dodatkowego koca, używanego, gdy musiała przenocować któregoś z podopiecznych. Głaskała go po grzbiecie, łbie, za uszami, a on z radości machał ogonem. Wreszcie padł na podłogę, przewrócił się na grzbiet i z łapami sterczącymi w górę domagał się, by drapać go po brzuchu.

Wtedy Nina zorientowała się, że to suczka. Serce podskoczyło jej do gardła. Nie dość, że nie wiadomo jak zły czy nawet sadystyczny właściciel zostawił ją w środku nocy, w ciemności, przerażoną, samą, na pastwę losu, to jeszcze po uratowaniu musiały minąć ponad dwie godziny, nim ktoś dostrzegł jej prawdziwą naturę. W tym momencie Nina się rozplakała, wzięła biedną psinę na ręce i przytuliła twarz do jej pyska.

— Mimi — powiedziała Nina. — Nazwiemy cię Mimi i to już zawsze będzie twój dom.

Sam szczeknął. Wbijał w Ninę groźny wzrok, niczym lew strzegący swej kryjówki.

— Chociaż może trzeba będzie znaleźć ci prawdziwy dom. Oczywiście, jak będziesz na to gotowa. — Nina wiedziała, że choć Sam jest dumny z tego, iż ją uratował, w żadnym wypadku nie zgodzi się na wypuszczenie tego wynędzniałego, zaniedbanego kundla na swój teren. Mimi podeszła do legowiska Sama i zwinęła się tam w kulkę, wyczerpana. Zanim ktokolwiek zdołał zareagować, już spała. Sam popatrzył na Ninę, odwrócił się i wyszedł — uznał kuchnię za bardziej odpowiednie miejsce na nocleg.

Nina poszła do łazienki, a potem do łóżka. I wszyscy troje obudzili się dopiero wtedy, gdy rano zadzwonił budzik.

Sam był bardzo przygnębiony na spacerze z Mimi. To czas przeznaczony dla niego — Nina wiedziała, że tak właśnie myślał, kiedy udawał, że nie dostrzega prób zawarcia przyjaźni podejmowanych przez Mimi. Jeszcze zanim wyszli, Mimi próbowała wciągnąć go w zabawę Goń Mnie, Obwąchaj Mój Zadek, ale wszystko na próżno. Sam był wyraźnie niezadowolony. Jak długo jeszcze to obce psisko ma zamiar pozostawać na jego terenie? Choć, oczywiście, Sam tego nie wypowiedział, Nina dobrze wiedziała, o co mu chodzi. Z jakiegoż innego powodu zrobiłby kupę na podłogę pod jej biurkiem? To było pierwszy i chyba ostatni raz. No dobrze, czyli Nina musi znaleźć dla Mimi dom. Ale jeszcze nie minęła nawet doba. Nie zdążyła nawet dokładnie oczyścić ran na jej karku. Ostrożnie przemyła posklejaną sierść, ale przetarta do krwi skóra wyglądała, jakby potrzebowała czegoś więcej, żeby zapobiec zakażeniu. Trzeba będzie pójść z Mimi do weterynarza.

Realizacja projektu o kryptonimie „Mimi”, jak w myślach nazwała go Nina, musi trochę potrwać. Suczka została porzucona, może nawet się nad nią znęcano, więc potrzebuje czasu, żeby odnaleźć równowagę w kochającej rodzinie.

Sam będzie musiał przywyknąć. Do nowej sytuacji i do niej.

Dźwięk dzwonka zupełnie jej nie zdziwił. Safire szczerknął. Aha, to on. Wiedziała, że wkrótce się pojawi. Safire próbował się z nią ścigać do domofonu. Nie miał szans. Doszła do drzwi, gdy pies był dopiero w połowie przedpokoju.

— Słucham? — zapytała, spodziewając się jego typowej odpowiedzi.

— Tu Daniel. Mogę z panią pomówić?

Wcisnęła guzik, usłyszała odgłos otwierania i zamykania zewnętrznych drzwi, a po chwili pukanie. Otworzyła.

Safire zdołał już dotrzeć do wejścia. Groźnie zawarczał, gdy Daniel wchodził.

— Safire, spokój! — rozkazała mu pani i pies podreptał z powrotem na swoje miejsce przy ścianie. — Nie rozumiem, czemu nie cieszy się na pana widok. Zachowujesz się nagannie, Safire. Masz być zawsze uprzejmy. A czemu to zawdzięczam tak miłą wizytę? — nie była pewna, czy jej sarkazm nie jest zbyt wyraźny.

— Potrzebuję pani rady. Nie przeszkadzam?

— Nie bardziej niż ktokolwiek inny — powiedziała, nie będąc w stanie skłamać. — Chodźmy do gabinetu. Nalać panu drinka?

— Nie, dziękuję.

— Proszę. Chociaż poudawajmy, że to wizyta towarzyska.

— Ale...

— Może być wódka z wodą sodową?

Zostawiła go w gabinecie, a sama udała się do kuchni.

Kiedy wróciła, siedział sztywno na kanapie, w rozpiętej marynarce. Trzymał w rękach najświeższy numer „Podróży i Wypoczynku” otwarty na stronie z jej artykułem.

— Kostaryka. Chciałbym tam kiedyś pojechać.

— Warto. Tam jest naprawdę pięknie — podała mu drinka.

Pociągnął łyk.

— Pracuję dla władz federalnych. Zaskoczyła go własna szczerłość.

— Wiem.

Nawet nie mrugnął.

— Wiem, że pani wie. A teraz potrzebuję pani wsparcia. Bo jak mi pani nie pomoże, przyślą kogoś innego, kogoś...

— Nie tak przystojnego?

Roześmiał się.

Jest przystojny, trudno mu tego odmówić.

— Wiemy, oczywiście, o pani pseudonimach, kontaktach, olbrzymiej gotówce, którą trzyma pani w banku. Zakładamy, że jest tego więcej, ale nie wiemy, gdzie. Zaczęło się od przestępstwa podatkowego. Ale teraz to już jest sprawa kryminalna. Podejrzewam, że pani tego nie chce.

Znowu ją zaskoczył.

— Kryminalna? To śmieszne!

— To znaczy... interesuje nas to, czego nie wiemy. A nie wiemy, skąd pani bierze tyle gotówki i ile jej jeszcze jest.

— Mój drogi panie. Gdybym chciała wam coś powiedzieć, zrobiłabym to — uśmiechnęła się. Zauważyła, że patrzy na jej usta, i poczuła przypływ energii. Jej usta, jej uśmiech zawsze były jej atutem i widocznie nie przestały.

— Pani Chandler, musi pani zacząć ze mną współpracować, żebym mógł odsunąć od pani tych ludzi.

— Proszę mówić mi po imieniu. Jak możemy się spoufalić, a przecież pieniądze to temat intymny, skoro uparcie zwraca się pan do mnie tak sztywno?

— Przyjdą tu. Przeszukają mieszkanie i zamkną panią... ciebie, jak będzie trzeba, jeśli mi nie pomożesz tego wyjaśnić.

— Co? Naślą na mnie policję z nakazem? Pod jakim pretekstem? Muszą mieć powód. Muszą mi coś udowodnić. Inaczej to niezgodne z prawem.

— Zaufaj mi. Znajdą powód. Jeśli cię będą podejrzewać o handel narkotykami...

— Ależ jestem wrogiem zażywania narkotyków w każdej postaci, z wyjątkiem sporadycznego zażycia tych na receptę, jak xanax czy ambien, w razie konieczności.

Roześmiał się.

Znowu to samo. Ten gest głową, lśniące zęby, emanujące z niego ciepło i naturalność. Jest zwykle tak sztywny, powściągliwy, że kiedy już się śmieje, to nie potrafi niczego ukryć, jego emocje wypływają ze zdwojoną siłą.

— Nie jestem dilerem. Jestem wrogiem narkotyków i nigdy bym się nie wdała w nic, co uważam za nieetyczne. W tym względzie możesz mi ufać.

— Ale nikt w to nie uwierzy, i przyjdą tu i zrobią, co w ich mocy, żeby dowieść swoich racji, nawet jeśli tylko po to, żeby udowodnić, że się nie pomylili.

— No nie, tego nie zniosę — powiedziała z oburzeniem i podniosła się z miejsca.

Uśmiechnął się.

— Wiem. Dlatego tu jestem.

— A skąd mam wiedzieć, że mogę ci zaufać? Wiedziała jednak, że może. Usiadła z powrotem.

— Bo masz tylko mnie. I chcę ci pomóc się z tego wygrzebać.

Minutę czy dwie panowała niezręczna cisza. Przyglądała się, jak on pije, krzyżuje i prostuje nogi, poluzowuje krawat.

— Musisz mi zaufać.

— Ostatnim razem, kiedy słyszałam to z męskich ust... Tym razem uniósł brwi i uśmiechnął się, mrużąc oczy.

— Chodź.

Wstali. Constance wzięła go za rękę i poprowadziła do sypialni. Stanęli w drzwiach i spoglądali na łóżko.

On potrzęsął głową, nie mogąc powstrzymać uśmiechu.

— Wiesz — powiedziała. — Byłeś tu.

— Tak.

— Wszystko znalazłeś?

— Chyba tak.

— Toaleta?

— Aha.

— Fortepian?

— Tak.

— Puszka?

— Też.

— Ściana?

— Też.

— I pod materacem.

— Bardzo śmieszne.

Znowu siedzieli w jej gabinecie.

— Ale skąd? Przecież to nie są zarobki autorki przewodników.

— Tego nie mogę ci powiedzieć, choćbym nawet chciała. To moja tajemnica, to część tego, kim jestem, jak żyję, co robię. To moje prywatne życie i dla mnie jest ważne, żeby tak zostało.

Poczuł się zawiedziony, że go odepchnęła.

— No to nie mogę cię chronić. Póki coś przede mną ukrywasz, nie jestem w stanie ci pomóc.

— Nie będziesz...

— Ja nie, ale nie mogę zabronić innym tu przyjść. Jak to zobaczą, pomyślą o narkotykach.

— Ty tak myślisz?

— Nie, to śmieszne.

— Więc taka kobieta jak ja nie ma innych możliwości zarobkowania? I chociaż stwierdzam to z przykrością, nie jest to sprzedaż prenumeraty ani własnego ciała.

Był zły, że nie chce mu powiedzieć. Ale czemu miałyby mu mówić? Przecież pracuje dla nich! Cały czas wiedział, że ma gotówkę, pytanie tylko, skąd.

Odwrócił się w stronę wyjścia. Chwyliła go za rękaw.

— Zaufałam ci.

— Nie. Nieprawda. Wiedzieliśmy. I ty wiedziałaś, że wiemy... że masz te pieniądze. Teraz je zobaczyłem. I co z tego? Skoro nie ufasz mi na tyle, żeby powiedzieć, skąd pochodzą, nie mogę ci pomóc.

Czemu jest taki zły? Przecież jego praca polega na obcowaniu z kłamcami. Każdy oszust, każdy fałszerz, każdy, kto uchyla się przed płaceniem podatków, każdy kłamie. Tym razem jednak zabolalo go to, i wiedział dlaczego.

Polubił ją.

Gdy doszedł do drzwi, zastanawiał się, co ma zrobić. Obrócił się jeszcze, by na nią spojrzeć. Stała w wejściu do sypialni. Dumna, uparta, silna, zwracająca na siebie uwagę, piękna. Jest inteligentna, ale nie może wiecznie przed nimi uciekać.

Uśmiechnęła się w taki sposób, że zapragnął na zawsze otoczyć ją opieką.

15

Łup, łup, łup, łomot do drzwi wystraszył Ninę. Zerwała się z krzesła, uderzyła w stół, który zatrzęsł się, aż rozsypały się wszystkie drobiazgi, skrupulatnie posegregowane według rozmiarów, kolorów i materiałów. Nie spodziewała się nikogo o tej porze. Siedziała właśnie przy stole, zajęta pracą nad nową kompozycją. Z odtwarzacza płynęły dźwięki *A Little Night Music* i ona podśpiewywała sobie *Miller's Son* na cały głos, zupełnie nie trzymając się tonacji, jakby ten piękny walc Sondheima był atonalnym utworem Strawińskiego. Sam szczechnął, obudzony z głębokiej popołudniowej drzemki.

— Kto, do licha...?

— Nina, otwórz. To ja, Isaiah.

Podeszła do drzwi, wyjrzała przez wizjer i otworzyła.

— Kto cię wpuścił do budynku?

— Ktoś wychodził... ale to chyba nieważne? Nawet ty mi nie ufasz — był wyraźnie czymś wzburzony.

— Pewnie, że ci ufam. Co się dzieje? Napijesz się czegoś?

— Aha. Choćby potrójną Long Island Iced Tea.

— O jedenastej rano raczej nie.

— Żartowałem. Co, nie mam poczucia humoru? Głupi jestem?

To nie był ten Isaiah, którego znała.

— Siadaj — rozkazała — i mów, o co chodzi.

— O to — powiedział i wręczył jej zmięty egzemplarz czasopisma „New York”

— Jesteś wściekły, bo któryś z psów to zeżarł? To przestań wyprowadzać pitbule.

— Nie, żaden z moich pitbuli, jak je nazywasz, zresztą niesłusznie, tego nie zjadł. Przestań się zachowywać jak ostatnia suu-uka i patrz.

Nie znosi, gdy nazywa się ją „suka”, czy to pod przykrywką języka hip-hopu, czy też wprost. Krzywi się za każdym razem, gdy słyszy to słowo. Takie określenie kobiety jest przejawem tego samego rozumowania, które widać w wyrażeniu „babska szmira”. Nina nigdy by się nie nazwała feministką, bo nie znosi tej etykiety. Przecież która kobieta nie chce takiej samej płacy za taką samą pracę, prawa wyboru, bycia, rozwoju. Ale, na Boga, jeżeli w filmie nie ma pościgów samochodowych, kung-fu i gołych cycków, to już jest „babska szmira”. Jeśli kobieta jest na tyle twarda, żeby zbudować wielomiliardowe imperium, idzie siedzieć! A jeśli ma swoje zdanie, jest suką albo suu-uką, co przecież właściwie oznacza psią mamę.

— Jestem suką i jestem z tego dumna.

— To brzmi: „Jestem czarny i jestem z tego dumny”.

— Jasne, że tak, i pewnie, że jesteś. Choć nie powinieneś — jej słowa nieco rozładowały jego historię.

— Przepraszam. Jestem wściekły, a do tego zdawało mi się, że mnie nie słuchasz.

Nastąpiła chwila ciszy, w której każde myślało o zaletach tego drugiego.

— Suka — powiedział.

Śmiejąc się, Nina usiadła i spojrzała na artykuł z wyraźnym nagłówkiem: „Czy twój pies (i mieszkanie) jest pod dobrą opieką?”. Miała nadzieję, że Isaiah nie zauważył, jak zbladła. On jednak siedział wygodnie, z wyciągniętymi nogami skrzyżowanymi na wysokości kostek, głową opartą o krawędź krzesła, dreadami zwisającymi niemal do podłogi i ze wzrokiem wbitym w sufit.

— Dasz wiarę...

— Ciii — odparła Nina, usiłując złapać oddech i udając, że czyta.

Podrapał Sama za uszami.

— Oni myślą, że...

— Ciii — Nina znowu go uciszyła. Wyprostował się w krześle.

— Mogłabyś się, kurde, pospieszyć z czytaniem tego cholernego artykułu, żebyśmy mogli o nim pogadać?

Nina wstała i przeszła do łazienki. Zamknęła za sobą drzwi. Z trudem łapała oddech. Isaiah nie mógł o tym wiedzieć, ale właśnie tego ranka była w mieszkaniu Quintów, gdzie trafiła na prawdziwą żyłę złota.

Tak dawno nie szperała w cudzych rzeczach, że już zaczęło jej tego brakować. Właściwie codziennie, na każdym spacerze, posuwa się trochę za daleko, widzi trochę za dużo, przysłuchuje się trochę zbyt uważnie. Ale nie przeszła całej tej drogi w jednej chwili. Może to ten niepokój, niepewność związana z tym, co Claire nazywa „miganiem się od życia”, a może perspektywa randki z Danielem, w każdym razie coś wywołało w niej niepoohamowane pragnienie, któremu nie potrafiła się oprzeć. Ktoś inny w takiej sytuacji miałby ochotę na czekoladowego batona, a ją korciło, żeby zajrzeć tam, gdzie nie powinna. Po odprowadzeniu Kinga coś ciągnęło ją do środka, kusilo srebrne pudełko na kominku, wytworny pokój, zaskakujący prostotą i elegancją, szczególnie, że w stosunku do psa Quintowie wcale nie są powściągliwi. Jest karmiony świeżą wołowiną i nosi sweterek, kiedy robi się chłodno.

Prawdziwa niespodzianka miała jednak dopiero nadejść.

Promienie porannego słońca padły na srebrne puzderko w taki sposób, że wydało się ono oświetlone od wewnątrz. Ponieważ państwo Quintowie byli w pracy, Nina zrobiła kilka kroków w głąb salonu i otworzyła tajemniczą szkatułę. Wewnątrz ujrzała kilka jointów, idealnie skreconych, równo podzielonych, leżących jak sardynki, które aż się proszą, by ich skosztować. Przypomniały się jej czasy, kiedy palenie trawki było elementem alternatywnego stylu życia. Kto palił trawkę, był równy gość. Tamte czasy wraz ze skrętami zostały wchłonięte przez kulturę masową, zastąpiły je croissanty i Sara Lee. Właśnie dlatego nigdy nie będzie w Ameryce rewolucji — myślała Nina — bo w ostatecznym rozrachunku wszystko jest dla wszystkich. Co, z demokratycznego punktu widzenia, jest dobre. Z wyjątkiem sytuacji, kiedy dobre nie jest.

Cóż, nie ma dymu bez ognia, więc następnym przystankiem Niny była lodówka. Okazało się, że przecucie jej nie myliło. Znalazła w lodówce trzy szklane słoje, takie, jakich używa się do przechowywania przetworów. Pełne trawki po brzegi.

Cóż, skoro jest pożar, musi być i pierwsza pomoc, więc Nina ruszyła do łazienki. Tam, w szafce na lekarstwa, odkryła wszelkie modne narkotyki, jakie tylko znajdują się na rynku. Były tam ambien, pexil, xanax, wellbutrin i zoloft, i percocet, i prozac, i viagra, i valium, i vicodin, i ativan. Mieli nawet clomicalm — środek uspokajający dla psów.

Faszerowanie się narkotykami to widocznie zabawa dla całej tej rodziny.

Pełna podejrzeń, zajrzała jeszcze do szuflad w sypialni, do szafek nocnych i szaf. Nie znalazła jednak już nic nielegalnego. Owszem, był wibrator i kilka zabawek z sex-shopu, ale nic takiego, na co warto byłoby zwrócić baczniejszą uwagę. Dużo bardziej perwersyjne rzeczy widziała u Kayesów — właścicieli tej szalonej, wyjącej do księżycy, szczekającej na psy i goniącej za UFO Lucy, która jest mieszańcem bearded collie z Bóg wie czym.

Wyszła więc z mieszkania.

Zdażyła jednak zabrać jednego jointa ze srebrnej szkatułki na kominku. Teraz otworzyła szufladę w szafce nocnej, żeby jeszcze raz na niego spojrzeć.

Przebiegła wzrokiem artykuł, szukając własnego nazwiska. Serce biło jej jak oszalałe ze strachu, że oto została zdemaskowana w „New Yorku”. Z ulgą stwierdziła, że jednak nie, mogła więc odetchnąć i dać upust swojemu oburzeniu. Na pismo, że nie ma ważniejszych tematów, ale jeszcze bardziej na siebie, że jest złodziejką.

Odnotowała w pamięci, że musi zwrócić tego jointa następnym razem, gdy będzie odbierać Kinga. To już zaszło za daleko. Oglądać to jedno, a kraść, no cóż, to już coś zupełnie innego.

Kiedy wyszła, Isaiah drzemał na tarasie na jednym z rozpadających się foteli.

Nina usiadła przy jego nogach i delikatnie nim potrząsnęła.

— Isaiah.

Otworzył oczy i kiedy zorientował się, gdzie jest i kto przy nim siedzi, zerwał się gwałtownie i zapytał:

— No i co, znasz chociaż jedną osobę, która robi cokolwiek z tych wszystkich rzeczy, o których tu piszą? Kogoś, kto zagląda do szafek? Kto uprawia seks w cudzym mieszkaniu? Przymierza ich ciuchy? Chociaż jedną taką osobę?

— Nie, nikogo, nie ja... To znaczy... a ty? Znasz? Każdy znany mi opiekun psów zna zasadę... wejść, wyjść... Kto by robił takie rzeczy?

— Seks na podłodze! Ja mam wyrzuty sumienia, kiedy muszę się odlać!

— No, ja też — serce jej przyspieszyło. Zaczęła się pocić.

— To wszystko brednie! To pomówienie! Zniesławienie! No właśnie, a czym te dwa różnią się między sobą? Zniesławienie i pomówienie? Ja nie mam pojęcia, a ty?

— Ja wiem tylko, że gadali z dwoma psimi opiekunami z centrum, i ich doświadczenia, jak zakładają, mają mówić za wszystkich z tej branży w całym Nowym Jorku. Dlatego wyszły takie bzdety. To pisemko stać na wszystko, byle zdobyć czytelników.

— No, ale nawet jak na nich to jest wyjątkowo niskich lotów. Krew mnie zalewa, kiedy się mnie obraża, poniżej tylko dlatego, że mam odwagę zrobić coś, czego nikt inny nie chce.

— Tu chodzi o coś więcej. Nie ma artykułów o pomocach domowych albo opiekunkach do dzieci, które kradną czy śpią w pracy, albo oglądają telewizję, czy też dzwonią sobie na koszt pracodawców. To by nie było politycznie poprawne. A nas uważają za przestępców.

— Ja jestem byłym przestępcą — powiedział Isaiah i oboje się z tego roześmiali. — Wiesz co? — dodał po chwili wstając i spoglądając na park. — Założę związek zawodowy. Tak, tak właśnie zrobię. Zbiore wszystkich psich opiekunów Nowego Jorku... nie, Ameryki...

— Ameryki Północnej, świata!

— ...związek, który broniłby naszych wynagrodzeń i naszych praw.

Nina patrzyła na niego onieśmielona. Wiedziała, że jest do tego zdolny, i wstydziła się za siebie.

Gdy wyszedł jakieś piętnaście minut później, wróciła do swojej kompozycji. Nie od razu mogła dotrzeć w głąb i w dół. Tak właśnie sama dla siebie nazywa proces tworzenia. Docieranie w głąb i w dół, odwracanie się od tego, co właśnie powinna robić, co powinna powiedzieć, od tego, jak Daniel na nią wtedy patrzył, od spódniczki, którą chciałaby kupić, szafy, którą musi posprzątać, skradzionych rzeczy, które musi zwrócić. W głąb i w dół. Do królestwa kamieni, szkła, drutu, barw, surowców, uczuć i pragnień. Daleko, daleko od miejsca, w którym się znajduje.

Zadzwonił telefon. Z wieży popłynęły dźwięki *Send in the Clowns*.

— Słucham.

— To ja — odezwała się Claire. — Mogę wpaść? Muszę ci coś powiedzieć.

— Ja też. Dzwoniłam do ciebie setki razy. Chciałam...

— Ja pierwsza!

— A czemu? Dlaczego ty masz mówić pierwsza?

— Bo to ja dzwonię do ciebie.

— No i co? To ja jestem adresatem rozmowy i grzeczność nakazuje mnie wysłuchać.

— Nie, nie słucham — powiedziała Claire i zaczęła śpiewać do słuchawki: — Da dada dadada.

— No dobra, to mów.

— Już idę.

W tym momencie zadzwonił domofon.

— Poczekaj chwilę, ktoś dzwoni — powiedziała Nina. Odłożyła słuchawkę i podeszła do domofonu.

— Kto tam?

— To ja — odezwała się Claire.

— Poczekaj chwilę... — i całkowicie zdezorientowana Nina spoglądała to na telefon, to na domofon, krótką chwilę nie wiedząc, co robić.

— No wpuść mnie! — ryknęła Claire w obu słuchawkach naraz.

Nina wpuściła ją, odłożyła słuchawkę i podeszła do drzwi, gdzie czekała na pukanie. Słyszała, jak Claire pędzi na górę. Otworzyła drzwi. Przyjaciółki rzuciły się sobie w objęcia — Claire zadyszana, złana

potem (tym razem wywołanym przez coś jak najbardziej realnego) — i po chwili przemówiły niemal równocześnie.

— Oddzwonili! — szepnęła Claire.

— Wychodzę dzisiaj z Danielem — szepnęła Nina.

Potem już tylko patrzyły na siebie w milczeniu i nagle zaczęły wydawać okrzyki, które mogły postawić na nogi cały budynek, gdyby mieszkańcy akurat ucinali sobie drzemkę w upalne popołudnie.

16

Spotkali się tego wieczoru przed Village Vanguard, na rogu 7 i 11 na terenie Village, żeby wysłuchać kwintetu puzonów Slide'a Hamptona.

Nina tak dawno nie widziała Village, a całe lata — Vanguard, że była naprawdę podekscytowana. Tak odległa, obca jej Village wydawała się europejska, urokliwa w porównaniu z podmiejskim charakterem Upper West Side. Aż się zdziwiła, że ją wpuszczono bez paszportu. Wizyta w samym centrum była miłą odmianą, a obecność Daniela jeszcze dodawała pikanterii. Czuła się oszołomiona, podziwiana i wytworna w sandałach na wysokich obcasach — już rozchodzonych po tamtym krwawym spacerze z białymi piaskami — i małej czarnej bez rękawów.

— Ładnie wyglądasz — powiedział Daniel, gdy przywitani się przed wejściem.

Czekał na nią na chodniku. Dziwnie swobodnie prezentował się w dżinsach i podkoszulku. Słońce było już nisko i rozsyłało po granatowym niebie długie różowawe smugi, przebijające się przez chmury nad zachodnim brzegiem rzeki Hudson.

— Ty też — odpowiedziała, dziwiąc się sama sobie, czemu przy nim popełnia takie straszne gafy. Trudno — pomyślała. To dlatego, że jest zdenerwowana. Oczywiście, teraz będzie strzelać gafę za gafą.

— Wejźmy.

Dwa burgery i piwa, krótka rozmowa o tym, co się wydarzyło w ciągu dnia i o sytuacji na wybiegu, i zaczął się koncert. Pięć puzonów przy akompaniamencie perkusji, gitary i pianina grało klasyczne standardy, które brzmiały jak pieśni żałobne.

Pod koniec pierwszej składanki Daniel zauważył:

— To nie to. Zawiodłem się — popatrzył na nią zatroskany. — Nie chciałbym, żebyś się zniechęciła. Puzon to niesamowity instrument. Ale wybór tych piosenek i te aranżacje, i pięć puzonów naraz. Coś tu nie gra. Chodźmy.

Nina spojrzała na niego współczująco.

— Nie jest tak źle.

— Powinnaś to usłyszeć tak jak trzeba. Poczekaj. Zaraz wrócę.

Poszedł za scenę i zniknął na jakąś minutę. Wrócił, taszcząc futerał z zepsutymi zawiasami i oderwanym uchwytem, tak zniszczony, zużyty, że trzymał się tylko dzięki taśmie klejącej.

— Chodź — powiedział. — Przejdziemy się.

— Czyj...? — zaczęła Nina, wskazując tajemniczy puzon.

— Jednego z nich. Znają mnie tu.

— Twój jest tak... — uważaj! — to znaczy... pewnie dobrze grasz.

Uniósł jedną brew i patrząc na nią, powiedział:

— To dla mnie ważne.

Noc była piękna, spokojna i pachnąca. Udali się w stronę rzeki, od której wiał delikatny wietrzyk, w stronę niedawno odnowionych pirsów, odbijających od głównej drogi biegnącej w kierunku West Side. Łatwo zapomnieć, że to najwspanialsze miasto na świecie jest wyspą. Planiści chyba też o tym nie pamiętali, bo jeszcze do niedawna centrum Nowego Jorku nie miało nabrzeża z prawdziwego zdarzenia. Żadnych restauracji, parków, nic. No, może kilka przy przystani na South Street, ale to kropla w morzu. Teraz, od Village, Soho, aż do Tribeca i Battery Park, miasto nad wodą — z parkami, ścieżkami rowerowymi, restauracjami — tętni życiem.

Gdy szli wzdłuż Perry do głównej drogi i dalej do Charles, wieżowce rozstępowały się przed nimi i przed oczami pojawiało się niebo, jakby wychodzili z jaskini po długiej hibernacji. Słońce właśnie zaszło za New Jersey, co może nie brzmi zbyt romantycznie, ale nie było pozbawione romantyzmu. Wzdłuż rzeki Hudson świeciły latarnie, a ich światła odbite w wodzie lśniły jeszcze intensywniej. Niebo było nienaturalnie ciemnogrnatowe. Nina pomyślała, że tak wygląda niebo idealne.

Przeszli na światłach przez główną ulicę i skierowali się w stronę nabrzeża. Pirs, z niedużymi metalowymi stolikami i krzesłami na całej długości, ze świeżo skoszonym trawnikiem pośrodku, po dwóch latach od otwarcia nadal był w nieskazitelnym stanie. Nina zastanawiała się, czy wandalę i graficyarzy w końcu zaznaczą tu swoją obecność, czy też uszanują chociaż tę nową oazę.

Nina i Daniel doszli do końca pirsu. Po lewej mieli światła Battery Park City, po prawej wieżowce Upper West

Side, a po przeciwnej stronie rzeki połyskiwały światelka ze wzgórz New Jersey.

— Patrz — powiedział Daniel prawie szeptem — ale widok, nie?

Wskazał ręką przed siebie, a Nina powiodła wzrokiem we wskazanym kierunku. Nie musiała, bo i tak wiedziała, że widok Jersey po tamtej stronie rzeki nie ma sobie równych. Stoi tam stara tablica kolejowa w otoczeniu trzech okazałych bram — o tej porze olbrzymie litery na tablicy podkreślone były światłami padającymi z tyłu i dookoła. LACKAWANNA — głosi dumny napis ponad rzeką Hudson. Niewielki holownik pchał właśnie barkę w jego cieniu.

Nina zastanawiała się, czy LACKAWANNA ma coś wspólnego z pragnieniem, tęsknotą za czymś, czego się nie ma lub nie można mieć. Wskazywałyby na to słowa LACK (brak) i WANNA (chcieć). A może jest wręcz odwrotnie — myślała — może to znaczy nie mieć żadnych pragnień. Brak pragnień. Przejeżdż się tym pociągiem, a niczego więcej nie będziesz już pragnął.

— To stare słowo, które w stanie Delaware znaczyło „para wodna, która się rozwidła” — poinformował ją Daniel.

Wciąż wpatrywała się w tablicę z uśmiechem, gdy Daniel wziął ją za rękę. Wtedy spojrzała na swoją dłoń w jego silnym i ciepłym uścisku.

— Powiedz mi — odezwał się Daniel — jak to jest wchodzić do cudzych mieszkań, gdy nikogo w nich nie ma?

Wykorzystał jej brak czujności. BRAK PRAGNIĘĆ, by o tym rozmawiać. LACKAWANNA. Ale czego on chce się dowiedzieć? Czy wie, że kąpała się w jego wannie? Że wachała jego koszule, siedziała na łóżku, przykładła ustnik jego puzonu do swoich warg? Czy wie?

— Zwykle nie jestem sama. Na przykład Luca zazwyczaj jest ze swoim panem, Jimem. Safire prawie zawsze jest z panią Chandler.

— Ale kiedy jesteś, to musi być ciekawe. Popatrzyła na niego. Do czego zmierza?

— Zastałam Quintów, jak się kochali.

— Skąd wiesz? Co zrobiłaś?

— Słyszałam, jak pan Quint krzyczał: „Tak, suko!”. A skoro pies czekał na mnie przy drzwiach, doszłam do wniosku, że woła do kobiety.

Daniel się roześmiał.

— Chyba do pani Quint.

Nina też się roześmiała.

— A jak to jest być prawnikiem? Zajmujesz się prawem korporacyjnym, prawda?

— Tak. Nie ma o czym mówić. Wierz mi — patrzył wprost przed siebie na rzekę i na tę dostojną tablicę. — A inne mieszkania? Nie korci cię, żeby zajrzeć do szafki? Do apteczki? Szafy?

— Pewnie, ale to nie byłoby w porządku. Są niepisane zasady tego zawodu i jedną z nich jest przestrzeganie prywatności klientów.

— Aha... — mruknął. Po chwili powtórzył to, co zauważył już wcześniej: — I pewnie sporo zarabiasz. I wszystko w gotówce.

— Nie narzekam. To prawda — Nina czuła się niezręcznie pod ostrzałem tych wszystkich pytań. Czego on, u diabła, szuka? Wysunęła swoją dłoń z jego uścisku.

— Prawda, jak twierdził Heidegger, nie jest jednoznaczna. Jest względna i warunkowa.

Co to? Teraz cytuje Heideggera?

Milczała. On też. Wpatrywali się w światła New Jersey odbite w tafli wody.

Noc stawała się coraz ciemniejsza, aż wreszcie mrok rzeki zlał się w jedno z ciemnością skał New Jersey i nieba w górze. Tylko światła LACKAWANNA pozwalały odróżnić ląd od morza.

Chwilę rozmawiali o rodzinie, szkole i pracy, a kiedy wyczerpały się już bezpieczne i powierzchowne tematy związane ze wspomnieniami, Daniel zapytał:

— No więc, co poza wyprowadzaniem psów się dla ciebie liczy?

W pierwszej chwili parsknęła, w zamyśleniu, ale jednak. Czuła się niezręcznie.

— Nic takiego.

— Brzmi zachęcająco. No, powiedz.

— Moja przyjaciółka Claire, mój pies, moja zwariowana mama — na chwilę się zamyśliła — i moje kompozycje.

— Kompozycje?

— Robię takie dziwaczne zwisające ozdoby. Trudno je opisać. Musiałbyś kiedyś przyjść i je zobaczyć. Daniel uniósł brwi w tak przesadny sposób, jak robił to Groucho.

— Akwaforty? Wpaść, żeby obejrzeć akwaforty? Roześmiała się i zapytała:

— No a ty? Co poza puzonem? Spochmurniał.

— Niewiele. Kiedyś lubiłem swoją pracę, ale to już przeszłość — rozpogodził się po chwili. — Ale kocham puzon i jazz. I Sida.

— A siostra? Rodzice?

— No tak, oczywiście, staruszkowie...

— I...

— I moja siostra, no... Danielle. No tak.

— Twoja siostra ma na imię Danielle? Co ci twoi rodzice sobie myśleli?

Roześmiał się.

— Głupie, nie? Daniel, Danielle...

— Gdzie ona mieszka? — zapytała rozbawiona Nina. Zamilkł na chwilę, jakby rozmowa o niej go krępowała.

— W Kalifornii, w Los Angeles — powiedział w końcu. — Jest, zdaje się, nauczycielką. Słuchaj...

Otworzył futerał z puzonem. Instrument lśnił w świetle lamp stojących wzdłuż pirsu. Nina obserwowała, jak Daniel składa elementy w jedną całość. Przyłożył wargi do ustnika i dmuchnął, odciągając ramię od siebie, a potem przyciągając z powrotem. Dźwięk był miękki i niski, zupełnie inny niż dźwięki pięciu instrumentów, których słuchali godzinę wcześniej.

— Co chcesz usłyszeć? — zapytał.

— Zagraj coś, co lubisz.

Tak też zrobił. Zagrał *I've got a Crush on You* z taką lekkością. „Miła ma...” To wprawiło ją w zachwyty. Kto by przypuszczał, że z puzonu można wydobyć takie dźwięki? „Stałem się sentymentalny, a moje serce przy tobie...”. W tym miejscu, na końcu pirsu, które niemal sięga gwiazd... „zaczyna mocniej bić...” Grał, a ona wiedziała, że tę piosenkę gra tylko dla niej.

Wtedy nagle skojarzyła: to tę melodię słyszała, kiedy był pod prysznicem. Czy wtedy też myślał o niej?

Kiedy skończył, oparła się ramieniem o jego ramię. Zwrócił twarz w jej stronę i cały czas trzymając puzon, chwycił ją za rękę.

Przerwał milczenie kilka minut później:

— Dawno tego nie robiłem. (Nie mogę powiedzieć jej prawdy).

— Ja też — powiedziała Nina. (I nie wiem, czy dam radę znów przez to przechodzić).

— Nie wiem, czy dam radę — (Poza tym, ona myśli, że ja to Daniel).

— Ja też — powtórzyła i od razu miała ochotę sama sobie przylać. Chociaż to była prawda.

— Może powinniśmy o sobie zapomnieć. (Boże, jak chciałbym cię pocałować i...)

— Rzucasz mnie, zanim cokolwiek się między nami zaczęło?

Rozbawiła go. Ona poczuła ściśnięcie w dołku. Wysunęła dłoń z jego uścisku.

— Ktoś w każdym związku musi napędzać lokomotywę, ciągnąć to wszystko — powiedział Daniel, patrząc na LACKAWANNA. (Ostatnim razem się nie udało).

— Ja nie mam prawa jazdy. Jestem z Nowego Jorku — stwierdziła Nina. (Proszę, nie rób tego).

Daniel się roześmiał.

— Ktoś musi ciągnąć tego drugiego. Bo inaczej nie dojadą do następnej stacji. (Zaprotestuj!).

— Ja się do tego nie nadaję.

— Ja też.

— Czyli to będzie pierwszy romans bez niczyjego udziału — stwierdziła Nina, patrząc na swoje stopy.

— To dużo prostsze, niż gdyby brali w nim udział ludzie — zwrócił twarz w jej stronę. (Jest tutaj tylko dlatego, że bierze mnie za Daniela).

— To by mogło trwać całe lata. (No, pocałuj mnie).

— Albo dojść donikąd. Nowy związek nie napędza się sam. Może nagle przestać działać i ugrzęznąć na wybojach — powiedział Daniel, a jego głos tym razem zdradzał niepokój. (Ktoś może zostać zraniony).

Nina zdobyła się na wyzwanie:

— Dlaczego brak ci odwagi? To nie jest dla ciebie dostatecznie ważne?

— Dla mnie? A dlaczego nie dla ciebie? Kto powiedział, że to sprawa mężczyzny? Co to, seksizm jakiś czy co? (Nie widzisz, że chcesz nie mnie, lecz mojego brata?)

— Dobra. Chciałabym być uwodziona. I co z tego? Zastrzel mnie za to. (Pocałuj mnie!)

— Nie muszę do ciebie strzelać. Sama się zastrzel. Mam dosyć tego, że to ja muszę być kierowcą. Masz pojęcie, jak to jest jechać autostradą na Long Island?

— Strasznie! Ciężarówki, niedowidzące staruszki z niebieskimi włosami, beznadziejni kierowcy...

— Kierowcy z poczuciem wyższości. Myślą, że mogą ci zajeżdżać drogę, wyprzedzać na trzeciego, bo mają jaguara albo hummera — podchwyciła Nina.

— Hummery powinny być zabronione. Ile to pali? Dwadzieścia osiem-dziewięć litrów na sto kilometrów?

— Święta racja — uśmiechnęła się. (Jest wspaniały). Wsunęła dłoń z powrotem w jego.

— Naprawdę szkoda — powiedział, ściskając jej dłoń. (Delikatnie mówiąc). — A wszystko przez to, że jesteśmy tchórzami. (I że chcesz, żebym był kimś, kim nie jestem).

— Po prostu ostrożni. (Czemu to takie trudne?)

— Wiem. (Pokaż, że chodzi ci o mnie, a nie o faceta ze zdjęć).

— No... było miło. (No tak, super). Wyjęła dłoń z uścisku i skrzyżowała ręce na brzuchu.

— Potrzebuję trochę czasu. Zdaję sobie sprawę, że to brzmi... ale mogę zadzwonić? Jak się zbiorę na odwagę?

— Po co? (O tak, Boże, tak!)

— Jeśli nauczę się prowadzić? (Żeby wyjaśnić, kim jestem).

— Pewnie. Jak tylko jedno z nas będzie chciało albo umiało prowadzić, zadzwoni do drugiego. (Ja nie).

— Obiecuję. (I rozczarujesz się).

— Ja też. (No nie).

Stali tak jeszcze kilka minut, w milczeniu, oparci o siebie, zanim ruszyli w drogę powrotną.

Tego wieczoru, szorując zęby, Nina nie mogła przestać myśleć o tym, co wydarzyło się na pirsie, o Danielu i o tym, że kiedy przyszło co do czego, nie zdobyła się na odwagę. To, na co czekała cały rok, od kiedy po raz pierwszy weszła do jego mieszkania... ta chwila nad wodą była spełnieniem jej marzeń. A ona odpuściła. Nie walczyła o niego. Splunęła do umywalki, nabrała świeżej wody w usta i zaczęła płukać zęby.

Przysunęła twarz do lustra i prychnęła wodą wprost w swoje odbicie.

— Ty tchórze — powiedziała.

Wyłączyła światło i weszła do łóżka.

Właśnie teraz nie może sobie pozwolić na angażowanie się w nowy związek. Owszem, jest wyjątkowa. Owszem, nie może przestać o niej myśleć. To, że jej pragnie, jest zrozumiałe. Ale granie tej konkretnej piosenki to był wielki błąd. Jasne jak słońce, że wpadłem po uszy — myślał Billy tego wieczoru, oglądając wraz z Sidem *Conana*. Nie słyszał ani słowa z ekranu, bo w jego uszach wciąż brzmiał jej głos, gdy się z nim żegnała.

17

Wybieg dla psów był nieczynny. Brama zamknięta na łańcuch i kłódkę, a do całości przymocowana tabliczka z napisem „Decyzją burmistrza nieczynne do odwołania”.

— Co jest z ludźmi — powiedziała Nina, stwierdzając raczej niż pytając.

— Chodź — Bono pociągnął ją za ramię. — No chodź.

Szli przez sporny teren parku, którego drzewa pokrywały plakaty targane wiatrem i silnymi emocjami. Obszarpane rogi, poniszczone brzegi, napis RATUJMY WYBIEG DLA PSÓW czasem w całości, czasem EG DLA PS na jednym, RATUJMY WY na innym strzępie. Jezu! Co jest z tymi ludźmi? To pytanie nie dawało jej spokoju. Walczyć o psie odchody, pozwolić wygrać jakimś zgorzkniałym, beznadziejnym osobnikom, odebrać psom i ich właścicielom to, co mają najcenniejszego — wolność i poczucie wspólnoty — to obrzydliwe.

— Można by pomyśleć, że protestują co najmniej przeciwko wojnie — powiedziała Nina.

— Jeśli chodzi o psy, to między tymi „za” a tymi „przeciw” ciągle toczy się coś w rodzaju wojny — stwierdził Bono.

— Kiedyś ty tak zmądrzał? — zapytała Nina, targając mu włosy i kwitując tę pieszczotę kuksańcem.

Zachichotał, ale szybko wywinął się z jej uścisku i uciekł w głąb parku. Sprawiał wrażenie przygnębionego, nieobecnego, innego niż zwykle, chociaż Nina zaczynała już zauważać, że „zwykły” stan jego ducha to kwestia nader złożona.

— No chodź — krzyknął. — Chodźmy tam za korty tenisowe!

Wyprowadzanie psów w towarzystwie Bona zaczęło się stawać rutyną. Nina nie znosiła myśli, że chłopak siedzi sam (albo z tą tak zwaną opiekunką Melissą, co znaczyło niemal to samo) w mieszkaniu i ogląda telewizję albo nieprzyzwoite filmy. Poza tym jego towarzystwo sprawiało jej przyjemność, czego nie mogła powiedzieć o większości znanych sobie osób. Kiedy więc szła po Che, zabierała też Bona. Chłopak wdroył się

już w cały rytuał i dobrze znał obowiązujące zasady. Co prawda jego obecność ograniczała swobodę myśkowania po mieszkaniach, ale też odwracała jej uwagę i myśli od zawartości szaf i szafek.

Tak więc Nina i Bono ruszyli wraz z Samem, Mimi i innymi psami w stronę kortów tenisowych w parku przy 96 ulicy. Było to naruszenie ich codziennej marszruty, dlatego Nina odczuwała typowy w takich sytuacjach niepokój.

Bono był w złym humorze. Ani jednego żartu, ani jednej nieprzyzwoitej uwagi, ani słowa na cztery litery, ani nawet cytatu z podrzędnego filmu. Che był taki sam. Jak po ostrym laniu. Nina zauważyła to już w chwili, gdy ich odbierała. Na schodach minęła się z mamą Bona, która z torbą podróżną, plecaczkiem od Prady, w czapce z napisem „U2 World Tour 2003” krzyczała w stronę domu: „Do zobaczenia w przyszłym tygodniu. Baw się dobrze!”.

Nina od razu zobaczyła to na twarzy Bona. Rozczarowanie i smutek.

— Cześć — powitała go.

— Chodźmy — odpowiedział i przemknął obok niej, ściskając smycz Che tak mocno, że kostki na dłoniach mu zbieleły.

Gdy Nina i Bono — on posępny i cichy — szli w milczeniu do parku, oboje dostrzegli urok tego poranka. Co to był za widok. Kryształowo czyste niebo, delikatny, świeży wietrzyk, wprawiający liście w lekkie drżenie i troszkę ochładzający powietrze. Nina jednak była na tyle dojrzała — w każdym razie miała taką nadzieję — żeby rozumieć, iż to tylko piękny dzień, nic więcej. Żaden zwiastun pozytywnych zmian. Poza tym szli trasą inną niż zwykle. A Nina wiedziała, co to znaczy. Może nic, ale nigdy nie wiadomo.

Gdy już byli blisko kortów, usłyszała odgłosy piłek odbijających się od asfaltu oraz ujadanie i szczekanie psów. Wyobraziła sobie psy grające w tenisa i zapragnęła podzielić się tym z Bonem, ale on najwyraźniej nie był w nastroju do żartów. Wreszcie zobaczyli korty, a gdy podeszli bliżej małego budynku, w którym mieści się administracja parku, maleńki bar przekąskowy i jeszcze mniejszy sklep ze sprzętem do gry w tenisa, Nina ujrzała biegające psy i czekających na nich ludzi.

Ich psy też musiały to zobaczyć, bo zaczęły się wrywać, próbując wyzwolić się ze smyczy i jak najszybciej przyłączyć do hasających swobodnie zwierząt.

Wreszcie doszli do zakrętu, minęli budynek i Nina spuściła Sama i Mimi ze smyczy. Bono zrobił to samo z Che. Potem uwolnili pozostałych podopiecznych, a gdy one rzuciły się na trawiaste wzgórze, pełne biegających, szczekających czworonogów, obwąchujących wszystko, co znajdują, i oblizujących zadki innych psów, Nina położyła dłoń na plecach Bona, jakby chciała powiedzieć: „Jestem z tobą”.

Obrócił się w jej stronę i przed zepchnięciem jej ręki z ramienia, co zrobiłby każdy chłopiec w jego wieku, kiwnął głową ledwo dostrzegalnie, ale wystarczająco wyraźnie, by Nina uznała, że zrozumiał.

I powiedział:

— Stawiam dychę, że dzisiaj zgadnę dziesięć.

— Nawet o tym nie myśl. Przegrasz. A skąd dziecko w twoim wieku weźmie dychę?

Patrzyła na niego chwilę, ale nie doczekała się odpowiedzi.

— No?

Dopiero wtedy spojrział na nią z jednym z tych swoich szelmowskich uśmieszków.

— No dobra — powiedziała.

Zaczęli tę zabawę kilka tygodni temu i już zdążyła im wejść w nawyk. Zakładali się o to, że potrafią dopasować psa do właściciela. Tego dnia Bono był taki zadziorny albo zły, że aż zachowywał się nierozważnie: chciał się założyć, że potrafi wybrać dziesięć psów i wszystkie dziesięć bezbłędnie dopasować do właścicieli.

— No to co z nią? — zapytała, wskazując podbródkiem siwą kobietę w klapkach firmy Birkenstock, w podkoszulku z napisem BABCIA I DUMNA Z TEGO.

— Rottweiler.

Nina roześmiała się.

— Może to taka dziewczyna, która lubi ryzyko — stwierdził Bono.

Nina ryknęła głośnym śmiechem. Kilka głów zwróciło się w ich stronę, a ona pomyślała: Co za dzieciak, to dopiero dzieciak.

— A niby skąd ci to przyszło do głowy?

— Przestań ciągle o to pytać. Stresuje mnie, kiedy muszę ciągle coś wyjaśniać i wyjaśniać.

— Dobrze, już dobrze. Wiem, że jesteś nie w humorze, ale okaż trochę cierpliwości, co?

Psy tego dnia zachowywały się jak oszalałe: biegały po zboczach w tę i z powrotem, podskakując, szczekając, warcząc na siebie nawzajem. Duże i silne z przodu, małe za nimi, ludzie zaś w grupkach po dwie, trzy osoby stali po bokach. Lucy doprowadzał do szału przelatujący nisko helikopter. Szczekała głośno, denerwowała się, wzbudzając niepokój i zamieszanie wśród innych psów.

— Lucy — krzyknęła Nina — uspokój się!

— Och, czy to pani ten Psiak Nieborak?

Nina obróciła się i zobaczyła kobietę w klapkach Birkenstock, która na widok zdziwionej twarzy dziewczyny zapytała:

— Czy to nie jest niedorobiony bearded collie?

— No, tak — i Nina przemówiła do Lucy: — Dobrze już, dobrze.

— Czyli to Psiak Nieborak.

I właśnie w tym ułamku sekundy, między „Psiak” a „Nieborak” — zanim Nina zdążyła pomyśleć, że jest to nadzwyczaj idiotyczne określenie, poczuła, jak kolano ugina się pod nią, jakby ktoś zrobił jej głupi dziecięcy kawał, kiedy podchodzi się do kogoś od tyłu i podcina się go, zmuszając do skłonu. Tylko że w tym wypadku kolano Niny ugięło się i już się nie rozprostowało. Poczuła nagłe poluzowanie mięśni i ścięgien i zwała się na ziemię. Kolano nie przypominało kolana, ale... nie mogła się skupić — czuła tylko ogromny ból i brak tchu, zauważyła jeszcze błękit nieba, wierzchołki drzew i drobną twarz Bona, który patrzył na nią z przerażeniem. Słyszała własne okrzyki bólu i nawet rozbawiło ją, że potrafi tak wrzeszczeć. Zawsze myślała, że jej głos jest za niski, zbyt chropawy, że nie mogłaby grać w horrorach, gdzie trzeba piskliwie wrzeszczeć. Teraz przekonała się, że jednak by mogła. Tak, mogłaby wrzeszczeć, płakać, jęczeć, wyć z bólu niczym najbardziej przekonująca z aktorek.

Usłyszała, jak Bono delikatnie mówi jej do ucha:

— Będzie dobrze. Oddychaj — a potem krzyczy jak wariat: — Czy ktoś może wezwać karetkę?! Tu jest ranna kobieta!

— Co się stało? O Boże, co to było? — chciała się dowiedzieć Nina.

I wtedy usłyszała głos, ten przeklęty głos mężczyzny, który zjawia się zawsze, kiedy ona leży na ziemi, który zdaje się nadchodzić znikąd, przybywać jej na pomoc jak Superman, zawsze wtedy, kiedy jest potrzebny.

— Mały pies uderzył cię w staw kolanowy i wydaje się, że go zwichnął.

Daniel! Nie widziała go już dwa tygodnie, od tamtej nocy z puzonem.

Miała wrażenie, że on jest rozbawiony czymś, czego ona zupełnie nie zauważa.

— Gdzie ta cholerna karetka?! — wołał Bono. — Ona zielenieje!

— Nic jej nie jest — powiedział Daniel i lekko uniósł jej głowę.

— Wszystko w porządku? — zapytała babcia w T-shircie. — Jedi na pewno nie chciał jej skrzywdzić.

Trzymała na rękach tego piekielnego psa, tego samego lhasa apso, który dwa tygodnie wcześniej wywołał psią bójkę. Postawiła rozszalałego zwierzaka na ziemi, a ten zaczął lizać Ninę po twarzy, aż Daniel musiał odgonić go nogą.

— Jesteś mi winien dolara — odezwała się Nina do Bona i mrugnęła porozumiewawczo.

— Przyznaję, że to nie rottweiler, złotko — odparł.

Z uniesioną głową lżej się jej oddychało. Poczula pod karkiem dłoń Daniela i nagle do niej dotarło, jak blisko jest jej twarzy — zauważyła nawet, że jeszcze się nie golił. Straszne uczucie. Być tak blisko i tak cierpieć. Aż parsknęła śmiechem, który wywołał ból. Jęknęła.

— Co? — spytał czule.

— Znowu ty. Czemu zawsze się zjawiasz, kiedy...

— Oczywiście, że ja.

Spojrzał jej prosto w oczy. Odwróciła wzrok. Miała już dość wrażeń na ten jeden ranek, gdy tak leżała na ziemi, z kolanem niepodobnym do kolana, czując ból wdzierający się w każdą żyłkę, każdy mięsień, każdy łańcuch DNA. Jego dłoń na jej dłoni. Jego oczy skupione na niej. Bliskość jego twarzy, aż czuła zapach jego skóry, spoconej po biegu. O co mu chodzi? „Oczywiście, że ja”. Co, u licha, miał na myśli? Czuła, że za chwilę zemdleje.

Wtedy usłyszała syrenę. Dzięki Bogu.

— Nareszcie! — powiedział Bono i spojrzał na zegarek — całkiem nieźle jak na to wielkie, ciemne, przeludnione miasto.

Dwaj duzi, krzepcy faceci położyli obok niej nosze, obejrzelili nogę i zmierzylili puls.

— Ojej — wyjaśnił jeden bardzo naukowo — nie wygląda dobrze.

Brzmi obiecująco — pomyślała Nina — która, gdyby mogła, powiedziałałaby im coś sarkastycznego.

— Dajmy jej tlen, żeby nie dostała wstrząsu.

To mnie podnieśli na duchu, nie ma co — pomyślała. Chwyciła Daniela za koszulkę przy samej szyi, jakby chciała go udusić.

— Daniel, pomóż Bonowi i psom wrócić do domów. Proszę.

Potem zwróciła się do chłopca:

— Pomożesz mi, prawda? Wiesz, gdzie mieszkają.

Bono skinął głową.

— Jasne — powiedział. — Jasne, że wiem.

— Nie martw się. Załatwimy to — dodał Daniel. — Twój klucz jest na kółku?

Usiłowała przecząco pokiwać głową.

— W plecaku. Mała kieszonka — coraz trudniej było jej mówić. — Ktoś musi przejąć moje psy. Bo je stracę. Zadzwoń do Claire i do Isaiaha.

— Już nic nie mów. Wszystkim się zajmiemy — powiedział.

Tylko patrzyła na niego.

— Boli, nie? — dodał. A po chwili jeszcze spytał: — Ale jest też coś, co nie boli?

— Słucham?

— Jest coś, co cię nie boli?

Roześmiała się, aż ją zabolalo. Gdzie, u licha, są ci sanitariusze?

— Moja łopatką — odpowiedziała, myśląc, że to dowcipne.

Wtedy Daniel przyłożył dwa palce do miejsca, w którym zaczynał się dekolt podkoszulka. Przesunął nimi — jakby dobrze znał to miejsce, niekoniecznie u tej konkretnej osoby — a dotknął jej w taki sposób, że nawet w tym bólu czuła zręczność jego pieczyoty.

Podniosła wzrok z jego twarzy na niebo, zamknęła oczy i przez chwilę nie czuła bólu. Wtedy przybyli dwaj sanitariusze, jeden zakrył jej usta i nos maską tlenową, a drugi usztywnił zranioną nogę.

— Raz, dwa, trzy... — przenieśli ją na nosze i załadowali do karetki. Nie miała czasu, by jeszcze coś Danielowi i Bonowi przekazać, pożegnać się czy choćby podziękować.

— Dokąd ją zabieracie? — zapytał Daniel.

— Do Cornell. Tam mają chirurgię ortopedyczną, tak na wszelki wypadek.

Gdy zamykali drzwi, słyszała jeszcze, jak Bono krzyczy:

— Nie martw się!

— Czym się pani zajmuje? — zapytał sanitariusz, siedzący przy niej z tyłu karetki.

Ciężko jej było oddychać, a co dopiero mówić, ale domyśliła się, że taka pogawędka ma ją utrzymywać w przytomności. Albo przy życiu.

— Wyprowadzam psy. Ale kiedyś pracowałam w wydawnictwie — zastanawiała się, czemu to dodała. Minął już rok, a ona ciągle uważa za konieczne informowanie obcego kierowcy karetki, że kiedyś miała prawdziwą posadę.

— Gdzie pani pracowała?

Po co ją wciąga w takie gadki o niczym? Przecież to nie koktajl party. Nawet nie piknik!

— W Random House.

— Zabawne.

Milczała, nie widząc w tym nic zabawnego.

— Byłem ochroniarzem Roberta Samuelsona.

To ten dupek, który rzucił w nią obwolutą. Był naczelnym w Random House, kiedy tam pracowała.

— Świat jest mały — stwierdziła.

— Co racja, to racja.

— Po co mu był ochroniarz? — zapytała przez zaciśnięte zęby, niemal tracąc przytomność. Karetka wjechała właśnie w jakąś dziurę i wstrząs spowodował, że ból z kolana dotarł do głowy i pleców.

— Kto go tam wie. Sądził, że ma wrogów. Wydawanie książek to zabójcze zajęcie — zażartował.

Musiała się powstrzymać od śmiechu, żeby nie spotęgować bólu w nodze. Pomyślała jednak, że skoro sama miała ochotę go zabić — bo przecież miała — to pewnie byli też inni. Niewątpliwie byli.

W szpitalu dostała morfinę i od razu jej samopoczucie się poprawiło. Nie czuła nawet, gdy lekarz podniósł jej nogę i odpowiednio manipulując nastawił przemieszczone kości.

Zdołała nawet powiedzieć charczącym głosem:

— Głupie, nie? Pies zwichnął człowiekowi kolano!

— Psy i fale oceanu. To bardzo częste.

Ależ jesteśmy delikatni — myślała Nina, wiedząc, że to nic odkrywczego. Jacy bezbronni. Nie można się odwrócić plecami do oceanu ani do Ihasa apso. Oczywiście, Nina zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństwa oceanu. Jak wszystkich, tak i ją uczono od małego, że trzeba uważać na fale przybojowe. Czy to możliwe jednak, żeby fala była w stanie przemieścić człowiekowi kości w kolanie? Albo taki kudłaty, ważący ledwie kilka kilogramów piesek z czarnymi oczkami jak guziki i różowym języczkiem — czy takie stworzenie może uderzyć człowieka z odpowiednią siłą i we właściwe miejsce, żeby spowodować przemieszczenie kości? Owszem, to psisko pochodzi w pierwszej linii od szatana, ale zarazem jest to zwierzę, które ludzie kupują, bo nie wywołuje uczuleń. Czy to morfina, czy też świadomość, że teraz tydzień albo dwa będzie musiała siedzieć na tyłku, a może wspomnienie dreszczu, który przeszył ją, gdy Daniel dotykał jej szyi — coś sprawiło, że poczuła się całkowicie bezbronna, bo jak bronić się przed maleńkim pieskiem, a tym bardziej przed przeznaczeniem?

18

— Nic jej nie będzie — powiedział Billy, kładąc dłoń na ramieniu Bona, kiedy karetka na sygnale ruszyła w stronę East Side. Spoglądał za nią, aż zniknęła za rogiem.

— Wiem — odparł Bono, wpatrzony w swoje najki. Billy popatrzył na chłopca z niepokojem.

— Chodź — powiedział, szturchając go w ramię — zbierzemy psy i zaprowadzimy do domów. Co ty na to?

— No... dobra.

Złapali psy Niny i skierowali się w stronę Central Park West.

Niełatwo było odstawić każdego do właściciela. Chociaż Bono robił, co mógł, żeby sobie przypomnieć, który gdzie mieszka, dwóch czy trzech zwierzaków nie potrafił od razu dopasować do miejsca zamieszkania. Kilka razy się pomylił i musiał kombinować, zanim w końcu trafił tam, gdzie trzeba. Za każdym razem musieli wyjaśniać portierom i właścicielom, co się stało, gdzie jest Nina i dlaczego to oni przyprowadzają psy. Musieli odpowiadać na pytania o to, kto będzie wyprowadzał je później, a przynajmniej następnego dnia, i wszystkim obiecywali, że ktoś na pewno to zrobi.

Kiedy już wszystkie psy, z wyjątkiem Sida, Sama, Mimi i Che, wróciły do domów, Billy zaproponował Bonowi, że najpierw go odprowadzi, a potem weźmie Sama i Mimi do mieszkania Niny. Bono protestował, bo chciał doprowadzić wszystko do końca, ale Billy nie ustąpił.

— Zaprowadzam ciebie i twojego psa do domu, a potem Sama i Mimi do mieszkania Niny. Koniec dyskusji.

— Czemu nie mogę iść z tobą? To też mój obowiązek. Prosiła mnie o pomoc.

Billy nie mógł mu — ani sobie — wyjaśnić, dlaczego to dla niego takie ważne, żeby sam wszedł do mieszkania Niny. A było to naprawdę ważne.

— A kto zastąpi Ninę dzisiaj po południu? Wieczorem? Przecież jakiś czas ona nie da rady chodzić, no nie? — Bono zadawał mnóstwo pytań w drodze do domu. — Co się stanie? Straci wszystkich klientów? Czy ktoś ją odwiedzi w szpitalu? Jak wróci do domu? Gdzie jest jej rodzina? Mama? Czy jest całkiem sama? CO U LICHA SIĘ DZIEJE?

Billy położył mu dłoń na ramieniu.

— Na pewno ma tu jakichś przyjaciół i rodzinę. Wspominała o Claire i no...

— O Isaiahu — przypomniał Bono.

— No właśnie. Więc pójdę do jej mieszkania i zajrzę do spisu telefonów. A jak trzeba będzie pomóc, ma jeszcze nas, prawda?

Billy nie wierzył własnym uszom, że to powiedział. Ale to prawda. Przecież ma ich.

— Tak, ma nas — potwierdził Bono.

Skręcili w ulicę, na której mieszkał Bono, i minęli kilka domów, nim doszli do jego bloku. Chłopiec wszedł z Che na schody i obrócił się twarzą do Billy'ego.

— Musisz... chciałbym wiedzieć, kiedy ona wróci do domu.

— Spokojnie. Nie martw się — odpowiedział Billy, oddalając się. — Powiadomię cię. Mogę jeszcze potrzebować twojej pomocy przy wyprowadzaniu psów. Mogę na ciebie liczyć?

— Pewnie — powiedział Bono.

A kiedy Billy już szedł ulicą, Bono krzyknął jeszcze za nim:

— Czekaj... Mój numer telefonu. Jak się ze mną skontaktujesz? Masz długopis?

Billy odwrócił się.

— Słuchaj, może byśmy poszli jutro rano do szpitala? Przyjdę po ciebie o dziewiątej.

— Dobra — odpowiedział Bono, który już wchodził do domu, ale jeszcze się zatrzymał i krzyknął: — O ósmej!

— Dziewiąta! — odkrzyknął Billy.

— Ósma! — usłyszał w odpowiedzi.

— Dziewiąta! — krzyknął jeszcze raz. — Jutro! Dokładnie!

— W porządku! — poniosło się ulicą.

W końcu zapadła cisza. Billy podążył szybkim krokiem w kierunku mieszkania Niny.

— A MOŻE JEDNAK O ÓSMEJ? — usłyszał jeszcze zza rogu.

Gdyby w tym momencie mogli widzieć swoje twarze, wiedzieliby, że obaj się uśmiechają.

Billy szedł dalej, z Sidem i Samem po jednej stronie, Mimi po drugiej. Wkrótce dotarł do domu Niny. To jeden z tych budynków, których okna wychodzą na park, ale mają wejście od strony ulicy. Billy zastanawiał się, dlaczego w latach dwudziestych, kiedy budowano ten dom, zaprojektowano wejście z boku, zamiast — jak nakazywałby zdrowy rozsądek i wzgląd estetyczny — z Central Park West. Będzie musiał poszukać czegoś na ten temat w internecie. Chwilę grzebał w jej plecaku w poszukiwaniu klucza, zanim sobie przypomniał, co mu mówiła o zewnętrznej kieszeni. Znalazł klucz, otworzył drzwi i przeszedł przez foyer do schodów. Budynek był przyjemny, czysty, nieduży, w swoim czasie pewnie nawet elegancki. Sprawiał wrażenie europejskiego. Rzeźbienia, wygięte balustrady, gzymsy, ptaki z mosiądzu, kinkiety oraz brak windy — to wszystko nadawało mu wyjątkowy charakter. Billy wyobraził sobie mieszkającą tu w latach dwudziestych cyganerię. Idealne miejsce dla Niny — stwierdził w myślach, wiedząc, że nie powinien wydawać takich sądów, bo przecież wcale jej nie zna. Wchodził po schodach — psy pędziły przodem z wywieszonymi językami i na każdym półpiętrze łąpały oddech. Na jednym poziomie są tylko dwa mieszkania, zauważył Billy, kiedy zatrzymał się, by zaczerpnąć powietrza na drugim piętrze i potem na trzecim. Jej numer to 5B. Otworzył drzwi i wszedł. Spuścił psy ze smyczy, a one rzuciły się wielkimi susami, rozbiegając się po tym maleńkim pomieszczeniu.

On natomiast stał nieruchomo dobrą chwilę, ogarniając wzrokiem całość: maleńka przestrzeń, oszklone drzwi u szczytu niskich schodów, które prowadzą chyba na taras, ściany koloru pomarańczy, dziwny stół pośrodku. Artystyczny nieład, zniszczona metalowa szafka, w której prawdopodobnie jest odtwarzacz CD i może telewizor. Na końcu, choć była to pierwsza rzecz, którą zauważył, podszedł do rzeźby zwisającej z sufitu niemal do podłogi. Wykonana z drutów, kamyków i kawałków szkła, koralików, paciorków, guzików, a nawet kilku muszelek, które dostrzegł, gdy był już dość blisko. Druty tworzyły swoisty labirynt. Nie była to zwykła zasłona z koralików, jak te popularne w latach siedemdziesiątych: to, co tu widział, było trójwymiarowe. Druty nadawały kształt, a koraliki i inne surowce tworzyły fakturę, głębię i właściwie bardzo skomplikowaną kompozycję. Billy oniemiał z zachwytu.

Zrobił dwa kroki i znalazł się w maleńkiej kuchni w żywym kolorze, która, podobnie jak pokój, była zagracona, a potem dwa kroki w przeciwną stronę i wszedł do sypialni. Jej biel i surowość zaskoczyły go. Łóżko — najważniejszy tu mebel — było niskie: zwykły materac na ramie przykryty białą kołdrą. Dwie poduszki, też białe. Cała pościel biała. W oknach żadnych ozdób, tylko żaluzje, na drewnianej podłodze nic, tylko legowisko Sama, tak samo brązowe jak podłoga. Jedna, samotna, sosnowa komoda. Jedna mała szafka nocna. Ani śladu bałaganu. Wszystko w naturalnych kolorach. Billy pomyślał, że ta prostota wygląda ładnie, ale stanowi wyraźny kontrast z resztą mieszkania. W porównaniu z atmosferą tego, co znajduje się za progiem, ta sypialnia sprawia wrażenie celi mistrza zen, zakonnicy albo jakiegoś świra.

Wrócił do dużego pokoju i włączył odtwarzacz CD. Zobaczywszy, że wewnątrz jest płyta, wcisnął tylko „play”, żeby puścić to, czego ostatnio słuchała Nina. Gdy rozległy się pierwsze dźwięki, Billy właśnie wychodził na taras.

Męski głos, nie bardzo operowy, raczej w stylu musicalu. Billy odwrócił się, by lepiej słyszeć.

„Wyśniłem twe piękne ramiona...”.

Wrócił do środka, podszedł prosto do starej szafki i znalazł pudełko płyty: *The King and I*, Richard Rodgers i Oscar Hammerstein II. Oczywiście, słyszał już ich utwory, zwykle grane przez muzyków jazzowych, takich jak Oscar Peterson czy Herbie Hancock, rzadko jednak jako piosenki, a już tej nie słyszał nigdy. Przejrzał wszystkie jej płyty. Większość to musicale. Ma też podstawowy zbiór płyt rockowych, ale od rocka jej kolekcja wyraźnie zbacza w jednym kierunku: broadwayowskich musicali, głównie z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Dziwne jak na osobę w jej wieku. Co ją w tym pociąga? Melodie? Treść? Raczej nie mogła widzieć tych wszystkich przedstawień czy też filmów, musi więc być coś w samych piosenkach, śpiewanych przez te postaci, w ich treści. Wyrażają uczucia: miłość, gniew, zdradę, zazdrość, tęsknotę. Słuchał dalej.

„Wyśniłem słowa, które wyszepczesz...”.

Romantyczne! Takie są te piosenki, czyżby Nina też? Wbrew pozorom — wszystkim tym upadkom, obcesowemu zachowaniu — jest ckliwa, a może nawet sentymentalna. Jeszcze raz spojrzął na rzeźbę i tym razem dostrzegł w niej coś innego. Nie samą kompozycję, choć to z niej wynikało. Jak ta cudowna, choć banalna piosenka, tak i ta rzeźba mówi o romantycznym pragnieniu miłości. Obie wyrażają sentymentalną treść przy pomocy surowej, profesjonalnie opracowanej formy. Poczuł ukłucie w piersiach, kiedy przyjrzał się uważniej jej skomplikowanym kształtom. Tak złożone, tak niezwykle.

„Tak bardzo kocham cię w tych snach, że niemal czuję, jak ty też kochasz mnie...”.

Z zamyślenia wyrwał go Sid, który polizał go po dłoni, wyraźnie chcąc zwrócić na siebie uwagę. Podbiegł do drzwi tarasu, wrócił i jeszcze raz zbliżył się do drzwi, dopraszając się, żeby go wypuścić. Billy wcześniej nie zorientował się, że kiedy wszedł na taras, wypuścił tam tylko Sama i Mimi, którzy teraz drapali w drzwi, pragnąc się dostać do wnętrza.

Kiedy już wszystkie psy były na tarasie, Billy wrócił do słuchania muzyki — oglądał przy tym widoki, doniczki z kwiatami, wypłowiałe od słońca meble. Siedział na fotelu z pasiastą, zniszczoną poduszką, który wyglądał na stałe miejsce Niny. Obserwował helikopter, jak podnosił się po drugiej stronie parku i kierował na zachód, przelatując mu nad głową z głośnym wrrr-wrrr-wr. Dostrzegł jednego czarnego ptaka, który samotnie dryfował w powietrzu. To mu przypomniało zwariowane mewy w restauracji Cliff House w San Francisco, niegdyś siedzibie łaźni Sutro i fotoplastikonu, gdzie poznał i stracił Elizabeth. Wiatr od morza jest tam jednostajny, mewy unoszą się na nim swobodnie, podtrzymywane najpierw przez siłę nośną, a potem nagle, niczym gracze w rosyjskiej ruletce na łaskę losu, one zdają się na powiewy wiatru, który utrzymuje je w górze.

Z dłońmi na podłokietnikach fotela, Billy pomyślał o Ninie, samotnej w szpitalu. Wtedy przypomniał sobie, po co tu przyszedł. W rytm *Shall We Dance* wstał, wszedł wraz z psami do mieszkania i zabrał się do pracy.

Musi znaleźć jej notes z adresami, żeby zdobyć numer do Claire i Isaiaha i zawiadomić ich o tym, co się stało. Najpierw więc zajął się plecakiem, który leżał na stole. Wyjął jego zawartość: plastikowe torby, chusteczki higieniczne, butelkę wody, okulary przeciwsłoneczne, klucze, portfel (zajrzy do niego później), szminkę. Żadnego notesu, papierowego ani elektronicznego.

Ruszył więc do sypialni, a psy za nim. Nie było tam wiele miejsc do przejrzania, tylko szafka nocna z jedną szufladą i niedużą komodą. Najpierw zaglądnął do szafki, z dziwaczną starą lampką, telefonem, *Vanity*

Fair, Art in America i kilkoma powieściami. Usiadł na łóżku, żeby zajrzeć do szuflady. Tam właśnie znalazł notes elektroniczny. Obok leżał idealnie skręcony joint.

W jakiś sposób przebywanie w jej mieszkaniu, w jej sypialni, na jej łóżku sprawiło, że nagle poczuł chęć przełamania narzuconych sobie ograniczeń i rzucenia się na oślep, bez namysłu, w króliczą norę, wprost do Krainy Czarów.

Wyjął skręta z szuflady i położywszy się na łóżku Niny, chwilę trzymał go między palcem wskazującym a serdecznym, udając palenie. Przecież nie jest z niego taki ostatni nudziarz. Potrafiłby się zabawić. Włożył skręta do ust i przypomniał sobie, jak podtrzymywał jej głowę, jaka chłodna, wilgotna była jej skóra, a potem wyobraził sobie ją w szpitalu, ją grającą na puzonie, ją w tym łóżku, w tym białym surowym pokoju.

— Co u diabła! — odezwał się głośno, a jego słowa wystraszyły wszystkie trzy psy, które zaczęły szczeleć. Wtedy Billy usiadł i jeszcze raz zajrzał do szuflady. Znalazł tam zapałki i zapalił skręta, głęboko się zaciągając. Tak, to mu coś przypomina. Podniósł palmtopa i znalazł numer do Claire i do Isaiaha. Znalazł też grafik spacerów i zdziwił się, że Nina obsługuje aż tyle psów. Znalazł przypomnienie o odbiorze pieniędzy za ten miesiąc i za sierpień. Imponujące — pomyślał. I wszystko w gotówce. Kiedyś, trochę wcześniej, gdy był bardziej oddany sprawie, może by ją za to ścigał. Zaciągnął się jeszcze raz i zaczynał właśnie odczuwać efekty, kiedy wpadł na świetny pomysł.

Przeszedł, a właściwie przetańczył w szybkim rytmie *Shall We Dance* — bo przecież ta piosenka, jak też jej tytuł, to zaproszenie do tańca — do łazienki, rozebrał się i odkręcił kurek. Gorąca, ale nie za bardzo. Nucać pod nosem, wlał trochę olejku do kąpieli i zanurzył się w wodzie, uważając, by nie zamoczyć skręta. Całą następną godzinę leżał w wannie, paląc jointa, i myślał o tym, jakie to absurdalne zakochać się w kimś takim jak Nina. Ona to życie w jego najbardziej chaotycznych przejawach, pełne sprzeczności i energii. On jest poważny, stale zwalcza nieporządek, swoją jedyną pasję — puzon — skrywa głęboko w szafie, a rany przeszłości kryje głęboko w sercu.

Kiedy przyglądał się swojej dłoni, najpierw od strony wewnętrznej, potem od góry i znów od wewnątrz, pomyślał o niemieckich filozofach, których darzy taką estymą. Ale z nich durnie!

— Heidegger głupdegger, Schopenhauer dupenhauer — powiedział na głos i śmiał się z tego dłuższą chwilę. Mówili o opozycji porządek-chaos, o prawdzie i względności, i ludzkiej skłonności do zła, ale co z miłością? Co z miłością i bólem, i seksem, i miłością?

Z wanny, nieźle już naćpany, zadzwonił do Claire i Isaiaha i zostawił na ich sekretarkach wiadomość o tym, co się stało, który szpital i jakiej pomocy Nina potrzebuje. A potem się ubrał i przygotował do wyjścia. Ogarnęła go tak silna pokusa, by zajrzeć do jej szafy, szafki w łazience, do pościeli, że z trudem się jej oparł. Wyszedł z łazienki, wyłączył wieżę i skierował się do drzwi.

Zatrzymał się jeszcze przy rzeźbie, która lśniła akurat w świetle słońca wpadającym przez okno, i dotknął jej. Czuł pod palcami gładkie powierzchnie szkła, ostre krawędzie kamieni, muszle o pięknie wygiętych kształtach i płaskie guziki. Przesuwał otwartą dłonią w górę i w dół, i znowu w górę i w bok, żeby poczuć, ogarnąć całość. Wetknął w to rękę aż po ramię, włożył głowę i spojrzał w górę. I dopiero, gdy

stwierdził, że zaznajomił się z nią pod każdym względem, że poznał ją dokładnie, od detali aż po ogólny zarys i konstrukcję całości, gotów był opuścić mieszkanie.

19

— Mamo, to ja.

— Tak, kochanie. Co się dzieje?

— A skąd wiesz...?

— Bo wiem. Jestem przecież twoją matką. No to mów, co się dzieje.

— Jestem w szpitalu.

— Co?! Co się stało? Ale nic poważnego? Co się stało?

Nina położyła słuchawkę na sobie i sięgnęła po szklankę, stojącą na szafce. Przełknęła odrobinę wody. Albo to lekarstwo, albo matka tak na nią podziałała, że zrobiło jej się w gardle tak sucho, jakby miała umrzeć z pragnienia.

— NINA! CO SIĘ STAŁO?! — słyszała zduszony krzyk matki.

Podniosła słuchawkę.

— Zwichnęłam sobie kolano. Już wszystko w porządku.

— Przyjeżdżam. Będę najszybciej jak to możliwe. Tylko odwołam warsztaty poetyckie i jeszcze mam ten Klub Seniora. Mówiłam ci, że chodzę na...

— Mamo, nie odwołuj. Za dwa dni wychodzę ze szpitala i zaraz wracam do pracy. Nic nie zламаłam, nic nie zerwałam. Tylko naciągnęłam.

— Ale jak dasz sobie radę? Kto cię nakarmi? Możesz chodzić? Kto wyprowadza te twoje psy?

— Mamo, zadzwoniłam, żebyś wiedziała. Nie chcę krzyżować ci planów. (O Boże, niech ona nie przyjeżdża. Niech tylko powie parę miłych, matczyńskich słów, żebym się mogła rozplakać, poczuć, że ktoś mnie kocha i się o mnie troszczy).

— Może to dobry moment na powrót do pracy.

Nawet w takiej sytuacji, nafaszerowana lekarami i środkami uspokajającymi, pod wpływem tej uwagi Nina poczuła się jak dziecko, a zareagowała jeszcze gorzej.

— Chodzisz z kimś, mamo?

— No cóż, wracaj do zdrowia. A jak wrócisz do domu ze szpitala? Czy Claire cię odbierze?

— Claire, Isaiah, Bono i Daniel. Oni wszyscy mi pomagają. Będzie dobrze.

— Mam nadzieję. A co to za Bono? I Daniel? A Isaiah? To imię brzmi bardzo religijnie.

— Przyjaciele, mamo. Troszczą się o mnie — Nina nie mogła uwierzyć, że to powiedziała.

Nastąpiło dość długie milczenie, zanim jedna z nich przemówiła:

— Masz też mamę, która się o ciebie troszczy. Pamiętaj o tym.

— Pamiętam, mamo.

Wtedy opiekująca się Niną pielęgniarka o imieniu Tina, rozmiarami dorównująca stadionowi drużyny Giants, weszła, niosąc jeden z papierowych kubków, w których podaje się pacjentom pigułki.

— Czas na lekarstwa!

Jej głos był tak samo potężny jak ona.

— Chwileczkę — szepnęła Nina — już kończę.

— Jest dziesiąta. Pora na lekarstwa jest TERAZ! — ryknęła pielęgniarka.

— NINA! — krzyknęła mama po drugiej stronie linii telefonicznej.

— CO!

— Kocham cię.

— Oj, mamoo...

Oczy Niny w jednej chwili wypełniły się łzami. Tak reagowała tylko na cebulę lub na dźwięk tych dwóch słów.

Siostra Ratched* wywróciła tylko oczami. Stała przy łóżku niczym żandarm, trzymając kubeczek i stukając stopą w podłogę.

— Wiem — odpowiedziała cicho, patrząc na pielęgniarkę.

— Ale nie cierpisz, prawda?

Nina wzięła od pielęgniarki kubeczek i połknęła jego zawartość.

— Nie, jak biorę leki. Czuję się świeeeeeetnie.

— Zadzwoń, gdy będziesz czegoś potrzebowała.

Właśnie to zrobiłam — myślała Nina. — Nie czujesz, że cię potrzebuję?

— Też cię kocham — powiedziała.

— Słuchaj lekarzy — odparła mama.

— Pa, mamoo. Odłożyła słuchawkę.

* Siostra Ratched — zniechęcona przez pacjentów pielęgniarka z powieści Kena Keseya *Lot nad kukułczym gniazdem*.

Następnego dnia rano wiedziała, że ma gości, ale była tak skołowana, otumaniona tymi wszystkimi prochami, że nie mogła rozmawiać. To chyba Daniel i Bono, jeden z nich trzymał kwiaty, powiedział: „cześć” i „jak się czujesz”, i „co możemy dla ciebie zrobić”. To bardzo miłe, że przyszli — zdążyła pomyśleć, podnosząc głowę, i chwilę potem cała zawartość jej żołądka znalazła się na podłodze. Te leki tak na nią podziałały. Pewnie, że inaczej chciałyby się zachować przy Danielu, ale on nie wyglądał na wstrząśniętego — szybko wezwał pielęgniarkę, a Bono powiedział coś w stylu: „Ja cię! Miło witasz gości!” i „Chyba miałaś zdrowe śniadanie”, co rozbawiło Daniela i nieco zmniejszyło jej zakłopotanie. Potem chyba zasnęła, bo nie pamięta, jak wychodzili czy choćby się żegnali.

— Mógłby pan podjechać bliżej krawężnika? — prosiła Claire taksówkarza. — Jak ona ma wysiąść, gdy pan się zatrzyma na środku ulicy? Przecież się zabije!

— Niech no pani posłucha...

Taksówkarz był coraz bardziej wkurzony. Nina to czuła.

— Claire, to nic. Poradzę sobie.

— Nie ma mowy. Słuchaj pan: albo się pan przysunie do krawężnika, albo nie dostanie pan napiwku.

Widzi pan, że moja przyjaciółka chodzi o kulach.

— Daj spokój, wychodzimy — odezwała się Nina do nadopiekuńczej kumpelki.

— Racja, lepiej wysiadajcie, bo...

— Bo co? — zapytała zaczepnie Claire — bo mnie pan zabije?

Kierowca parsknął śmiechem.

— Nie, szalona kobieto. Nie zabiję pani, ale wezwę gliny. A teraz płąćcie i wynoście się wreszcie. No, proszę.

— No, Claire. Powiedziała: „proszę”. Zapłać mu i już. Claire wyjęła portfel z torby i poszperała w nim chwilę.

Wyjąwszy banknot dziesięciodolarowy, powiedziała:

— Nie dam mu napiwku. Ani centa. Płacę sześć siedemdziesiąt.

Kierowca przyglądał się jej odbiciu w lusterku.

— To będzie dla niego nauczka — powiedziała Nina i ze śmiechem otworzyła drzwi.

— Przynajmniej nas zapamięta — stwierdziła Claire. — Poczekaj. Pójdę naokoło — odebrała resztę, podeszła do maski taksówki i zrobiła do kierowcy głupią minę. Taką, jakie robią rozwydrzone trzylatki: pokazała mu język, wykrzywiając złośliwie twarz.

Taksówkarz jęknął:

— Rany! Ona tak zawsze?

— Nie widział pan nawet połowy jej możliwości — odpowiedziała Nina.

— Może to pani powinna się nią opiekować — zauważył.

— Może i powinnam, gdybym tylko mogła.

— Racja. A teraz może już pani wysiadzie? — roześmiał się.

Nina pomyślała, że to całkiem miły facet, z tych dziwaków, którzy w wieku trzydziestu ośmiu lat jeszcze mieszkają z mamusią.

W końcu dotarły do drzwi kamienicy, otworzyły je i ostrożnie, ze sporym wysiłkiem wspinały się po schodach. W pokonywaniu poszczególnych stopni Ninie pomagała jedna kula, balustrada schodów i dłón Claire, podtrzymująca ją za łokieć. Claire niosła drugą kulę i swoją torebkę. Gdy wreszcie po wspinacze trwającej może nawet godzinę dotarły na górę, zastały przed drzwiami mieszkania duże pudło.

— A to co? — zdziwiła się Nina.

— Nie wiem, ale tu jest twoje imię — odparła Claire, po czym otworzyła drzwi, wprowadziła przyjaciółkę i wsunęła pudło do środka.

— Od kogo?

— Nie wiem — powiedziała Claire, pochylona nad paczką, odczytując nalepkę. — Sharper Image.

— O la la. Może prezent. Przyniesi nożyczki. Otworzymy.

— Może najpierw się rozgość. Rany, ta rzeźba jest naprawdę niesamowita — zauważyła Claire, gdy znalazły się wewnątrz. — Wygląda jak te stare ptasie klatki, no wiesz, takie drewniane z XIX wieku, tylko jest futurystyczna.

— Albo jak coś innego — drażniła się Nina.

— Mówię serio. Musisz spróbować to gdzieś pokazać, wystawić. Jak już się lepiej poczujesz. Pomogę ci. A na razie umieścimy cię na tarasie. Taki piękny dzień.

Po chwili popijały najlepszą na świecie nowojorską wodę z kranu, siedząc w starych drewnianych fotelach i spoglądając na Central Park. Claire przygotowała podpórkę pod chorą nogę Niny, przysunęła jej do fotela stolik, na którym postawiła picie, telefon, kopertę z kluczami do „psich” mieszkań i z informacją dla Isaiaha oraz stertę czasopism, które wyjęła ze swojej torby. Były wśród nich najróżniejsze tytuły: „Us”, „Newsweek”, „Vanity Fair”, „Entertainment Weekly”, „Vogue”, „People”, „Dom i Ogród”, „Elle Decor”, „Rolling Stone”, „Twój Pies”, a nawet dzienniki „Globe”, „Star”, „Enquirer”. Nina czuła, że to wielkie szczęście mieć taką przyjaciółkę, która potrafi nie dawać kwiatów chorym i rannym — w końcu kwiaty są dla zmarłych i umierających. Oczywiście, w każdej innej sytuacji kwiaty są jak najbardziej mile widziane.

Wtedy Claire wytaszczyła na taras tajemnicze pudło i położyła je Ninie na kolanach. Wreszcie Nina zna kogoś, kto zamówił coś z katalogu, w którym można też wybrać jonizujący odświeżacz powietrza „za jedyne 299 dolarów”. Claire wstała, wyszła do kuchni i wróciła z nożyczkami. Rozcięła pudełko i wydobyła z niego kartkę. Podała ją Ninie, która przeczytała:

„Droga Nino,

pomyślałem, że to Ci się przyda podczas rekonwalescencji. Życzę powrotu do zdrowia.

Pozdrawiam, Daniel”.

Podała bilecik Claire, która rzuciła na niego okiem i uśmiechnęła się. Potem Claire wyciągnęła z pudła duży czarny futerał. Otworzyła go i zaczęła składać coś, co wyglądało na teleskop. Był duży, lśniący, biały, z okularem z boku blisko obiektywu. Wspierało się go na trójnogu. Nina przejechała dłonią po lśniącej powierzchni.

— To miłe. Ale „pozdrawiam”?! To dlatego, że zwymiotowałam przy nim w szpitalu. Na pewno. Inaczej podpisałby: „Twój Daniel”.

— To bardzo uprzejme z jego strony.

— Tak. Uprzejmie pomyślał, że powinnam szpiegować ludzi.

— Przecież to robisz.

— I chyba on o tym wie.

— Przecież nie jest idiotą, nie?

— A to „pozdrawiam”? Pozdrawiam! Co to znaczy? Claire udała, że nie słyszy, i zajrzała w teleskop.

— Właściwie to czemu nie? Siedzisz tutaj, z chorą nogą, unieruchomiona, z takim widokiem przed sobą. To trochę jak w *Oknie na podwórze*, nie sądzisz?

— Aha! I pewnie ja jestem Jimmym Stewartem, a ty Grace Kelly?

— No, ja na pewno jestem Grace Kelly, ale ty jesteś miłsza niż Jimmy Stewart.

— Przynajmniej raz chcę być Grace Kelly! Czemu nie mogę być Grace Kelly?

— Uspokój się i spójrz — rozkazała Claire.

Nina wyprostowała się w fotelu i przyłożyła oko do okularu. Gdy już ustawiła ostrość, zrozumiała, na co patrzy Najpierw na ścianę, potem w okno ceglanego budynku za parkiem, po prawej, na 5 ulicy. O Boże — pomyślała. — To jak dać narkomanowi heroinę. Oto jej słabość, jej wielki nałóg, przypieczętowany, zalegalizowany, podany na srebrnej tacy!

— Nie, nie mogę — powiedziała — to nie w porządku.

— No nie! I kto to mówi? — odparła Claire. Przecież to zabawa. Jakieś zajęcie. I możesz to robić, nie wychodząc z domu. Zobaczysz, jak szybko zleci ci tydzień. — Po chwili dodała: — On cię musi naprawdę lubić. Taka zabawka nie jest tania.

Nina uświadomiła sobie, jaki to miły gest.

— Wiem. Albo próbuje dać mi coś do zrozumienia. To jego „pozdrawiam”. Widział mnie, jak wymiotowałam.

— Zdarzają się gorsze rzeczy. Mógł cię widzieć, jak...

— Przestań!

Obie się roześmiały.

— Już muszę iść — powiedziała Claire, naśladowując sposób mówienia Grace Kelly. — Mam przesłuchanie. Ten Isaiah... Tak się nazywa?... No, w każdym razie będzie tu za chwilę. I możesz mu się pożalić, że nigdy nie byłaś Grace Kelly.

— Co to za przesłuchanie?

— Do dalszych odcinków *Prawa i sprawiedliwości*. O glinach na koniach w Central Parku. Szukają kolejnej smukłej blond pani prokurator. To mam być ja. Przynajmniej, mam nadzieję, modłę się o to, żebym to była ja. Naprawdę chciałabym się na to załapać.

Nina zaśpiewała:

— „Ta praca jest mi potrzebna, jakże mi ona potrzebna...”.

— Zamknij się. Naprawdę nie powinnaś śpiewać. — Claire zbierała swoje rzeczy, szykując się do wyjścia. — To powinno być zabronione.

— „Iluż to osób trzeba mu? Iluż to...”.

— A wiesz, że może znowu wystawią *Chorus Line*? Czytałam w „Variety”.

— Mogłabyś zagrać Sheilę. Starą, ale współcześnie zarysowaną: ona tryska potem. Duża, mokra, śmierdząca. Grałabyś Sheilę, która jest tobą. Bardzo „meta”.

— Wyśmiewasz się z mojej przypadłości. Co z ciebie za przyjaciółka?

— Z przypadku, która ci przynosi niezłe zyski.

— Racja, ale na randce to raczej krępujące. Wierz mi. A teraz pa! Dzwoni, jakbyś czegoś potrzebowała.

— Z tym — pogłaskała teleskop znacząco — i z żarciem na wynos nie zginę. Jeśli Isaiah się pojawi i weźmie moje spacerki. A ty wrócisz po Sama i Mimi — tylko z Claire mogła tak otwarcie rozmawiać o swoich potrzebach.

Rozległ się dzwonek domofonu.

Nina zajęła się teleskopem, a Claire pobiegła do drzwi.

— Isaiah?

— To ja.

Claire wpuściła go na górę.

— W samą porę.

Poczekala chwilę, aż usłyszała pukanie. Otworzyła drzwi. Wszedł Isaiah. Claire oblała się potem. Na jej twarz wystąpił rumieniec.

— Isaiah?

— A ty to pewnie Claire.

— Isaiah — powtórzyła, jakby rzucił na nią urok — piękne imię.

— Piękna jesteś.

— Ty też.

— To jest... chciałem powiedzieć cześć.

— Ja też. Chciałam powiedzieć cześć.

— Naprawdę się pocisz — dotknął jej brwi i policzka.

— Racja.

— Podoba mi się to. Nina wrzasnęła z tarasu:

— Hallooooo... Kto przyszedł? Isaiah?

— Cześć Nina! — odkrzyknął Isaiah, nie ruszając się nawet o krok i nie spuszczać oka z Claire.

— Muszę iść — powiedziała Claire.

— Na pewno?

— Tak. Muszę.

— Trudno.

Wyszła, ale jeszcze się obróciła i powiedziała:

— Pomożesz jej, tak?

— Pewnie.

— No to dobrze.

— Zobaczymy się jeszcze?

— Pewnie.

I wyszła. Na piątym schodku powiedziała „Łooo!”. „Nooooo” odpowiedział Isaiah, zupełnie jakby ją usłyszał.

— Isaiah, gdzie ty się podziewasz? — zawołała Nina.

On wpatrywał się w jej rzeźbę.

— Świetne. Co to jest? Wygląda jak jakieś ustrojstwo z filmu science fiction, jak z *X-Men* albo *Matrixa* — mówił, idąc na taras.

— Możesz sobie myśleć, co chcesz.

— Właśnie poznałem Claire — powiedział.

— Prawda, że jest miła?

— Ooo, i to jak — brakło mu tchu. — I popatrz na siebie. Zostałaś pokonana.

— Słabo powiedziane. Możesz mnie zastąpić przez jakiś tydzień?

— Nie ma sprawy. Powiedz tylko, kto, kiedy i gdzie, i załatwione.

— Tylko wiesz, nie chcę nikogo z nich stracić.

— Jasne. Tylko ci pomagam. Ty też mnie kiedyś zastąpiłaś, pamiętasz?

Nina zaśmiała się. Musiał raz wyjechać na weekend, żeby odwiedzić chorą matkę w Atlancie. Wzięła wtedy za niego wszystkie jego spacerunki i nigdy tego nie zapomni, bo te jego psy to same pitbule, mastify, rottweilery, czyli psy zabójcy, których się bała jak diabli.

— Tylko nie wyprowadzaj moich z twoimi, co? Nie mieszaj ich.

— A co? Masz coś przeciwko moim psom? — poczuł się dotknięty. — Moje psy to psy miejskie, psy ulicy. Miały trudne, ciężkie życie, w każdym razie niektóre. I tylko dlatego, że twoje są bogate i rozpieszczone, mamy stosować taką segregację? Pies to pies, nieważne, jaki ma rodowód, kolor sierści czy status. Nienawidzisz całej kategorii psów tylko z powodu ich rodowodu i wychowania? Coś ty, republikanka czy co?

— Kurcze, Isaiah, posłuchaj — odparła Nina. — Te twoje psy to mordercy. Zabijają inne psy, a założę się, że i ludzi. Jak to możliwe? Pewnie się zastanawiasz, czemu te moje są takie słodkie i potulne...

— No nie! Ten twój labrador wcale nie jest potulny. Już bliżej mu charakterem do *Deliverance*. Nie chciałbym znaleźć się z nim sam na sam w parku wieczorem.

— Po pierwsze, Luca to ona. Po drugie, racja... jest trochę dzika. Ale to dlatego, że jej właściciel to dupek. Trzyma ją w zamknięciu...

— Właśnie o tym mówię. W sporze natura kontra kultura, nawet jeśli chodzi o rasy psów, zawsze wygra kultura, czyli wychowanie. Bieda, warunki domowe, samotny właściciel, dwieście pięćdziesiąt lat ucisku. To wszystko składa się na to, że taka psina nie ma szans przy innych. Czyli moje psy to psy z getta. Twoje są bogate, białe, uprzywilejowane.

— Ohoho! Co ja słyszę? Powinniśmy zapewnić lepsze warunki spacerów i lepsze domy twoim tak zwanym psom z getta, żeby wyrównać szanse? Tylko dlatego, że należą do takiej rasy? Czyżby zasługiwały na lepsze miejsce tylko w imię równości? Wiesz, jaki by to miało skutek dla wszystkich psów? Wszystkie by sprowadziło w dół.

— Historia pokazuje, że dawanie szans tym, którym jest trudniej, pomaga im się wybić ponad przeciętną.

— No dobra, po prostu ich nie mieszaj, co? Jak bym wytłumaczyła pani Chandler, że jej ukochany mały, tłusty, krzywonogi, czerwonoooki buldog został przeżuty i wypluty przez jednego z twoich rottweilerów z

wielkimi zębiskami, tego, który się ślini na widok każdego psa poniżej dwudziestu kilo? Jakby tydzień nic nie jadł. Pomyśl, co mógłby zrobić Edwardowi i Wallis. One są z brytyjskiej rodziny królewskiej.

— Imperialistyczne, ciemnościelskie świnię.

— To jamniki.

Isaiah z trudem powstrzymywał śmiech.

— Daj mi klucze, adresy i rozkład jazdy i już mnie nie ma.

— Wszystko jest tu — wręczyła mu kopertę.

— No to pani się o nic nie martwi, szanowna panienko Nino — powiedział Isaiah z przesadnym akcentem niewolników z Południa. — Ja być dobry dla twoje białe bogate psy, obiecuję. I niczego nie ukradnę ich właścicielom, słowo!

— Zamknij się! — śmiała się Nina.

Po chwili dodał już zwyczajnym głosem:

— Zajrzę do ciebie za parę dni, żeby sprawdzić, jak się czujesz i kiedy chcesz wrócić. Poważnie, daj znać, jak będziesz czegoś potrzebować.

I wrócił do służalczego tonu:

— To wszystko?

— Dzięki za pomoc.

— Dzięki za podrzucenie dodatkowej roboty. Potrzebujesz jeszcze czegoś?

— Nie, dzięki.

Odwrócił się i opuścił taras. Nina usłyszała dźwięk otwieranych i zamykanych drzwi.

Lubi go, tego Isaiaha. Chociaż był w więzieniu. Wie, że może mu ufać. W każdym razie ma taką nadzieję. Wie, że jest odpowiedzialny. Może na nim polegać. W takim samym stopniu, jak na każdym innym.

Popatrzyła na swoją nogę w szynie, która przypominała olbrzymiego hot doga. Kurde, kurde, kurde. Jak to się mogło stać? Przecież nie może tak siedzieć cały tydzień! Liczyć na to, że Claire będzie załatwiać wszystkie sprawy, wyprowadzać Sama i Mimi? Oczekiwać, że Isaiah będzie wyprowadzał psy klientów? Spodziewać się, że mama będzie ją wspierać psychicznie? Nie chodzi o to, że nie wierzy, iż oni to zrobią — wie, że oni wszyscy to potrafią. Problem w tym, że oni naprawdę to potrafią i są w stanie to zrobić, więc do czego ona jest potrzebna? Do czego się nadaje? Poza tym polegać na kimś znaczy ufać mu i go potrzebować. Do tego potrzebna jest bliskość, więź, zbyt intymna jak dla niej.

Wtedy zauważyła wpatrującego się w nią z uwielbieniem Sama: z wywieszonym językiem, poruszającym się przy oddychaniu, z bystrymi, współczującymi oczami.

Mam szczęście — pomyślała — że mam takiego psa. Że są ze mną ludzie, na których mogę polegać. Nie podoba mi się, że muszę na nich polegać, ale tak czy inaczej szczęściara ze mnie.

Pochyliła się i zajrzała w teleskop. Dzień był piękny — słoneczny i suchy — co latem w Nowym Jorku jest rzadkością. Zobaczyła ludzi na 5 alei, kręcących się przed Muzeum Guggenheima. Zauważyła kobietę z dzieckiem w wózku, która kupowała precla. Zobaczyła dwoje młodych ludzi, którzy śmiali się i całowali. Dostrzegła dwie starsze panie, spacerujące pod rękę, pogrążone w rozmowie. Zobaczyła piękną kobietę, która czekała samotnie na niskim kamiennym murku przy wejściu do muzeum. Kobieta spojrzała na zegarek,

zadzwoiła z komórki i znowu spojrzęła na zegarek. Wreszcie odeszła. Jej miejsce na murku zajęła starsza para. Jedli hot dogi. Małeńki kawałek cięsta czy teź papieru albo czegoś innego wpadł kobiecie we wlosy, i męczyzna wytarł dłoń serwetką, a potem sięgnął do wlosów kobiety i zęczenie to coś wydostał. Nie było w tym nic zbędnego, nic na pokaz. Zwykły, szybki, prosty gest między dwojgiem bliskich sobie osób, które najwyraźniej się o siebie troszczą. Nina odsunęła się od teleskopu i oparła plecami o fotel. To niesamowite, jak łatwo niektórym przychodzi okazywanie ciepłych uczuć, bliskości. Teź tak chcę — powiedziała sama do siebie — teź tak chcę.

Domofon zadzwonił tak niespodziewanie, aż Nina podskoczyła w fotelu, co wywołało ból w nodze i obrót teleskopu na statywie o trzysta sześćdziesiąt stopni. Ostrożnie objęła nogę obiema dłońmi i postawiła stopę na ziemi. Chwyciła kule i weszła do mieszkania. Sam kroczył przy jej kostce, a Mimi biegła za nim. Domofon odezwał się ponownie.

— Co to, pali się?! — krzyknęła, a po chwili powiedziała do słuchawki: — Kto tam?

— Nina? Tu Daniel.

Wzięła głęboki wdech i popatrzyła na swoje odbicie w lustrze. Gorzej być nie może. Czterdzieści osiem godzin bez prysznicę.

— Nina? Ojej.

— Wejdz — odparła.

Otworzyła drzwi i była już w drodze powrotnej na taras, kiedy zadzwonił dzwonek u drzwi.

— Otwarte! — krzyknęła.

— Poczekaj, pomogę ci — powiedział, gdy już zamknął za sobą drzwi i stawał na stole papierową torbę z zakupami. Ona jednak już pokonała trzy stopnie i była na zewnątrz. Gdy siadała, natychmiast znalazł się przy niej: chwycił za ramię i odebrał kule.

Kiedy już się usadowiła, Daniel przysunął drugi fotel i usiadł obok — siedzieli tak, niczym dwoje przyjaciół na plaży, którzy przyglądają się falom. Albo jak w kinie, w oczekiwaniu na koniec reklam i początek filmu. Czy teź w samochodzie, wpatrzeni w drogę przed sobą.

— Cieszę się, że przyszedłeś — powiedziała Nina.

— Naprawdę?

— Chciałam ci podziękować, że odprowadziłeś wtedy psy i Bona. Zadzwoniłeś do Claire i załatwiłeś wszystko. No i za ten prezent. Dziękuję. Naprawdę.

— Chciałem tylko sprawdzić, czy wszystko w porządku — zwrócił twarz w jej stronę. — Jesteś w znaczne lepszej formie.

— O Boże, wiem, jak okropnie wyglądam. Głupio mi, że musiałeś akurat być świadkiem...

Uśmiechnął się.

— Dobrze wyglądasz — na chwilę zatrzymał wzrok na jej oczach.

A potem nagle objął teleskop i zajrzał w okular.

— Nieźle. Wszystko widać. O, spójrz na to mieszkanie. Mają chyba Picassa... to niebezpieczne — powiedział i odsunął teleskop od siebie.

— Ale niezła zabawa, nie?

— Właśnie o tym mówił Schopenhauer. Ludzie nie powinni zdawać się tylko na urządzenia, bo to może doprowadzić do...

— Schopenhauer? — zapytała, przypomniawszy sobie plik w jego komputerze.

— Niemiecki filozof, który powiedział między innymi, że wszechświat nie jest racjonalny.

— No popatrz. Też mi geniusz.

— Właśnie! Wydaje się, że każdy to wie. Że to nic odkrywczego. Ale jesteśmy wiecznymi optymistami: sądzimy, że możemy panować nad własnymi odruchami. Wynajdujemy teleskop do badań, do nauki, a potem nagle staje się on kolejnym narzędziem, które zaspokaja nasze słabości.

— Ale tylko popatrz. Możesz patrzeć na ptaki... o, widzisz tego, co tam leci? Jakiego koloru ma dziób? I popatrz na tę piękną wierzbę, o tam, możesz zobaczyć jej liście, nawet fakturę kory.

— Tylko że dużo ciekawsze jest zaglądnienie do okien tych mieszkań, prawda? O, tam jakieś dziecko ogląda telewizję. Kobieta przy komputerze. O, goły facet stoi przy oknie. W każdym razie zdaje mi się, że jest goły. Nie widzę dokładnie... no tak... golusieńki — wzdrygnął się i odskoczył od teleskopu.

— No widzisz? Masz wybór. Czy to moja wina, że wolisz patrzeć w cudze okna niż na ptaki?

— O tym właśnie mówił Schopenhauer. To był prawdziwy pesymista.

— No to ja jestem druga. Bo też myślę, że ludziom daleko do ideału... w zasadzie to dupki. Czy to znaczy, że jestem schopenhauerystką? Schopenhauerystyczną świnią!

Daniel roześmiał się. Chyba pierwszy raz Nina usłyszała jego głośny śmiech. Podążyła więc za ciosem.

— To znaczy... nie wyglądasz na faceta, który by czytywał filozofów. Jesteś przecież prawnikiem!

— A co, prawnicy nie mogą interesować się filozofią?

— Mogą. W końcu to wolny kraj — co za głupstwa wygaduje? — Ale ilu prawników wie, kto to Schopenhauer?

— Byłem na paru wykładach z filozofii.

— Interesujące. To znaczy, ty jesteś interesujący. Chciałam powiedzieć... no nie!

— Studiowałaś jakiś artystyczny kierunek? Bo jesteś artystką, nie? Te rzeźby.

— To tylko hobby. Chodzę, zbieram różne rzeczy. Traktuję to jak rodzaj recyklingu.

— Czyli robisz to, żeby ratować środowisko — stwierdził z uśmiechem.

— To też — odpowiedziała, również się uśmiechając.

— Są niezwykle.

— Niezwykłe? — odparła takim tonem, jakby to nie był komplement, a przygana.

— Przerażliwie niezwykle. Cudownie niezwykle. Uśmiechnęła się. To już był komplement.

Obrócił się w jej stronę i patrzył na nią tak długo, aż poczuła się niezręcznie.

— Muszę iść. Nim wejdzie mi to w nawyk — powiedział, odsuwając teleskop. — Potrzebujesz czegoś, zanim... a kto wyprowadzi Sama i Mimi?

— Claire później po nich przyjdzie. Dzięki.

— To dobrze. No to już pójdę. Mogę wpaść jutro albo pojutrze?

— No pewnie. Przyjdź.

— Nie przesadzaj z tym — położył dłoń na teleskopie, wstając. — To najprostsza droga do tego, by zostać schopenhauerystyczną świnią.

Nina roześmiała się, mile połączona tym, że wykorzystał jej żart. Spróbowała się podnieść.

— Co robisz? — zapytał i rzucił się jej z pomocą.

Objął ją w talii, a ona położyła rękę na jego ramieniu, całym ciałem wsparła się na nim i głową sięgnęła niemal jego szyi.

Poczuła jego zapach. Mogłaby go zjeść! Nie namyślając się, ucałowała kącik jego ust. Nie mogła tego nie zrobić. To było silniejsze od niej.

On odpowiedział pocałunkiem — takim prawdziwym, w usta. I jeszcze raz: rozchylił wargi, by ją powitać, drugim ramieniem objął ją mocno. Jej zdrowa noga przytuliła się do niego, ich ciała przylegały do siebie ciasno od ust po kolana. Gdy przestali, Nina opuściła głowę, zawstydzona, pełna obaw, tak że jego usta dosięgły jej włosów, a gdy lekko obróciła głowę, ucha.

— Przyniosłem ci zupę — wyszeptał.

— Naprawdę? — odparła, chociaż to nie miało żadnego znaczenia.

Nigdy dotąd żaden pocałunek nie wytrącił jej aż tak z równowagi. Oto Daniel, mężczyzna, który zaskakuje ją zawsze, gdy są razem — jak z tym Schopenhauerem — pocałował ją, tak jakby świat się walił i jakby za chwilę wszystko miało przestać istnieć. A ona wpadła w ekstazę.

— Jest na stole, w pokoju. Zupa z kurczaka. W tym momencie zadzwonił domofon.

— Kogóż to niesie? — głośno zastanawiała się Nina.

— Poczekaj, odbiorę — powiedział Daniel, gdy Nina rzuciła się w stronę domofonu.

Ciągle nie mogła uwierzyć w to, co się przed chwilą stało. Zastanawiała się, czy to się wydarzyło naprawdę.

— To Bono, już tu idzie — krzyknął Daniel od drzwi.

Ruch jak na dworcu — pomyślała. Nigdy dotąd nie miała tylu gości jednego dnia. No, może kiedy poprzednim razem przyszła ze szpitala, czyli wtedy, kiedy się urodziła.

— Cześć — usłyszała, jak Bono wita się z Danielem. — Ja cię! Ale odjazd! A właściwie, co to takiego? Jakaś rzeźba? Nina takie robi? Kurcze. Jest na co popatrzeć. Wygląda jak Potwór z Czarnej Laguny.

W dodatku wszyscy się znajdują na sztuce — myślała Nina, gdy Bono i Daniel wychodzili na taras.

— Cześć, Nina. Jak leci? — zapytał Bono.

— Cześć. Nie powinieneś być w szkole? — odpowiedziała pytaniem.

— Jest niedziela. Nie pamiętasz? I wakacje. Czyżbyś z tego bólu straciła poczucie rzeczywistości? Czy to bezpieczne? — zapytał, pochylając się nad jej fotelem i przysuwając twarz do jej twarzy. — Czy to bezpieczne?! — krzyknął, naśladowując akcent Laurence'a Oliviera.

Położyła mu dłoń na twarzy i odepchnęła go, a on ze śmiechem opadł na ceglany murek.

— Muszę już iść — powiedział Daniel. — Jesteś... albo on jest... w dobrych rękach — położył dłoń na ramieniu Bona.

Nina spojrzała na Daniela, a ponieważ jeszcze nie doszła do siebie po tym pocałunku, potrafiła powiedzieć tylko:

— Na pewno?

— Ale chciałbym przyjść jutro, jeśli ci to nie przeszkadza — dodał dziwnie urzędowym tonem.

— Będę w domu — odpowiedziała i roześmiała się zbyt głośno, zażenowana.

— Bono, zadzwoń do mnie, gdyby ona czegoś potrzebowała. Gdybyście oboje czegoś potrzebowali. — Popatrzył na nią jeszcze raz i już go nie było.

— No to zostaliśmy sami. Myślisz, że to zniesiesz? — zapytał Bono.

— Siadaj i bądź cicho — odparła Nina.

Bono usiadł więc na fotelu obok niej. Tak siedząc, śmiali się, rozmawiali i zaglądali w teleskop całe popołudnie. Zjedli zupę. Nigdy jeszcze Nina nie czuła się tak hołubiona i ważna jak tego dnia. I jeszcze ten pocałunek. Całkiem wytrącił ją z równowagi.

21

Co najlepszego narobił? Co sobie myślał, że zdecydował się na ten pocałunek? Nic. Właśnie tak. Zupełnie nie myślał, zrobił to bez zastanowienia. Jakby wszystko, co mówił Schopenhauer, nie tylko było prawdą, ale dało się sprowadzić do jednego: w tym przypadku do pocałunku. Zaskoczyła go jednak własna namiętność. Czasami — tego już zdążył się o sobie dowiedzieć — dopiero ze swoich czynów dowiaduje się o sobie czegoś nowego, zaskakującego. Nie wiedział na przykład, jak wielką złość czuje do Daniela, wtedy gdy Daniel użył jego papierów, żeby dostać pierwszą porządną pracę. Daniel często wykorzystywał zdolności i wiedzę Billy'ego dla własnych celów, ale przedstawienie pracy magisterskiej brata jako własnej, żeby po studiach dostać pracę, było po prostu wstrętne. Billy jednak nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo go to ubodło, aż do tamtego wieczoru, kiedy przyłożył Danielowi w twarz, tak że z nosa i wargi pociekła mu krew, a w oczach zapłonął gniew.

Najpierw cios, potem objawienie. Teraz najpierw pocałunek, potem zrozumienie.

Oczywiście, zna siebie na tyle, żeby wiedzieć, że Nina go pociąga. Nie opuszcza jego myśli. Łapał się już na tym, iż zastanawia się, co ona robi w danej chwili, zauważał, że ilekroć ją spotyka, na jego twarzy natychmiast pojawia się uśmiech, i że brakuje mu tchu, kiedy ona patrzy mu w oczy. Tu jednak chodzi o coś więcej. Poruszyła nim. Przy niej poczuł, że mógłby latać. Nic nie robić. Być sobą. Tamta noc na piersie była niezwykła. Już nawet dla niej zagrał, a potem, jak ostatni bałwan, ją zostawił.

I kąpiel w jej mieszkaniu! Całkiem mu odbiło. Te rzeźby, jej zamiłowanie do musicali, wewnętrzna energia, jej stosunek do Bona, to, jak potrafi zajmować się psami — wszystko zupełnie się nie zgadza z jej przesadnością i smutkiem. Jest w niej moc, której istnienia ona sama nawet nie podejrzewa, moc ukryta za zasłoną bezbronności, czy też za pozorami takiej bezbronności — jakby ją uczono pozostawania w cieniu, podczas gdy bije z niej naturalny, trudny do ukrycia, blask.

W tej chwili nic się tak nie liczyło jak ten jeden pocałunek. Muzyczne standardy — by pozostać w kręgu zainteresowań Niny. — „Gdybym dzwonkiem był, chciałbym dzwonić”, albo „ulicą tą wciąż chodzę

sobie tu i tam..." lub „...i nagle imię jej odmienia cały świat" — brzmiały tak prawdziwie. Gdyby w ogóle używał słowa na „k", wymówiłby je teraz.

— Kur..., kur..., kur... — powiedział głośno, zaskakując tym i siebie, i Sida, który w odpowiedzi szczechnął trzy razy, nie przestając chodzić za Billym tam i z powrotem.

— Przepraszam — powiedział Billy i pochylił się, żeby poklepać Sida po głowie. Czuł, że emocje biorą nad nim górę, jakby uczucie do Niny było na tyle silne, że otworzyło drzwi, przez które, gdy raz się przejdzie, nie ma już powrotu.

Wyprostował się. Przecież ona kłamie. Szpera w cudzych rzeczach. Nie płaci podatków i jest tylko opiekunką psów. Nie, zwykle Billy nie ocenia ludzi na podstawie tego, czym się zajmują, ale w przypadku takiego zawodu trzeba być ostrożnym. To tymczasowe zajęcie, chwilowy wybryk, w każdym razie nie stabilna posada, solidne źródło utrzymania ani też odpowiedzialny styl życia.

Do tego wszystkiego ona pewnie nie jest nim zainteresowana, bo sądzi, że... no, właśnie. Jak w San Francisco dwa lata temu. Pojechał tam na kilka miesięcy z zadaniem specjalnym i spotkał Elizabeth. Wszystko wyglądało tak realnie. Myślał, że jest w niej zakochany. A ona w nim. Już nawet złożył podanie o przeniesienie i wtedy pojawił się Daniel, i powalił ją na kolana, angażując w długotrwały związek, który skończył się po miesiącu.

Wtedy był pewien swoich uczuć, nim jeszcze cokolwiek zrobił. Tamta zdrada była czymś ogromnym, po czym ciężko było mu się pozbierać. Miałby już do końca życia walczyć z idealnym bratem, który rzuca cień na każdy jego związek? Billy wyrzucił go wówczas ze swojego mieszkania i poprzysiągł sobie, że nigdy już nie pozwoli mu wmieszać się do swojego życia. Chętnie przestałby w ogóle z nim się kontaktować, ale to przecież rodzina. Musiał upłynąć rok, nim Billy zdołał odezwać się do Daniela.

Tak więc Billy postanowił, że odczeka kilka tygodni, zanim znowu zobaczy się z Niną — może w ten sposób przyhamuje rozwój tego, co zaiskrzyło między nimi, a może nawet pozwoli temu czemuś wygasnąć. Ostatnią bowiem rzeczą, jakiej mu teraz potrzeba, jest zaangażowanie się w związek po to, żeby po raz kolejny się dowiedzieć, że obiektem uczuć jego obiektu uczuć jest Daniel.

Nagle usłyszał, że otwierają się frontowe drzwi, ktoś wchodzi i rzuca coś na podłogę.

Czyżby to była Ni...? Wybiegł, żeby sprawdzić. Nie. To... Co u diabła? Zupełnie jakby przywołał tego drania myślami.

— Daniel — powiedział głośno.

Zauważył jego torbę na podłodze.

— Cześć, Billy. Jak się masz?

Sid chwilę spoglądał to na jednego, to na drugiego, a potem obiegnął ich dwa razy dookoła, jakby próbując strząsnąć z siebie własne zakłopotanie.

— Sid, spokojnie — powiedział Billy.

— Siddharta, wróciłem — powiedział Daniel.

Dwaj mężczyźni, których można rozpoznać jedynie zaglądając im we włosy lub w serce, objęli się po męsku, poklepując się po plecach.

— Co...? — spytał Billy.

— Zmęczyłem się i stęskniłem za miastem. Za pracą. Przyszedł czas, żeby wrócić do domu — wyjaśnił Daniel, podszedł do okna w salonie i wyjrzał przez nie.

— Szkoda, że mnie nie uprzedziłeś.

— Nie miałem czasu. Nagła, spontaniczna decyzja. I tak byś nie zrozumiał.

Billy udał, że nie dostrzega złośliwej aluzji.

— Ale ja jeszcze nie skończyłem — powiedział.

— Nie ma sprawy. Wróciłem tylko na tydzień czy dwa. Potem znowu wyjeżdżam. Mam sprawę w San Francisco — spojrzał na Billy'ego, czekając na jakąś reakcję, ale się nie doczekał. — Czekoladki See's, nadchodzę!

— Ale ja muszę tu zostać. W tym mieszkaniu, bo inaczej wszystko weźmie w łeb — upierał się Billy, nie bardzo pewien, czy mówi o pani Chandler, czy o Ninie.

— No to zostań. Możesz spać na kanapie — odparł Daniel, po czym podniósł torbę i ruszył do sypialni. Teraz muszę wziąć prysznic i się zdrzemnąć. Jeszcze się nie przestawiłem z tybetańskiego czasu.

— I zapachu.

— Racja.

— Jak owce wytarzane w łajnie.

— Rozumiem.

— A potem suszone w słońcu przez tydzień lub dwa, tak żeby się spiekły i stwardniały.

Daniel obrócił się, żeby sprawdzić, czy Billy żartuje. Nie, nie żartował.

— Odbiło ci, czy co?

— No, można tak powiedzieć — odparł Billy, zaskoczony własną elokwencją poprzedzającą kolejne mordobicie czy też inny przejaw gniewu. Nawet jego myśli pełne były agresji.

— No to masz problem. To moje mieszkanie i mam prawo wrócić, kiedy mi się podoba.

— Powinieneś zadzwonić. Powinieneś mnie uprzedzić. Powinieneś...

— Co? W ogóle nie wracać? Fajnie. Twój brat bliźniak wraca do domu po długiej nieobecności, a ty tak go witasz? Idź do diabła!

Billy podszedł do frontowych drzwi i otworzył je.

— Wychodzę. Na razie!

— Nie budź mnie.

— Bez obaw.

— Chodź, Sid. Idziemy na spacer.

Sid jednym susem znalazł się przy drzwiach.

— Sid? Co za Sid? Siddhartha, hej, zostań! — rozkazał Daniel.

Sid, zdezorientowany, przerzucał wzrok z Daniela na Billy'ego. Wreszcie Billy wyszedł, zostawiając skomlące zwierzę za drzwiami.

Już pięć dni minęło od wypadku z tym głupim białym psiną i Nina zaczynała się nudzić. Teleskop, owszem, dostarczał jej rozrywki, praca nad kompozycją zapewniała zajęcie, Claire, Isaiah i Bono wpadali

naprawdę często. Daniel jednak od tamtego pocałunku nie dawał znaku życia — zadzwonił tylko raz, aby wyjaśnić, że nie może przyjść, bo jest tak zajęty, zapracowany i takie tam.

Może żałuje, że do tego doszło? Albo, co gorsza, zapomniał, jakby to nie miało żadnego znaczenia? Albo jeszcze gorzej: nie podobało mu się? Było zbyt mokro, zbyt kiczowato, zbyt jakoś tam? Albo — a to już by było najgorsze — ona mu się nie podoba? Może nie chce utrzymywać z nią kontaktów?

Musi się dowiedzieć. Złapie byka za rogi czy też psy za smycze, pójdzie tam i wszystkiego się dowie.

Zdjęła nogę z fotela i podniosła się. To niełatwe z kolanem w szynie. Oczywiście, jest nowa, ulepszona i można ją nawet zdejmować, żeby wziąć prysznic, co Nina zdążyła już zrobić tego ranka. Wstała więc i pokuśtykała o kulach do sypialni, żeby się ubrać.

Psy przyglądały jej się. Sam przechylił głowę na bok i z wywieszonym językiem patrzył w taki sposób, jakby ją karcił, że robi za dużo w zbyt krótkim czasie. Mimi natomiast energicznie machała ogonem, otworzyła pyszczek w uśmiechu i wyglądała, jakby mówiła: „Zuch dziewczyna!”, bo przecież psy nie przejmują się tym, że dane wyrażenie już się zestarzało. A może Nina dokonywała projekcji. Antropomorfizacji. Albo obu. Zdjęła z siebie workowate szorty i założyła takie, w których wyglądała zgrabniej, do tego jedną skarpetkę i jeden but. Przebrała się w T-shirt z napisem „University of Pennsylvania” — specjalnie, żeby zwrócić jego uwagę — ten bez rękawów i z wykończeniem pod szyją, który zawsze przywodził jej na myśl *Flashdance* — film co prawda głupiutki, ale jeden z jej ulubionych — i uczesała włosy w koński ogon. Była delikatnie opalona, więc nie potrzebowała makijażu. Zresztą to nie ma być podryw, na miłość boską. To konfrontacja. Przecież nie można ot tak sobie kogoś pocałować (i to w taki sposób!) i zniknąć na trzy dni.

Ubrać się — to jedno, ale pokonać cztery piętra — to coś zupełnie innego. Nina wsunęła obie kule pod lewe ramię i prawą ręką oparła się o balustradę. Powoli, po jednym schodku, zaczęła kuśtykać w dół. Trwało to pewnie z pięć razy dłużej i wycisnęło z niej dziesięć razy więcej potu niż zwykle, ale w końcu dotarła na dół. Przemieszczanie się po ulicy okazało się dużo łatwiejsze. Powietrze było świeże, niebo pogodne i ruchy ciała sprawiały jej wielką przyjemność. Wkrótce znalazła się w budynku Daniela.

— A cóż to, nadobna damo — powiedział Pete wyszukanyimi słowy — słyszałem o twoim wypadku. A ty już na nogach?

— Ja...

— Może byś już wróciła do pracy? Ten Isaiah nie jest zbyt...

— Dlaczego? Stało się coś?

— Nie, w zasadzie nic. Ale to nie ty. Nina uśmiechnęła się.

— Daniel w domu?

— Tak.

— Mógłbyś zadzwonić? Muszę się z nim zobaczyć.

— Jak sobie życzysz — podniósł słuchawkę i wcisnął kilka guzików. — Uhm, jest tu Nina. Idzie na górę. — Potem zwrócił się do Niny: — No, idź już. Wiesz, gdzie.

Nina ruszyła w stronę windy, która właśnie była na dole. Wchodząc, słyszała, jak Pete krzyczy:

— Nina! Hej! Poczekaj chwilę! On jest...

Drzwi windy zatrzasnęły się i Nina ruszyła w górę. Po chwili znalazła się przed drzwiami Daniela. Zapukała. Otworzył w samym ręczniku na biodrach.

— Nina? Miło cię widzieć, ale jestem trochę... — wtedy ją zauważył: obrzucił wzrokiem jej gołe nogi, szczupłe ręce i powiedział: — No dobrze, wejdź. Daj mi tylko chwilę.

I pozostawił ją w holu, a sam wrócił do łazienki przy swojej sypialni, tej, przy której się poznali. Sid leżał skulony przy drzwiach i wyglądał na markotnego.

Nina schyliła się, żeby go pogłaskać.

— Co jest, piesku? Tęsknisz za swoją ulubioną opiekunką?

Daniel krzyknął z łazienki:

— Napij się czegoś zimnego. Jest woda, cola, piwo. Rozgość się. Ja już wychodzę.

Jest jakiś dziwny. Oficjalny, uprzejmy. A może ona dokonuje projekcji czy antropomorfizacji, bo on jest dziwacznym gatunkiem samca? Albo obu?

Usiadła na kanapie i wyciągnęła chorą nogę przed siebie. Kule ułożyła równo na podłodze. Sid podszedł do niej, położył jej łeb na kolanach. W pokoju było chłodno, działała klimatyzacja — jedna z tych powojennych niewidocznych maszyn, dzięki którym niemal można by nazwać mieszkanie w tych apartamentach atrakcyjnym.

— Cześć, piesku — powiedziała do Sida. — O co chodzi, co?

Wtedy wszedł on: w dość długich, luźnych szortach i podkoszulku. Usiadł obok niej.

— Twoja noga. Jak to się...? — zapytał.

— Już lepiej. Jeszcze tylko dzień, dwa, i będę mogła zdjąć to na dobre i normalnie chodzić. I wyprowadzać psy.

— No, no. Szybko, nie?

— Gdzie się podziewałeś? — przystąpiła od razu do rzeczy.

— Jak to? Wyjechałem na trochę.

— Aha. To wszystko wyjaśnia — uśmiechnęła się z ulgą.

— Co?

— No, że nie zadzwoniłeś ani nie wpadłeś.

— Co...?

— No wiesz, po tym, jak ... po prostu myślałam...

— Co?

— Nie, nic.

— Słuchaj...

— Nie musisz nic wyjaśniać.

— Chciałem tylko powiedzieć, że świetnie wyglądasz. Ja cię! Nina!

Jakoś to do niego nie pasowało. Powiedziała jednak:

— Dzięki.

Zauważyła, że on patrzy na jej piersi, potem na nogi. To też do niego nie pasowało. Ale serce zaczęło już łomotać i trzeba przyznać, że to spojrzenie sprawiało jej przyjemność. Wiedziała, że jest atrakcyjna,

pociągająca, nawet seksowna. Ale żeby patrzeć na nią jak na zwykły obiekt pożądania! Jakby to, co ma do powiedzenia, zupełnie się nie liczyło. W zasadzie to nawet odpowiadała jej taka rola.

Przesunął dłonią po jej nodze.

O Boże! — pomyślała. — Czyżby to się działo naprawdę?

Zmusiła się, żeby na niego spojrzeć. Był jakiś inny, jakby się wybrał na daleką wyprawę i wrócił z nowymi siłami, bogatszy o miejsca, które zdobył, i ludzi, których poznał. Zdawał się taki pewny siebie, bezpośredni, ożywiony.

Pocałował ją. Inaczej niż ostatnio, ale, oczywiście, tak też może być. Tamten pocałunek był pierwszy, spontaniczny, pełen uczucia. Ten to część gry wstępnej, wyćwiczone preludium do czegoś, co ma nadejść. Oparła się wygodniej i spojrzała na niego, jedną dłonią ujęła jego policzek, a drugą wsunęła we włosy.

On jednak nie miał ochoty na zabawę w romantyczne gesty. Objął ją w talii i przesunął dłoń w bok, później w górę, pod pachę, a stamtąd ku piersi. Gładził ją chwilę, a potem sięgnął pod stanik i ścisnął brodawkę dwoma palcami.

Co za przyjemność. Poddała się.

Sid zaszczeakał.

— Momencik — powiedział Daniel. Wstał, chwycił Sida za obrożę i zaprowadził do sypialni.

Nina patrzyła zaskoczona, jak zamyka drzwi, i zastanawiała się, czemu to wszystko wydaje jej się takie dziwne.

— No to na czym stanęliśmy? — zapytał, gdy wrócił.

Z usztywnieniem na nodze nie było jej wygodnie i niezgrabność niektórych ruchów wprawiała ją w zakłopotanie. To nie noga jednak była przyczyną poczucia, że coś jest nie tak.

Dwadzieścia minut później Billy wszedł do budynku.

— Ale... nie był pan przed chwilą na górze? — przywitał go Pete pytaniem.

— Nie. Spacerowałem trochę. Powinieneś zobaczyć dzisiaj park... pełno w nim...

— Kazałem jej iść na górę. Myślałem, że pan tam jest.

— Komu?

— Ninie, tej opiekunce psa.

Billy nagle spochmurniał, spurpurowiał i ruszył w kierunku windy. Musiał poczekać, aż zjedzie z szóstego piętra, a kiedy wreszcie do niej wsiadał, jego cierpliwość była już na wyczerpaniu.

Daniel stoczył się z Niny jak kłoda z naczepy transportowej. Był spocony, bez tchu, wyczerpany. Wstał i nagi poszedł do sypialni, żeby — jak wywnioskowała Nina — przejść do łazienki, a przy okazji wypuścić Sida, który podbiegł do niej i polizał ją po twarzy. Leżała na podłodze, całkiem naga, tylko na chorej nodze nad usztywnieniem kolana tkwiły zaczepione majtki. Wpatrywała się w sufit, nie bardzo wiedząc, co właściwie się stało, czy też z kim, bo to na pewno nie było to, czego się spodziewała. Co nie znaczy, że nie było przyjemnie. Ostry seks — nazywając rzecz po imieniu — i może nawet miałyby ochotę na więcej, gdyby nie to, że otwarły się drzwi frontowe, Sid podskoczył i wszedł Daniel...

— Co... zaraz... jak? — krzyknęła Nina, chwytając leżącą na podłodze poduszkę i zakrywając nią twarz i ciało, w każdym razie tyle, ile było możliwe. Jej chore kolano pulsowało. Myśli galopowały. Czy Daniel nie poszedł do łazienki?

Wrócił ten Daniel, z którym przed chwilą się kochała.

— O kurde — powiedział. — Nie umiesz pukać? — sięgnął po bokserki leżące na kanapie.

Drugi Daniel powiedział:

— Pukać? Mieszkam tu, gnojku. Nina? Dwaj Daniele? Co jest?

— Chciałeś powiedzieć: mieszkałeś.

— Nina? — i wtedy ten Daniel zwrócił się do drugiego. — Boże, coś ty zrobił?

— Jak to, co zrobiłem? — zdziwił się Daniel od Seksu, obracając się tak, żeby podciągnąć bokserki. — Poszliśmy do łóżka... no, na podłogę... i było bardzo przyjemnie. Tylko tyle, i to nie twoja sprawa.

— Właśnie, że moja. To jest moja cholerna sprawa... Nina?

Rozpłakała się, bo nagle zdała sobie sprawę — a może tylko tak się jej zdało — z tego, co tu się dzieje. Była skołowana i zła. Czyli Daniel to nie Daniel? Kim więc on jest? Z kim się przed chwilą kochała (jeżeli tak to można nazwać)? Kto ją całował kilka dni temu na tarasie? Kto jest na tych fotografiach? Kto jej pomagał, gdy zwichnęła nogę? Kto grał na puzonie nad rzeką? Kto ją okłamuje? Chciała zrozumieć, co się dzieje, żeby móc zabić któregoś z nich. Albo obu.

Nina, cały czas trzymając przed sobą poduszkę, zbierała swoje porzucane ubrania. Pomógł jej Daniel od Seksu. Założyła stanik i T-shirt, cały czas starając się pozostawać pod osłoną poduszki. Potem włożyła zdrową nogę w majtki i podciągnęła je w ekspresowym tempie, bo podczas tych akrobacji, utrudnianych przez spoczywającą na podłodze nogę, nie utrzymała przy sobie poduchy. W końcu majtki znalazły się tam, gdzie powinny. Przyszła kolej na szorty. W tym czasie, kiedy łyzy zawstydzienia, poniżenia, niepewności i złości spływały jej po twarzy do ust i po podbródku na podłogę, jeden Daniel — ten, z którym przed chwilą... no, właśnie... — wyszedł, a drugi stał jak wryty i nie spuszczał z niej oka.

W końcu przemówił.

— Chodzisz do łóżka z byle kim?

— Co?

— Nawet go nie znasz i od razu poszłaś z nim do łóżka... czy też na podłogę.

— A ty to kto? — zapytała Nina.

— Jestem Daniel. Poznaliśmy się w mojej łazience, pomogłem ci z tym gościem w parku, który nie chciał sprzątnąć po psie, pomogłem ci wpakować do karetki, uhm... pocałowałem cię na tarasie.

Uśmiechnęła się. Po chwili jednak ten uśmiech zgasł niczym ognisko, na które wylano wiadro wody.

— Jeśli ty jesteś Daniel, to kim jest tamten?

— To nie jest Daniel. To Billy — powiedział ten drugi Daniel, już ubrany i oporzędzony, wróciwszy do pokoju.

Daniel, a może Billy, spojrział na niego, gotów do ataku.

Stali obok siebie i Nina przyglądała się im zdezorientowana. Popatrzyła na jednego. Potem na drugiego. I zauważyła. Jej Daniel, to znaczy jej Daniel od Miłości, stoi prościej, jest szczuplejszy, ma ciemniejsze oczy o

głębszym spojrzeniu, na jego twarzy widać troskę i niepokój. Jej Daniel od Seksu jest swobodniejszy, bardziej na luzie, macha rękami, kiedy chodzi i kiedy rozmawia, jego spodnie są luźne, T-shirt postrzępiony. Oczy ma pogodne, na twarzy nie widać śladu troski o cokolwiek.

Spoglądała to na jednego, to na drugiego, czuła, jak krew napływa jej do twarzy i pulsuje w żyłach, a serce zaczyna walić jak oszalałe. Czy to jakaś ich gra? Obrzydliwa, głupia, szczeniacka zabawa? Kawały, które — jak sądziła — bliźniacy robią w szkole nauczycielom, udając jeden drugiego?

Schyliła się po kule i ruszyła w stronę drzwi.

— Czekaj — powiedział Daniel od Miłości. — Poczekaj. Chwyć ją za ramię, gdy go mijają. — Wszystko ci wyjaśnię. Pozwól mi.

— Billy? Jesteś Billy, prawda? Okłamywałeś mnie. A ty... zwróciła się do Daniela od Seksu — ty mnie wykorzystasteś. Skorzystałeś z...

— Słuchaj no. Byłaś tu, taka seksowna, czekałaś, żeby cię upolować. Czego jeszcze było mi trzeba? A może tobie?

— Świnia! — powiedziała Nina.

— Świnia — powiedział Daniel od Miłości.

— Kłamca — zwróciła się Nina do Daniela od Miłości.

— Musiałem. Przez pracę.

— Idź do diabła.

Otworzyła drzwi i Sid natychmiast znalazł się przy niej, myśląc, że znowu pójdzie na spacer.

— Cześć Sid.

Wychodząc, rzuciła jeszcze:

— Nie będę już wyprowadzać Sida. Znajdźcie sobie kogoś innego.

22

A więc uprawiała seks z Danielem. Z tym Danielem, dla którego na początku straciła głowę, o którym marzyła, z myślą o którym się onanizowała. Tylko że nie jest to ten sam Daniel, który przegonił faceta w garniturku, który grał dla niej cudownie na puzonie, pomagał jej jak ktoś najbliższy, kiedy miała zwichnięte kolano, pocałował ją na tarasie. Ten Daniel — teraz to wie — to w ogóle nie Daniel, tylko Billy, brat bliźniak Daniela. Ten Billy, dobry i zły, interesujący i nudny, sztywny i melancholijny, ten pełen zasad moralnych Billy okłamywał ją. Od miesięcy, we wszystkim.

Jest zakochana w kłamliwym, podłym draniu.

Chociaż dopiero co się przespała z palantowatym bratem tego kłamliwego drania.

I chociaż czuje się jak ostatni głupek i dureń czy dureń i głupek, to musi też przyznać, że czuje się... młodo. Jak wtedy, gdy była na studiach i popełniała wiele, wiele błędów w dziedzinie seksu (ale za każdym razem było bezpiecznie — to jedyna rzecz, której ściśle przestrzega. Seks powinien nieść radość, nie śmierć). Różnica polega na tym, że wtedy nie musiała niczego żałować, bo wtedy to było normalne. Teraz zaś czuje żal,

gniew, smutek i ma poczucie wielkiej krzywdy, jakby jakiś palant w hummerze zajechał jej drogę i zmusił do uderzenia Sama albo Bona, Mimi czy Claire, albo kogoś innego, kogo bardzo kocha.

Tylko czy to naprawdę wina tego w hummerze? Czy sama nie popełniła błędu? Czy nie jechała za szybko? Nie rozglądała się na boki, zamiast skupić się na drodze? Może była za bardzo zajęta takimi głupstwami, jak rozmowa przez komórkę, wkładanie płyty do odtwarzacza, zamiast uważać na znaki drogowe?

Chciałaby powiedzieć, że nie ma w tym jej winy, ale przecież zakochała się w facecie z zupełnie niesłusznych pobudek. Nawet jeśli potem zakochała się w jego bliźniaku z jak najbardziej słusznych pobudek. No nie, to wszystko jest zbyt skomplikowane, żeby się oskarżać. Dużo łatwiej jest czuć się wkurzoną i zranioną. Została oszukana. Uprawiała seks, kierując się fałszywymi przesłankami.

A teraz pora wyprowadzić psy.

Właściwie w tym momencie zarówno psy, jak i wszyscy inni mogliby nie istnieć.

Chciałaby stać tak jak teraz, pod prysznicem — gdy gorąca woda spływa jej po głowie i twarzy i miesza się ze łzami — jeszcze przez godzinę. Ale przecież nie może. Jest opiekunką psów i to akurat nie jest kłamstwo. Nie ma w tym żadnego podstępu, przykrywki, udawania. Czy aby na pewno? Jest opiekunką, na którą zawsze można liczyć, gdy trzeba wyprowadzić psa. Czy aby na pewno? Czy nie traktuje tego jako przejściowego zajęcia, póki nie podejmie decyzji, co zrobić ze swoim życiem? Czy nie kłamie, kiedy mówi, że robi ze swoim życiem, co chce? Czy nie jest całkowitą, kompletną oszustką, kiedy twierdzi, że nie oczekuje od życia niczego więcej?

Zawsze bała się, że zostanie zdemaskowana jako oszustka, którą przecież jest — że ktoś odkryje, iż tak naprawdę wcale nie jest zdolna, utalentowana, nie ma wiele do zaoferowania.

Ale czy to właśnie nie jest kłamstwem? Czy to nie oszustwo, gdy udaje, że niewiele jej trzeba, że nie ma wielkich aspiracji? O ile trudniej, bardziej ryzykowniej jest przyznać się do marzeń o sukcesie, a potem znieść porażki, niepowodzenia albo co gorsza, zupełnie tym ambicjom nie sprostać. O ile boleśnieszyszy jest upadek z konia niż z kucyka. Jaką odwagą musiałaby się wykazać, żeby przyznać się do własnej wartości, uzdolnień, i pójść za ich głosem. Największa tajemnica Niny? Że jest ambitna, uważa się za kogoś wyjątkowego, wie, że ma talent, jest piękna i jedyna. Ale broń Boże, gdyby miała to kiedykolwiek przyznać, powiedzieć na głos, żyć, potwierdzając tę tezę. Bo jest zwykłym tchórzem. Po prostu.

Udaje kogoś, kim nie jest. Tak samo, jak Billy/Daniel.

Zrobiła więc to, co zrobiłaby każda rozgniewana kobieta w depresji na jej miejscu: poszła spać. Jeszcze tylko się wytarła, założyła majtki i podkoszulek Uniwersytetu Twardogłowych, opuściła żaluzje i zwinęła się w kłębek pod kołdrą.

Spała dwanaście godzin.

Przespała poranne spacery. A obudziła się tylko dlatego, że oba psy stały na łóżku, niemal po niej deptając, i potraçały ją nosami, lizwały po twarzy i skomlały. Musiały wyjść. Natychmiast.

Wstała więc, zdjęła usztywnienie z kolana, wciągnęła szorty i buty i zabrała psy na krótki spacer, na którym miały okazję się załatwić, trochę powęszyć i ledwie posmakować wolności. Kolano było trochę zeszywniałe i wydawało się kruche, ale samo uczucie używania go sprawiało jej przyjemność. Wkrótce

wrócili, wdrapali się po schodach na górę, Nina dała psom świeżej wody, nakarmiła je i weszła z powrotem do łóżka. Sam obserwował ją z niepokojem — wiedział, że coś jest nie w porządku.

Pierwszy telefon zadzwonił przed dziewiątą. Nina słyszała, jak włącza się automatyczna sekretarka i ten stary, głupi, podły Jim Osborne wydziera się do słuchawki, że Luca narobiła na podłogę itd., itp.

Nina ściszyła sekretarkę, obróciła się na drugi bok i naciągnęła kołdrę na głowę.

Następny telefon odezwał się jakieś dwie minuty później. I kolejny, i jeszcze jeden, aż Nina poszła po rozum do głowy i zadzwoniła do Isaiaha. Nie było go w domu, więc zostawiła na sekretarce wiadomość:

— Cześć, to ja, Nina. Jestem chora jak pies, jeśli można tak powiedzieć. Ha ha ha. Mógłbyś zająć się moimi psami? To chyba nie potrwa długo. Może kilka dni. Nie wiem. Po prostu nie dam rady się zwlec z łóżka ani wyjść z domu w najbliższych dniach. Dzięki. Będę wszystkich kierować do ciebie. Dziękuję. I nie dzwoń do mnie. Będę spać.

Potem zmieniła nagranie na swojej sekretarce na następujące:

„Cześć, tu Nina, opiekunka psów. Coś mi nagle wypadło... nic poważnego, ale nie dam rady wyprowadzać psów przez kilka dni. Proszę więc dzwonić w tej sprawie do Isaiaha Wallace'a, numer 579-21-20. To solidny, dobry opiekun. Hmm, dziękuję. Do usłyszenia”.

Potem obdzwoniła właścicieli tych psów, które regularnie wyprowadzała, i albo rozmawiała z nimi osobiście, albo zostawiała wiadomość z numerem Isaiaha.

To wszystko zajęło jej dwadzieścia siedem minut. Gdyby wcześniej wiedziała, jak łatwo jest być nieodpowiedzialną w odpowiedzialny sposób, może by częściej sobie na to pozwalała.

Wreszcie wróciła do łóżka.

Kiedy się obudziła, była piąta po południu. Jeszcze nie bardzo przytomna, spojrzała na zegarek i zdziwiła się, jak szybko minął dzień. Sam i Mimi siedziały przy łóżku i machając ogonami, wpatrywały się w nią z wywieszonymi językami, jak psy policyjne, które właśnie znalazły trupa.

— Cześć, pieski. Mama już wstaje.

Sam szczechnął.

— Dobrze, dobrze — mruknęła Nina, założyła te same szorty i buty, co poprzedniego dnia, i wyprowadziła psy. Szkoda, że nie poprosiłam Isaiaha, by je wyprowadzał — pomyślała. — Wtedy nie musiałabym w ogóle wychodzić z domu.

Gdy już przyprowadziła je z powrotem, rozebrała się, zjadła jogurt i banana przy otwartej lodówce i wróciła do łóżka.

Obudziła się dopiero następnego dnia rano. Sam i Mimi jeszcze spali w nogach jej łóżka. Była szósta. Nina powlokła się do łazienki.

Dopiero wtedy zorientowała się, że ktoś dzwoni domofonem. Udała, że nie słyszy, chociaż nie było to łatwe, bo domofon dzwonił coraz natarczywiej.

Popatrzyła w lustro. Drr, drr, drr, drr! Wygląda beznadziejnie. Czuje się jeszcze gorzej. I znowu ten dzwonek. Drrr, drrr, drrr. I jeszcze, i jeszcze, i jeszcze raz.

Podeszła do domofonu i przycisnęła guzik.

— Zamknij się! — wrzasnęła.

— Wpuść mnie — odezwała się Claire.

— I mnie! — w tle zabrzmiał głos Isaiaha.

To oni są na dole razem? Przypadek czy co? Otworzyła przyciskiem drzwi do budynku, otworzyła drzwi do swojego mieszkania i wstawiła wodę na kawę. Nie miała, co prawda, zamiaru całkowicie się rozbudzać, ale goście to goście.

Słyszała ich kroki na schodach, potem pukanie do drzwi i dźwięk ich uchylania.

— Nina, gdzieś ty jest? — zapytała Claire.

— Jest tutaj. Spójrz tylko, w jakim stanie — powiedział Isaiah.

— Ja też się cieszę, że was widzę — powiedziała Nina, stojąc przy otwartej lodówce. — A co wy tu robicie tak wcześnie? Jest dopiero... która to... chyba szósta?

— Martwimy się o ciebie — odparła Claire.

Nina spojrzała uważniej na Claire i Isaiaha, na Isaiaha i Claire, usiłując coś z tego zrozumieć. Miała prawdziwy mętlik w głowie, gdy tak przyglądała się to jednemu, to drugiemu, próbując ogarnąć myślami, kto jest kto i o co tu chodzi.

— Czy wy...

Na twarzy Claire pojawił się uśmiech, tak samo szeroki i zniewalający jak most Golden Gate. Objęła Isaiaha w pasie, a on położył rękę na jej ramieniu.

— Tak — odpowiedziała Claire.

Posłała uśmiech Isaiahowi, a on ze swej strony wyszczerzył zęby w charakterystyczny dla siebie sposób.

O Boże, tych dwoje się w sobie zakochało! Ninie aż zebrało się na wymioty.

Powiedziała jednak:

— Ależ to cudowne! Gdzie... jak...

— Tutaj — odpowiedziała Claire. — Wtedy, gdy miałaś chorą nogę. Ja wchodziłam, a Iz...

— Nie, ty wychodziłaś, a ja wchodziłem...

— Iz? — powtórzyła Nina z niedowierzaniem — mówisz na niego Iz?

— Właściwie — Claire zarumieniła się i gwałtownie obląła potem — to nazywam go Izzy.

— A ja zawsze myślałam o tobie jako o miłym żydowskim chłopcu — stwierdziła Nina.

Isaiah potrząsnął dredami i roześmiał się.

— Mnie to nie przeszkadza. Może mnie nazywać, jak chce.

I ponownie uśmiechnęli się do siebie.

— Idę spać — powiedziała Nina. Odwróciła się i ruszyła w stronę sypialni.

— Zaraz, zaraz. Nie tak szybko — zaprotestował Isaiah.

— Nie waż się stąd ruszać — powiedziała Claire.

Nina zwróciła się twarzą do nich. Z jedną ręką na biodrze wyglądała jak zniecierpliwiona nastolatka, którą rodzice zaczynają indagować o to, dokąd się wybiera.

— Co z tobą? — zapytała Claire. — Od dwóch dni nie wychodzisz z łóżka. Masz gorączkę? Byłaś u lekarza?

Nina weszła do sypialni.

— Mówię do ciebie! — krzyknęła Claire, idąc za nią i ciągnąc za sobą Isaiaha. — CO SIĘ DZIEJE?!

Nina wczółgała się do łóżka i nakryła kołdrą po szyję. Skoro mają do niej przemawiać jak do dziecka, będzie się zachowywać jak dziecko!

— Spałam z Danielem — powiedziała, zupełnie nie jak dziecko.

Claire uśmiechnęła się.

— To świetnie — usiadła na łóżku obok Niny i odgarnęła jej włosy z czoła. — Ale nie rozumiem...

— To nie był ten Daniel, za którym szaleję, tylko jego brat. Bliźniak.

— Cooo?

— Przespałam się z Danielem, ale nie z tym Danielem, którego...

— Czekaj, czekaj — przerwał jej Isaiah, okrążając łóżko, by usiąść z drugiej strony — chcesz powiedzieć, że Daniel ma brata bliźniaka i ty się z nim przespałaś?

— Niedokładnie. Daniel to wcale nie Daniel, tylko Billy. Identyczny bliźniak Daniela. Ale ja nie wiedziałam, i jak Daniel się zaczął do mnie przystawiać, myślałam, że to Daniel Billy, a nie Daniel Daniel, no i... przespałam się z nim. Ale to był Daniel, a nie Billy, a ja nie wiedziałam. A przecież lubię Billy'ego. Albo lubiłam.

— To brzmi zupełnie jak szekspirowska komedia — powiedziała Claire, wyraźnie rozbawiona całą tą historią.

Nina, nie widząc w tym nic śmiesznego, zmrużyła oczy, aż stały się wąskie jak pociski, i wycelowała je prosto w przyjaciółkę.

— No, a przynajmniej ten seks jakiś do rzeczy? — zapytała Claire.

— Nie o to chodzi! — wrzasnęła Nina — zresztą było tak sobie.

W tym momencie oba psy Niny, czując się zaniedbywane, wskoczyły na łóżko i ułożyły się w nogach. Na łóżku było więc troje ludzi i dwa psy.

— I dlatego zaszyłaś się w łóżku, olałaś obowiązki i w ogóle odcięłaś się od świata? Dlatego, że przespałaś się z niewłaściwym facetem? Heeee! Czyżby nie zdarzyło ci się to wcześniej, i to wiele razy?

— Nie widzisz, że jest w nim zakochana? — zapytał Isaiah.

— To prawda? — spytała Claire.

— Tak — szepnęła Nina, zamykając oczy. — Tak.

— W tym, który ma na imię Billy?

— Tak. Billy Kłamca. Który twierdził, że jest Danielem. Cały ten czas myślałam, że to on mieszka w tym mieszkaniu z Sidem, że podróżuje i jest prawnikiem, odnosi sukcesy i...

— To wszystko nic nie znaczy. Odkąd to oceniasz ludzi po pozorach? Z kim ja pracuję!

— Spokojnie, kochana — łagodnie powiedział Isaiah. — Nie zapominaj, że się przespała z bratem... bliźniakiem tego, na którym jej zależy — próbował na wszelkie możliwe sposoby znaleźć usprawiedliwienie głupiego zachowania Niny.

— Zaskakujesz mnie — powiedziała Claire.

— Odczep się.

— To ty się odczep.

I Claire zwróciła się do Isaiaha:

— Chodź, idziemy. Aż mi się niedobrze robi od samego bycia tutaj.

— Pewnie, idźcie sobie i dajcie mi spokój.

— A pewnie, że pójdę. Może jak będziesz tu tak leżeć, droga Panno Użalająca się nad Sobą, to chociaż się zastanowisz, co tak cię w tym Billym rajcuje, a prawdopodobnie nie ma to nic wspólnego z tym, gdzie mieszka, jakiego ma psa czy jak zarabia na życie.

— Nie chodzi tylko o to — powiedziała Nina ledwie słyszalnym głosem — chodzi o oszukiwanie. Myślałam, że jest kim innym.

— Czyżby? Zakochałaś się w nim, bo jest prawnikiem?! — wrzasnęła Claire. — Ha ha ha!

Po tych słowach ona i Isaiah wstali z łóżka i wyszli z pokoju.

— Śmieję się, śmieję. Okłamał mnie! — krzyknęła Nina.

— To z nim pogadaj! — odkrzyknęła Claire i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Sam i Mimi rzuciły się za nią, skomląc, piszcząc, domagając się, żeby ktoś, ktokolwiek, zabrał je na spacer. Po chwili Isaiah był z powrotem.

Wsunął głowę w szczelinę drzwi i powiedział:

— Wezmę je. Chodźcie, maluchy.

Oba psy rzuciły się po schodach w dół, z nadzieją na porządny spacer.

Nareszcie sama, własnym szlochem ukołysała się do snu. Nie słyszała, kiedy psy wróciły. Obudziła się dopiero po południu.

Około trzeciej zadzwonił domofon. Nina obudziła się, ale nie od razu oprzytomniała — raziły ją wpadające przez okno promienie słońca, w pokoju było gorąco. Zapomniała rano włączyć klimatyzację i teraz ociekała potem. Psy zachowywały się jak szalone — robiły wszystko, by dać do zrozumienia, że potrzebują i chcą wyjść: podbiegały do niej, potrącały ją wilgotnymi nosami, podchodziły do drzwi i z powrotem do Niny, a stojąc przy niej, wpatrując się w nią z wywieszonymi językami, przebierały energicznie łapami po podłodze jak w dziwnym tańcu ludowym. Nina podeszła do domofonu.

— Kto tam?

— To ja, Bono. Wszystko w porządku? Mogę wejść? Nina wywróciła oczami. Potem spojrzała na psy i powiedziała:

— Już schodzę. Daj mi minutę.

Przejrzała się w lustrze i wskoczyła pod prysznic, a po siedmiu minutach, wyszorowana, umyta, wysuszona, ubrana, założyła obrożę i smycze niespokojnym psom i zeszła na dół. Jakaś jej część miała nadzieję, że Bono zdążył się już znudzić i odszedł.

Zastała go jednak siedzącego na schodach, głośno liżącego lody.

— Ona żyje! Żyyyyyyje!

Nie rozbawiło jej to. Chociaż miała ochotę obrócić się na pięcie i pójść do mieszkania, ruszyła z nim w stronę parku, bo psy ze wszystkich sił chciały na spacer. Od paru dni Nina nie była tak daleko poza domem.

— Gdzie się podziewałaś? — spytał Bono.

— A co cię to obchodzi?

— Co się obrażasz, jakbyś miała dziesięć lat? Co z tobą? Tak mówią w szkole tylko idioci i chuligani, same matoly.

— Słuchaj, Bon, naprawdę nie mam ochoty...

— Gadasz jak moja mama.

To już ją wkurzyło. Gdyby miała na karku sierść, jak Sam, pewnie już by ją zjeżyła, a z jej gardła wydobywałoby się warczenie. Ponieważ jednak nie jest psem, powiedziała:

— Zamknij się.

Odwróciła się gwałtownie i pociągnęła psy z powrotem, w stronę swojego mieszkania. Bono musiał niemal biec, żeby ją dogonić.

— Ja tylko... po prostu brakuje mi spacerów z psami. Brak mi...

Nina zatrzymała się.

— Nie jestem twoją matką. Masz mamę. Przestań się mnie czepiać. Idź pograć w piłkę jak normalny chłopak. Pojedź gdzieś na rowerze. Daj mi święty spokój.

Bono milczał ze wzrokiem wbitym w chodnik. Wrócili pod jej dom. Oba psy wskakiwały po schodach do drzwi.

Wtedy Bono podniósł wzrok na Ninę. Jego twarz była czerwona ze złości, zalana łzami, kapiącymi z podbródka na ziemię.

— Sytuacja cię przerosła i nie umiesz sobie z tym poradzić! — wrzasnął. — Chcesz wiedzieć, skąd to mam? No już, zapytaj! ZAPYTAJ MNIE!

O Boże — pomyślała Nina. — Ojej. Ten dzieciak potrzebuje czegoś więcej, niż mogę mu dać. Żeby się jednak nie okazać ostatnią świnią, zapytała z westchnieniem:

— No dobra, skąd masz to zadrapanie? Oczywiście, wiedziała to bez jego odpowiedzi.

— Nie jesteś moją matką. Nie muszę ci nic mówić. Idź sobie do domu.

Tak też zrobiła. Pokonała cztery piętra, wróciła do zagraconego mieszkania, do łóżka, w którym nie było Billy'ego, Daniela, nie było Claire i Isaiaha, nie było Bona. Tylko dwa chrapiące psy i jej twarde jak kamień serce.

Minęło kilka dni, kiedy Nina wychodziła z łóżka tylko po to, żeby coś zjeść, pójść do toalety i wyprowadzić psy. Sam i Mimi coraz gorzej odnosiły się do siebie: Mimi droczyła się z Samem i naprzykrzała mu się jak młodsza siostra starszemu bratu, Sam warczał, gdy Mimi się zbliżała. Nikt nie dzwonił. Nikt nie przychodził. Było dużo gorzej niż wtedy, kiedy Nina zwichnęła kolano. Wówczas w jej mieszkaniu roiło się od gości, podarków, jedzenia. Tym razem, chociaż jej ból był głębszy, sprawa dużo poważniejsza, to odkąd nawrzeszczała na Claire i Bona, nikt jej nie odwiedzał.

Bo i czemu mieliby przychodzić? W mieszkaniu panuje okropny bałagan, ona sama na pewno śmierdzi, jest irytująca, w stanie, w jakim nie była od rozvodu. A dlaczego? Bo ją oszukano? Bo była głupia, zachowała się beznadziejnie? Nie, chodzi o coś innego, większego, bardziej kosmicznego. Coś, co ma związek z nieuchronnością samotności, nawet w tak mało prawdopodobnej sytuacji, jaką jest poznanie kogoś, kogo mogłaby pokochać.

W dodatku zniknął ten przeklęty skręt z jej szafki nocnej, co odebrała jak prawdziwą stratę. Pamięta, że go tu kładła, ale czy na pewno? Jak w przypadku gubienia skarpetek w suszarce czy banknotu, który zniknął z portfela — to sprawa Tajemnicy Zguby, którą Człowiek by Przysiągł, że Położył Gdzieś Tu.

A może gdy była w szpitalu, ktoś wszedł do jej mieszkania i... z przeszukującej nagle stała się przeszukiwaną! I ktoś ukradł jej skręta, którego wcześniej ona komuś ukradła, więc nie ma prawa się skarżyć. Taka kradzież byłaby tak samo cyniczna jak życie.

Tak więc Nina zrobiła to, co zwykle w takich sytuacjach, jakby wcześniejsze doświadczenia niczego jej nie nauczyły.

Zadzwoniła do mamy.

— Mamo, to ja, Nina, twoja córka.

— Cześć, córeczko. To ja, twoja matka.

— Nie czuję się najlepiej — powiedziała.

— Jesteś chora? Byłaś u lekarza?

— Nie, nic takiego.

— Masz przy sobie tych wszystkich miłych przyjaciół?

— Tak, tak. Są wspaniali. Milczenie.

— Zdaje się, że jesteś smutna. Coś się stało?

— Nie, wszystko w porządku.

— Powiedz, co się stało. Śmiało, wszystko możesz mi powiedzieć.

— Nic.

— Jak to nic? To skąd ten głos? Nie widzę cię, ale wiem, że jesteś smutna. Jestem twoją matką. Matki potrafią wyczuć takie rzeczy.

— Co za przenikliwość — stwierdziła Nina, starając się, żeby to nie zabrzmiało zbyt sarkastycznie.

— No to mi powiedz.

Znowu milczenie. Nina zastanawiała się, jak to ująć w słowa.

— Zakochałam się, mamo.

— No, to świetnie.

Nina rozplakała się.

— Przecież to powinno cię uszczęśliwić.

Te słowa Ninę rozbawiły.

— Wiem o tym.

— To postaraj się tym razem tego nie schrzanić.

Zawsze to samo: uderzenie w jedną skroń i w drugą, a potem nagle cios w brzuch. Kiedy ona wreszcie przestanie zadawać te wszystkie pytania i zrozumie, że istnieją pewne granice? Nie wszystkie matki potrafią znieść rozczarowanie swoimi córkami.

— No to dzięki, mamo, za wsparcie. Niedługo zadzwonię.

— Nie chciałam... — słyszała jeszcze Nina, gdy odkładała słuchawkę.

Potem Nina długo nie miała dla mamy dobrych wiadomości, a jednak, jakimś cudem, i na nie przyszła pora.

23

I co mnie tak dziwi? — zastanawiał się Billy, kiedy rozpakowywał swoje zniszczone torby, wieszal nudne ciemne garnitury z powrotem do ciasnej szafy w starym mieszkaniu na West 49 ulicy, w obskurnej, ale „coraz modniejszej” — jeśli wierzyć „New York Timesowi” (tak, a on jest Slidem Hamptonem) — dzielnicy Hells Kitchen. Przecież już to przerabiał i według wszelkich znaków na niebie i ziemi czeka go to jeszcze niejedyn raz, chyba że ludzkie zamięłowanie do chaosu i głupoty dobiegnie końca. Tyle że jedynym sposobem, aby tak się stało, byłoby oderwanie się Ziemi od swojej osi, kilkakrotne okrążenie przez nią Słońca i wylądowanie w jakimś cholernym kraterze na Jowiszu. Nie ucieknie od tego: od siebie samego, od tej nieuniknionej symbiozy. Stanowią przykład skrajnej współzależności. Są braćmi i muszą się liczyć z konsekwencjami, które z tego wynikają. Od zarania ludzkich dziejów między braćmi istnieje rywalizacja, zazdrość, pretensje. Billy i Daniel, dumnie kroczący śladami Kaina i Abla.

Owszem, musi przyznać (nie da się tego ukryć), że jest wkurzony. Nic nigdy tak go nie wyprowadziło z równowagi. Ani wtedy, gdy Daniel wykorzystał jego pracę, ani gdy skradł mu Elizabeth, ani gdy wyjechał, ani gdy wrócił. Kocha brata, zawsze go kochał. I wie, że Daniel też go kocha. Są przecież braćmi — bliźniakami — a bracia tak właśnie postępują: kochają się i wspierają wzajemnie. I odbijają sobie dziewczyny. A przy tym chętnie by się pozabijali. Jeden drugiemu chętnie poderznąłby gardło, żeby go więcej nie oglądać.

Billy poczuł strumienie potu tryskającego z porów niczym wodospad Niagara na wiosnę. Lewa część twarzy to strona kanadyjska, a prawa to teren starych dobrych Stanów. Potarł prawym palcem o lewą dłoń — musi wiosną jechać nad Niagarę. Odbyć rejs na pokładzie „Maid of the Mist”. Iść na śniadanie do IHOP. W takim miejscu chyba jest restauracja IHOP?

Brakuje mu Sida. Jezu, teraz będzie musiał kupić psa. Nie, nie kupić, jak to zrobił jego kopnięty braciszek, bo przecież jest tyle bezpiecznych zwierząt w najróżniejszych schroniskach i przytułkach. Pójdzie jak najszybciej i weźmie jakiegoś kundla, który potrzebuje ciepła i miłości. Tak, tak robi. Pomogą sobie wzajemnie. Co nie znaczy, że nie kocha Sida. Kocha.

Tęskni też za nią. Minął dopiero tydzień. Właściwie to minęły cztery dni, siedem godzin i trzydzieści sześć minut od chwili, kiedy zastał Ninę w łóżku, a raczej na podłodze, z Danielem. Zarzekała się, krzyczała, że sądziła, iż Daniel to on, ale jak może mieć pewność, że nie przespała się z Danielem właśnie dlatego, że to Daniel, który ma w sobie to coś, to nie wiadomo co, przez co kobiety pchają mu się do łóżka.

No tak. Oto zstąpił w objęcia szatana i zaczął używać, przynajmniej w swoich chorych myślach, języka piekieł.

Wyjął puzon. Złożył go. Zwilżył językiem ustnik, dmuchnął. Myśląc o niej. Były tu jej usta. Jej usta. Jej twarz. Jej uśmiech. Tamten pocałunek.

Najpierw zagrał kilka gniewnych bluesów. Rozpaczwał, improwizował. Przerwał, żeby zaczerpnąć tchu, położył puzon czarą w dół między swoimi nogami i przypomniał sobie zalaną łzami, zaskoczoną twarz Niny w chwili, gdy poznała prawdę — ból i gniew tak zniekształcił jej piękne rysy, że zamieniły się w coś całkiem mu obcego. Zrobiłby wszystko, żeby w przyszłości oszczędzić jej takiego wyglądu. Zrobiłby wszystko, żeby nigdy już jej nie zranić i nie dopuścić, aby ktokolwiek zadał jej ból. To jest kobieta, która zasługuje na to, by być uśmiechniętą i kochaną.

Chwycił za puzon i zagrał.

Grał dla niej piosenkę, którą, jak sądził, na pewno zna i na pewno uwielbia. Grał *All I Need Is the Girl* z musicalu *Gypsy* — powoli, melancholijnie, z uczuciem, z głębi serca. I chociaż nie znał słów, to widział przed sobą twarz Niny, poruszającej ustami za melodią, której dźwięki to się wznosiły, to opadały.

24

Każde uzalanie się nad sobą kiedyś się kończy. W przypadku Niny nastąpiło to po czterech dniach, siedmiu godzinach i trzydziestu sześciu minutach. Po tym czasie miała już dosyć samej siebie, łóżka, wszystkiego. Zachciało się jej jeść, ale w całym domu nie było w co wbić zębów. Rzuciła okiem w lustro i przestraszyła się. Jej pies, Sam, nie odzywał się do niej, a to, że w ogóle tego od niego oczekiwała, przeraziło ją jeszcze bardziej. Cały ten czas w ogóle nie słuchała muzyki i już zaczęła się martwić, że bezpowrotnie zapomni słów wszystkich piosenek.

Tak więc w końcu, z całą werwą i entuzjazmem dawnej Niny powiedziała: „Dość tego!” po czym wyszła z łóżka, zwlokła pościel i zmieniła na świeżą. Wzięła prysznic, ubrała się, zrobiła makijaż i wyprowadziła Sama i Mimi. Potem poszła do sklepu, w którym kupiła jajka, sok, chleb, makaron, warzywa, owoce i trochę ciastek. Nie da się długo wytrzymać bez ciastek.

Był już koniec sierpnia. Lato minęło z szybkością pociągu ekspresowego. Dopiero na stacji końcowej człowiek zdaje sobie sprawę z tego, jak szybko jechał, a podczas jazdy, choćby nie wiadomo jak pędził, podróż dłuży się niemiłosiernie. Tak samo Nina przeżywa lato. Każdy upalny dzień wlecze się, topnieje w tym żarze i miesza z dniem następnym, ale w chwili gdy lato się kończy, ona nagle jest zdziwiona, jak szybko ten czas zleciał.

Leżenie w łóżku działo cuda. Nina mogła płakać, szlochać, zawodzić i pograć się we własnym smutku i bólu, na co normalnie nie jest w stanie sobie pozwolić. To okazało się zbawienne.

W całej tej historii z Danielem, zamiast z Billym, nie daje jej spokoju myśl, jak bardzo musiała go zranić. Chodzi o Billy'ego. Nie potrafi sobie nawet wyobrazić, jak on się czuł, gdy zastał ją nagą z Danielem, swoim bliźniakiem. Jakiegokolwiek kłamstwa jej opowiadał, nie mogą się one równać temu, co ona mu zrobiła.

Przyznaje, kocha go. Szaleje za nim. Boli ją myśl o tym, że go skrzywdziła. No więc kłamał. Musiał mieć powód, żeby podszywać się pod brata. Czyli nie jest tym, za kogo go uważała, ale jest kimś więcej. Jak mogłaby go nie pokochać? Nie jest może facetem z czołówki jej listy marzeń, ale powszechnie wiadomo, do czego nadają się wszelkie listy.

Jest jeszcze coś. Tęskni za Bonem. Za jego żartami, cytatami z filmów, dziwaczną fryzurą, niemal za wszystkim, co z nim związane.

Brakuje jej też Claire. Najlepszej przyjaciółki, z którą zbyt długo nie rozmawiała „od serca”. Tęskni nawet za Isaiahem, którego darzy uczuciem dlatego, że on kocha Claire.

I wreszcie Sam. Zaniedbywała go. Widać, że nie jest szczęśliwy w towarzystwie Mimi, ale ona zupełnie to ignorowała. Biedna psina prawie już nie opuszcza swojego legowiska. Leży tam, podnosi uszy, kiedy słyszy hałas, posępnie rozgląda się za Mimi, a gdy widzi jej tańce, z powrotem kładzie łeb na łapach. Wspaniały, inteligentny i żwawy towarzysz Niny zamienił się w żalostną istotę z rodziny psowatych.

A wszystko to przez leżenie w łóżku przez cztery dni, siedem godzin i trzydzieści sześć minut. Teraz ma dużo do zrobienia. Spojrzała na Sama, przygnębionego, zwiniętego w kłębek na swoim posłaniu i już wiedziała, co musi zrobić w pierwszej kolejności. Chwyciła Mimi i wyszła.

Pani Chandler podeszła do drzwi z drinkiem w dłoni i natychmiast zaproponowała Ninie jednego.

— Nie, dziękuję. Wolałabym coś antydepresyjnego. Pani Chandler uśmiechnęła się do małego pieska, którego Nina przyprowadziła na smyczy, i uniosła brwi:

— A cóż cię sprowadza? Co się dzieje?

Pogłaskała pieska po łebku, zamknęła drzwi i dała znak Ninie i psu, żeby udali się za nią do gabinetu.

Nina zauważyła, że Safire siedzi na swoim stałym miejscu i jak zawsze wpatruje się w ścianę. Spojrzała na panią Chandler — z wódką w ręku, mieszkającą w tym wielkim domu, jedynie z psem, który nie ofiaruje jej niczego. Przeniósła wzrok na Mimi.

— Wie pani — zwróciła się do pani Chandler — chyba dobrze by pani zrobił miłszy pies, taki, który jest czuły i wrażliwy. Który byłby dobrym kompanem.

— Zamiast mężczyzny, to chciałaś powiedzieć?

— Nie, lepszy od mężczyzny. Psy nie kłamią. Nigdy nie udają kogoś, kim nie są. Są szczerze, lojalne, do końca uczciwe.

Pani Chandler roześmiała się.

— Nie mogę mieć dwóch psów. Safire by na to nie pozwolił — obróciła głowę, żeby spojrzeć na swoje beznadziejne psisko. — Nie, jesteśmy na siebie skazani. Gdyby był mężczyzną, to co innego. Miałam już pięciu „eks”, więc wiesz, co bym zrobiła.

— Pięciu mężów — powiedziała Nina w osłupieniu. — Ojej, a ja miałam tylko jednego. A i tak źle wybrałam. Nie umiem wybrać koldry, więc czemu miałabym dobrze wybrać męża?

— Proszę, usiądź, moja droga — powiedziała pani Chandler, klepiąc dłonią w poduszkę obok siebie. — W sprawach małżeństwa i stosunków damsko-męskich wykazuję się sporą przenikliwością. Co prawda, może w praktyce nie jestem najlepsza, ale za to mam duże doświadczenie.

Nina usiadła na kanapie. Dostrzegła, jak piękna jest Constance Chandler. Gdyby istniał model dziewczyny, czy raczej kobiety, symbolizującej uroki wieku średniego, promowany na plakatach, byłaby to pani Chandler.

— Wybór mężczyzny jest jak kupowanie kanapy.

Nina się roześmiała.

— To ciekawe — powiedziała.

— Każdy szuka w kanapie tego samego — ciągnęła pani Chandler, gładząc delikatną skórę własnej — wygodny i piękny. Kanapy, na którą przyjemnie jest patrzeć i z którą przyjemnie jest spędzać czas. Niektórzy wybierają taką, która jest zbyt stylowa dla ich potrzeb i nie wytrzymuje próby czasu. Tandetne wykonanie sprawia, że jej żywot jest krótki. Słońce, cień, kto wie... może wyblaknąć, kiedy tylko opadną emocje.

Bywa, że gdy nie inwestuje się czasu ani wysiłku w znalezienie idealnej kanapy, kończy się tym, że kupujemy niewłaściwą. Perkal, gdy się szukało pasków, albo jedwab, gdy się marzyło o moherze. Taki zakup też odbije się czkawką.

I nagle trafiasz na używaną kanapę na chodniku. Płacisz kilku krzepkim licealistom po dziesięć dolców za wniesienie, wymieniasz tapicerkę i okazuje się, że jest idealna. Najlepsza, jaką kiedykolwiek miałaś.

Pani Chandler odchyliła głowę w tył, śmiejąc się.

— Czasami najcenniejsze jest to, czego inni nie potrafią docenić. Może dlatego jeszcze nie znalazłaś idealnego mężczyzny. Szukasz idealnej kanapy.

— A ona nie istnieje, prawda? — powiedziała Nina.

— Ależ istnieje. Tylko zwodzi cię czerwona skóra, a nie widzisz wewnętrznej konstrukcji. Może ona potrzebuje tylko niewielkiej przeróbki, zmiany obicia. Nie mówię o zwykłej narzucie. Mówię o takich przeróbkach, które mają wpływ na sprężyny, obudowę, serce samej kanapy.

— Ja już znalazłam taką kanapę.

— Billy'ego.

— To pani wie, że on ma na imię Billy? — Nina była wyraźnie zaskoczona.

Pani Chandler skinęła głową.

— Jest wyjątkowy. To taka wyrzucona, niedoceniana kanapa, którą ktoś, kto ma dobre oko, odkrywa na chodniku, zabiera do domu i trochę oczyszcza. Wystarczy nieco wysiłku, wyobraźni, uczucia i ta kanapa zadziwi cię swoją wygodą. Ideał dla odpowiedniej osoby. Słuchaj: ja, zawsze pragmatyczna, stałam się sentymentalna. Ale w przypadku Billy'ego tak istotnie jest.

Przerwała, zaproponowała Ninie papierosa, a kiedy ta odmówiła, sama zapaliła i pociągnęła łyk wódki z wodą sodową.

Nina myślała o tym, że Billy ciągle ją zaskakuje.

— Jest niezwykły, prawda?

— Zwłaszcza jak na agenta skarbowki. Nina aż otworzyła usta ze zdziwienia.

— Izba kontroli skarbowej, ściśle mówiąc.

— Myślałam, że jest prawnikiem.

— Daniel, jego brat, jest, zdaje się, adwokatem rodzinnym.

Nina już całkiem zgłupiała.

— Ale izba skarbowy, na miłość boską? Co on robi? Dlaczego mieszka u Daniela? Dlaczego podszywał się pod niego? Zaraz zaraz... on sądzi, że ja nie płacę podatków. Założę się, że o to chodzi. Rozpracowuje mnie.

— Nie wyciągajmy pochopnych wniosków. Weź głęboki wdech.

Nina zrobiła, co jej kazano. Pani Chandler kontynuowała:

— Obawiam się, że Billy'emu chodzi o mnie. Nie jest pierwszy ani ostatni. Oni myślą, że jestem... Boże... dilerem narkotyków! Wyobrażasz sobie? Jedyne narkotyki, z jakimi mam do czynienia, to leki nasenne na receptę — zaczęła się śmiać. — Albo podejrzewają, że przemycam jakieś nielegalne towary — z trudem powstrzymywała śmiech. — Owszem! Mam w szafie pełno podróbek toreb Kelly. Niech mnie aresztują, proszę bardzo! Albo myślą, że pierzę brudne pieniądze. Jedyna pralnia, jaką znam, to ta chińska na rogu, która zapewnia też odbiór i dostawę do domu, o czym warto pamiętać — zakończyła, jakby była to zwykła sąsiedzka pogawędka.

Teraz Nina była tak samo rozbawiona jak pani Chandler.

— Brak im po prostu wyobraźni i inteligencji, żeby wymyślić coś innego, co kobieta, no cóż, w pewnym wieku, mogłaby robić, żeby zdobyć mnóstwo gotówki.

Nina milczała, czekając, aż pani Chandler rozwinie tę myśl.

— Nie przyszłoby im do głowy, że kobieta może być, no... świetnym...

Nina ciągle milczała, czekając. Nic z tego. Mimo to była pod wrażeniem. Mieć tyle gotówki, żeby wzbudzić zainteresowanie ministerstwa skarbu, ho, ho! Jednocześnie była zła. Billy nie tylko nie jest Billym, ale też nie jest prawnikiem, co zresztą przyniosło jej pewną ulgę. Ale agent kontroli skarbowej? Urzędnik państwowy?

Nagle wszystko nabrało sensu: te ciemne garnitury, dziwaczne buty, sztywny sposób chodzenia... każdy stereotyp dotyczący skarbówki... z wyjątkiem tego, co jest częścią samego Billy'ego.

— Nigdy nie zostawią mnie w spokoju — powiedziała pani Chandler ze smutkiem, przerywając Ninie te odkrywcze myśli — zawsze już będą mnie ścigać, śledzić, tropić, obserwować. Całe życie, czyli nie tak znowu długo. Wyobrażasz sobie, że przysłali do redakcji „Miasta i Wsi” dwóch facetów w ciemnych garniturach z bronią i z nakazem rewizji, żeby przeszukali dokumenty? W porównaniu z tym Billy to sam miód. Ale wiem, że nie zawsze będzie się mną zajmował Billy. Przyślą na jego miejsce jakiegoś regulaminowego urzędasza od przekładania papierków. Tego jestem pewna.

Safire przywłókł się do nich, może z zamiarem zachęcenia Niny, żeby go wyprowadziła, ale zatrzymał się na widok Mimi, która natychmiast zaczęła ujadać. W odpowiedzi Safire odwrócił się i wbił wzrok w kanapę.

— O, to dziewczyna w moim typie — ze śmiechem stwierdziła pani Chandler. — Jest bardzo przebojowa, ta mała Mimi, prawda?

— Bardzo.

Nina podniosła Mimi i podała ją pani Chandler.

Ta wzięła na ręce kudłatą kulkę i przyłożyła nos do jej pyszczka. Wpatrywały się w siebie nieruchomo. Żadna nawet nie mrugnęła, nie odwróciła wzroku. Po chwili Mimi polizała panią Chandler po twarzy. Położyła łapę na jej policzku. Nina mogłaby przysiąc, że widziała miłość w oczach pani Chandler, gdy całowała mordkę Mimi najpierw z jednej strony, potem z drugiej. Tak, to była miłość od pierwszego wejrzenia.

— Chciałabym zawrzeć z panią układ.

— Brzmi zachęcająco — odparła pani Chandler.

— Proszę mi dać Safire'a. Znam dobre miejsce dla niego.

— Chyba nie schronisko!

— Nie...

— I nie cmentarz! — pani Chandler patrzyła na nią podejrzliwie.

— Nie, nie! Dom. Idealny. Z panem, który chce mieć psa... jeszcze o tym nie wie, ale chce... właśnie takiego jak Safire.

— Skoro to ma być układ, rozumiem, że coś dostanę w zamian?

— Zatrzyma pani Mimi.

Pani Chandler wyciągnęła przed siebie ręce, w których trzymała Mimi, i przyglądając się jej, chwilę się namyślała.

— Zgoda — powiedziała z uśmiechem — zawieramy umowę.

I uściśnęła Mimi, aż ta zapiszczała — jak wydało się Ninie — z radości.

Nina wyszła z Safire'em. Teraz czekało ją odebranie Che i namówienie Bona na przechadzkę.

Gdy się zbliżała do budynku, zobaczyła Bona pod zieloną markizą w towarzystwie portiera. Wyglądał jak zbity pies; z rękami w kieszeniach i spuszczoną głową kopał puszkę.

— Hej! Bono! — krzyknęła Nina.

Chłopak uniósł głowę, spojrzał na nią i odwrócił się. Jednak po uniesieniu kącików ust poznała, że ucieszył się na jej widok, choć nie chciał tego okazać.

— Co porabiasz? Chcesz iść na spacer?

— Nie mogę.

— Czemu? Nie wyglądasz na zajętego.

— Mama mi nie pozwala chodzić z nieznajomymi.

— Nie jestem nieznajoma.

— Jesteś.

— Nie jestem. No, coś ty, Bono — powiedziała, niemal kucając, tak że jej twarz znalazła się na wysokości jego twarzy. — Przepraszam. Wiem, że zachowałam się okropnie, ale byłam...

— Oszustką.

— Zgoda. A teraz proszę, wybacz mi. No chodź, chodźmy na spacer...

— Ale nie jesteś moją mamą.

— Pewnie, że nie.

— No więc nie muszę.

— Nie, nie musisz. Ale byłoby fajnie, gdybyś chciał. A gdzie Che?

— W środku. Z mamą.

— Wróciła. To dobrze.

Jeszcze przed ich ostatnim spotkaniem jego mama wyjechała w ostatnią tego lata trasę koncertową U2.

— Ale dzisiaj znowu wyjeżdża — dorzucił z rękami w kieszeniach i wzrokiem wbitym w ziemię.

— Myślałam...

— Przedłużyli. Jeszcze dwa tygodnie. Bono jest głupi. Ostrożnie położyła dłoń na jego głowie.

— On nie chce. Jestem pewna. Gdyby wiedział, byłby bardzo...

— Nienawidzę tego, że mamy takie samo imię. Nienawidzę. On jest Bono numer 1, a ja Bono numer 2. Nienawidzę też mamy.

Wtedy Nina objęła go, spojrzała na niebo, które tego dnia miało żółtawy odcień, westchnęła głęboko i powiedziała:

— Wejdźmy i porozmawiajmy z nią.

— Nie możemy. Odpoczywa. Pakuje się. Wiesz, te podróże są... męczące. Powinna po prostu zostać.

— Chodź — Nina nie dała za wygraną i wepchnęła go do budynku i na schody.

W domu było ciemno. Słysząc było tylko szum działającej klimatyzacji.

— Tak cicho. Za cicho — powiedział Bono głosem jak z horroru.

— Gdzie...?

— W jej sypialni.

— Zaczekaj tu. I ani słowa. Oglądaj telewizję albo coś.

— Nudzi mnie telewizja — jęknął. Nina przejechała dłonią po jego włosach.

— To dobry znak. Posiedź tam z Che — ten spał na podłodze i nawet nie usłyszał, jak weszli — i popilnuj Safire'a... Chociaż on nigdzie nie pójdzie. Poczytaj coś czy co. Wróć za minutkę.

— Wtedy będę mógł iść z tobą wyprowadzić psy?

— Obiecuję.

— Daj palec.

Wyciągnęła w jego stronę mały palec prawej ręki.

— Podwójnie.

Każde skrzyżowało własne nadgarstki, podwijając wszystkie palce z wyjątkiem najmniejszych, którymi szczepili się wzajemnie w geście obietnicy i potrząsnęli trzy razy.

— Jeśli tego nie dotrzymasz...

— Dotrzymam. Nigdy przenigdy nie złamię danej ci obietnicy i postaram się nigdy już więcej nie powiedzieć ci nic tak bolesnego.

— Umowa stoi.

— Ale jestem tylko człowiekiem, nie ideałem, chociaż lubię myśleć, że jestem idea...

— No dobra już! — Bono się uśmiechnął. Usiadł obok Che na podłodze i pogłaskał go.

W głębi ciemnego przedpokoju — obwieszzonego zdjęciami pani Armstrong z koncertów U2 niemal na całym świecie, od Kalifornii po New Jersey, Paryż, Monachium — Nina ujrzała światło przedostające się przez szczelinę pod drzwiami. Podeszła do nich i lekko zapukała.

— Bono, odpoczywam. Proszę, daj mi spokój.

— Pani Armstrong, to ja, Nina, opiekunka psa. Czy możemy chwilę porozmawiać?

— Ale... Nino, czy Bono ci nie mówił, że jestem zajęta? Ja...

Nina otworzyła drzwi. Pani Armstrong, która leżała w łóżku, usiadła i spojrzała na nią oskarżycielskim wzrokiem osoby zaprzątniętej własnymi sprawami — przypomniała Ninie ją samą w niektórych momentach.

— Co to? Czy coś się stało Che? Co może być tak ważnego...

— Bono... pani syn, Bono, nie ten Bono, na którego punkcie ma pani bzika... On jest taki ważny. Czy może pani już zapomniała, że ma syna?

— A kim ty, do diabła, jesteś, żeby mi mówić...

— Zatrokanym obywatelem. Przyjacielem pani syna. On bardzo cierpi, pani Armstrong. Potrzebuje pani.

— Co ty wiesz...

— Nic. Wiem tylko, że to smutne dziecko. Wiem, że całe lato nie ma co robić, bo go pani nie zapisała na żaden obóz albo jakiś kurs, nie ustaliła mu pani czasu zabaw ani w ogóle się nim nie zajmowała. Opiekuje się swoim chorym psem...

— Che jest chory?

— Jest stary, głuchy, ledwo chodzi.

— A zresztą, Bono nie chciał, żeby go zapisać na...

— Jak każde dziecko, on chce, potrzebuje przyjaciół i ruchu. Na miłość boską, on siedzi przed telewizorem cały dzień, codziennie. Chyba że jest ze mną, na spacerze z psami. Jest samotny.

— Przecież ma opiekunkę. Zabiera go w różne miejsca.

— Wie pani, co ta opiekunka robi cały dzień? Czyta. I narzeka, i je, i gada przez komórkę. To nie jest towarzystwo dla pani syna, który, gdyby pani nie wiedziała, jest bystry, dowcipny, niezwykły, wrażliwy, wspaniały. Wezmę go, jeśli pani go nie chce.

Po tych słowach pani Phyllis Armstrong wstała, kołysząc biodrami i patrząc na rozmówczynię oczami tak zimnymi i złymi, jak u pitbuli Isaiaha, podeszła zatrzważając blisko Niny oraz uniosła wysoko prawą rękę.

— Wynoś się! Wynoś się z mojego domu. Kim ty, do diabła, jesteś, żeby tu przychodzić i robić mi wykład na temat mojego dziecka? Kocham swoje dziecko — wrzeszczała — kocham Bona, mojego syna Bona, nie tego drugiego, bardziej niż cokolwiek na świecie!

Nina odpowiedziała szeptem, może dla zrównoważenia tych wrzasków:

— To mu to okaż. On cię potrzebuje, Phyllis. Potrzebuje żyć. Potrzebuje twojej uwagi. Potrzebuje cię w domu.

Mama Bona rzuciła się biegiem w głąb korytarza, a Nina za nią. Bono siedział na podłodze dokładnie tam, gdzie go zostawiła, głąkał Che i czekał na zakończenie tej historii.

Teraz pani Armstrong już płakała. Opadła na podłogę i chwyciła syna w ramiona.

— Czy to prawda, co Nina mówi?

— Co? Że asteroid ma uderzyć w Ziemię i życie przestanie istnieć? Nie, nieprawda.

— Ja nie żartuję, kochanie. Czy naprawdę czujesz się...? Pokiwał głową.

— Chyba tak.

— Przepraszam. Nie wiedziałam... Czekaj... — coś jej przyszło do głowy.

Rozpogodził się.

— Co? — zapytał.

— Już wiem! Może byś pojechał ze mną?

Widać było, że Bono sceptycznie odnosi się do jej pomysłu.

— Właśnie, jedź ze mną. Na pewno ci się spodoba. Muzyka i tłumy. Zdobędę dla ciebie przepustkę za scenę. Będiesz mógł go poznać. Jest bardzo miły. Naprawdę. I robi takie ważne rzeczy. Jedź ze mną!

Bono wyglądał na tak zawiedzionego, że aż żal było na niego patrzeć. Czy ona nic nie rozumie? Spuścił wzrok i rozplakał się. Oczy Niny wypełniły się łzami. Co za głupia samolubna baba!

Wielu osobom łzy przychodzą zbyt łatwo, ale dla pozostałych mogą być świetnym lekarstwem.

— Och, mój malutki — powiedziała mama Bona-dziecka. — Nie wiedziałam. Przepraszam, ale nie wiedziałam.

I ona też zaczęła płakać, zwiększając tym samym do trzech liczbę osób siedzących na podłodze w ciemnym korytarzu i rozczulających się nad małym chłopcem potrzebującym matki. Objęła syna i mocno przytuliła. Z początku usiłował się jej wywinąć, ale potem poddał się mocnemu uściskowi.

Wtedy Bono spojrział na Ninę i uśmiechnął się przez łzy. Nina nigdy nie zapomni tej chwili, tego spojrzenia, jego twarzy. To było wszystko, czego potrzebował. Podstawa. Mieć mamę, być przez nią kochanym, skupiać na sobie całą jej uwagę. Być dla niej Bonem numer 1. Żeby ona była jego fanką numer 1. Mieć ją w domu.

— Tylko mammo... — odezwał się — mogłabyś przestać nazywać mnie Bono?

Mama odsunęła go trochę od siebie, żeby lepiej widzieć jego twarz.

— Oj, kochanie. Oczywiście, pewnie. A jak chcesz, żeby cię nazywać? Możemy używać twojego drugiego imienia, Van.

— Nie, nie chcę być nazywany na niczyją cześć. Chcę mieć własne imię. Zwykle, proste.

— No dobrze. Na przykład jakie?

— Choćby Bob.

— Może być Bobby?

Uśmiechnął się.

— Bobby jest super.

I mocno przytulił się do mamy.

— Idziesz, Bob? — zapytała Nina, która już wstała, żeby wyjść. Pokazała mu swoje małe palce, przypominając o niedawno złożonej obietnicy.

— Nie... idź sama — odpowiedział, ocierając łzy i kładąc głowę na ramieniu matki.

Nina szła za ciosem. Jak w przypadku Myszkowania, które zaczęło żyć własnym życiem, tak jej Interwencja zdawała się istnieć jako osobna, niezależna, żyjąca istota. Wykonanie pierwszego śmiałego czynu jest trudne, prawie niemożliwe, ale gdy już się go zrealizuje, następny akt odwagi przychodzi łatwiej, kolejny jeszcze łatwiej, aż ta brawura staje się czymś naturalnym i istniejącym niezależnie. Jak Myszkowanie.

Tak więc gdy Nina, Safire i Che dotarli do mieszkania Jima Osbourne'a, gdzie zastali smutną Lucę, odchodzącą od zmysłów na maleńkiej przestrzeni za barierką dla dzieci, podczas gdy Jim zabawiał się w salonie z jakimiś typkami z telewizji, Nina zrobiła to, co zawsze: zdjęła smycz z haczyka, przypięła ją do obroży, powiedziała czule: — Cześć, panienko, chcesz iść na spacer? — i wyprowadziła Lucę za drzwi.

Wtedy wzięła głęboki oddech... i zostawiła Safire'a w mieszkaniu Jima. Odpięła mu smycz i powiesiła ją na haczyku, a Safire, ujrawszy maleńką ogrodzoną przestrzeń i wyczuwając pana, który nie będzie zwracał

na niego uwagi, natychmiast poczuł się jak w domu. Po raz pierwszy Safire popatrzył Ninie w oczy. Mrugnął, a potem się odwrócił, żeby poprzez kraty wgapiać się w mieszkanie. Oczywiście, Nina nie mogła być pewna, ale zdawało jej się, że chciał jej powiedzieć: „Tak”.

Gdy już czekała na windę, usłyszała wrzask z wnętrza mieszkania:

— Co jest? GDZIE JEST MÓJ PIES?

O Boże, pomyślała, gdzie jest ta winda? Szybciej, no, szybciej! W duchu zbierała siły do konfrontacji, spodziewając się, że za chwilę drzwi do mieszkania Jima otworzą się i rozzłoszczony gospodarz rzuci się na nią, ale właśnie nadjechała winda. Przed zjazdem w dół Nina jeszcze chwilę przytrzymała drzwi, nasłuchując. W mieszkaniu panowała cisza. Uśmiechnęła się. Była pewna, że Safire mrugnął do Jima i nawet Jim musiał przyznać, że to jest pies, jakiego zawsze pragnął.

Następnie wróciła z Lucą i Che do Bobby'ego. Ten chłopak potrzebuje psa pełnego energii, lubiącego się bawić, ganiać za piłką, przynosić kość. Che niedługo zdechnie, a Bobby'emu bardzo potrzebny jest pies, który by go zastąpił. No to teraz go ma. Potrzebuje ruchu i odpowiedzialności, a Luca potrzebuje towarzysza, który by się z nią bawił, docenił i obdarzył uczuciem. Na Boga, skoro ludzie nie potrafią dobrać sobie odpowiedniego psa, ona będzie to robić za nich. Kto lepiej od niej umie wyswatać psa z człowiekiem? Dobrze zna potrzeby psów, zwyczaje ludzi, i wie, kto się dla kogo nadaje. Roześmiała się w głos, jadąc windą w dół. Oto stała się cholerną swatką. Wejdź na swatka.com! Nadchodzi Nina! Zaczęła sobie podśpiewywać piosenkę *Swatka ze Skrzypka na dachu*:

O swatko, ma swatko, daj mi lubego

*Pieska miłego, pieska godnego**.

Słowo „pieska” pochodziło oczywiście od niej.

Potem poszła do siebie po Sama. Od razu zauważył, że wróciła bez Mimi. Szczeknął, podskoczył zadowolony, wdzięczny. I wyszli na spacer tylko we dwoje.

Tego wieczoru Nina kładła się spać z Samem u boku i z poczuciem niemal pełnego zadowolenia. Gdyby nie ta olbrzymia pustka, którą pozostawił po sobie Billy! I złość, którą wciąż czuła do Daniela za to, że tak ją wykorzystał.

Zasypiając, Nina myślała o prawdziwej odwadze. Owszem, dużej odwagi wymaga przyznanie się do swoich pragnień, odkrycie tego, co czyni nas wyjątkowymi. Jeszcze większą odwagą jest podążanie za tymi pragnieniami.

* Przekład Antoniego Marianowicza: „O swatko, ma swatko, daj mi lubego/kogoś miłego, męża godnego”.

Odwagi wymaga znalezienie psu odpowiedniego domu, szczególnie gdy sytuacja temu nie sprzyja. Odwagi wymaga granie na puzonie. Odwagi wymaga udział w przesłuchaniu do jakiegokolwiek roli i domaganie się praw, które słusznie i prawnie się człowiekowi należą. Wszyscy wokół niej są odważni. Nikt jednak bardziej niż ci, którzy mają odwagę kochać: Bono, to znaczy Bob, i jego mama, nawet pani Chandler i Claire z Isaiahem. Kochać kogoś to prawdziwa, największa, płynąca prosto z serca odwaga.

Nina zasnęła przy poświęceniu sierpniowego księżyca, z nadzieją, że i ona odnajdzie w sobie ten rodzaj odwagi. Jutro zobaczy się z Billym i wtedy się przekona.

25

Najpierw jednak musi wyjaśnić pewne sprawy z Danielem. Nie puści mu tego płazem. Nie jest i nigdy nie była osobą, która pozwoliłaby sobie w kaszę dmuchać. Oto ma przed sobą człowieka, który jest tak pewny siebie, tak płytki i przyzwyczajony do wykorzystywania innych, że trzeba mu dać małą lekcję, jak powinno się traktować bliźnich. A któż mógłby to zrobić lepiej od niej? W końcu jest Strażnikiem Psych Odchodów.

Tak więc pierwszą rzeczą, jaką zrobiła rano — a rano oznacza tu 5.30, bo wiedziała, że o tej porze on będzie jeszcze w łóżku — było udanie się z wizytą do Daniela. Pozdrowiła Pete'a i własnym kluczem otworzyła drzwi, których uchylenie nie było łatwe, bo zaraz za nimi spał Sid. Nina popchnęła je kilka razy i pies się obudził. Jak tylko weszła, Sid tak się ucieszył, że oparł łeb na jej biodrze, a ogon kiwał mu się jak metronom w takt radosnej melodii. Sid nie sypiał już w sypialni, tylko przy drzwiach frontowych — może czekał na powrót Billy'ego. Nina podrapała go za uszami i ucałowała w pysk.

— Nie martw się. To była twoja ostatnia noc w tym mieszkaniu — powiedziała do Sida. On, jakby zrozumiał, usiadł cicho przy drzwiach i czekał.

Usłyszała dobiegające z sypialni chrapanie i rozbawiło ją, że nawet on, taki księżę pośród mężczyzn, jest subtelny jak hipopotam.

Chwilę później Nina stała przy łóżku Daniela, Sid siedział na łóżku, a właściwie na klatce piersiowej swego pana, a Daniel krzyczał:

— Sid, co ty wyrabiasz? Złaz ze mnie. Wynoś się stąd!

Sid jednak się nie ruszał. Ponad trzydzieści kilogramów żywej wagi przygniotło Daniela. Nina zapytała bardzo cicho:

— Gdzie mieszka Billy?

— A, to ty — uśmiechnął się Daniel. — Tęsknisz za mną?

— Proszę o adres Billy'ego — powiedziała.

Sid ani drgnął, i Daniel z trudem łapał powietrze. Podał więc Ninie adres brata. Wtedy ona oznajmiła:

— Sid idzie ze mną. Pożegnaj się.

Słyszała jeszcze, jak Daniel wrzeszczy za jej plecami:

— Ty cholerna psia opiekunko! Wynoś się z mojego domu!

Nina stała z Sidem przed drzwiami mieszkania Billy'ego i nasłuchiwała. Bała się, że wszystko popsuje, jak tylko otworzy usta, żeby to zaśpiewać. To byłby prawdziwy finał. Ona śpiewa prawie tak źle, jak dobrze Billy gra. A on gra cudownie. Oparła się plecami o drzwi, pozwalając mięśniom się rozluźnić, i osunęła się na podłogę. Siedziała tak, wsłuchując się w każdą nutę, każdy żalony jęk i każdy strumień powietrza. Nigdy dotąd nie słyszała tej piosenki granej w taki sposób: jako sentymentalną, smutną opowieść o stracie. Sid także

usiadł, pochylił łeb, postawił uszy i wsłuchiwał się, wiedząc doskonale, kto znajduje się po drugiej stronie drzwi. Aż sapał z podniecenia.

Nina milcząco poruszała wargami zgodnie z melodią: „Z tą dziewczyną cudów dokonam. Wszystkim, czego pragnę, jest ona...” Przecież ona tu jest. Za drzwiami. Wiedziała jednak, że gdy staną ze sobą twarzą w twarz, jej miłość i pragnienia zamienią się w gniew i krzyk.

Mimo wszystko musiała spróbować.

Billy usłyszał pukanie. Odłożył puzon na łóżko, podszedł do drzwi i zapytał:

— Tak? Kto tam?

Nie musiał pytać i tak wiedział. Był pewien, że to ona, tak samo jak był pewien, że Ziemia obraca się wokół własnej osi.

— To ja, Nina.

Otworzył drzwi i w jednej chwili na jego piersi znalazł się Sid, który omal nie powalił go na podłogę — żeby utrzymać równowagę, Billy odruchowo zrobił parę kroków w tył. Pogłaskał zwierzaka po głowie, ucałował na powitanie i Sid pognął zwiedzać mieszkanie.

A oto i ona. Bardziej się tego domyślił, niż ją rozpoznał, bo twarz, którą ujrzał, wydała mu się całkiem obca. Te smutne oczy, brwi unoszące się podczas rozmowy, dołek pojawiający się w lewym policzku podczas uśmiechu, choć pojawił się zaledwie na ułamek sekundy. To była twarz, do której Billy nigdy nie mógłby się przyzwyczaić.

— A więc tu mieszkasz — odezwała się.

— Jak mnie znalazłaś? Sid, jak się masz?

— No... — uśmiechnęła się i pojawił się ten dołeczek — znam twojego brata.

Billy tylko się jej przyglądał. Po chwili odwrócił wzrok.

— To co, mogę wejść?

— Pewnie. Czemu nie — odsunął się i uchylił szerzej drzwi, a gdy Nina weszła do środka, zamknął je za nią.

Stała nieruchomo, chłonąc każdy szczegół. Sterty książek i czasopism, nuty na małym stoliku. Plakaty imprez muzycznych — na jednym koncert jazzowy w Lincoln Center, na innym olbrzymi złoty puzon na granatowym tle z dużym czerwonym napisem PLAY, a na jeszcze innym słowo JAZZ napisane dużymi czarnymi literami na białym tle i nic więcej. Poza tym płyty CD od podłogi po sufit. Czarno-białe zdjęcia muzyków z instrumentami i jeszcze jakieś fotografie, które według niej wyglądały na lata trzydzieste, może czterdzieste. Pomyślała, że to jest mieszkanie, w którym można czuć się naprawdę jak u siebie. Jak mogła stracić głowę dla tamtego, nowoczesnego apartamentu bez żadnego charakteru?

— Dzięki, że przyprowadziłaś Sida w odwiedziny.

— Nie w odwiedziny. Jest twój.

Oczy Billy'ego zalśniły.

— Poszłaś do... jak...?

— Ten twój braciszek nie ma o niczym zielonego pojęcia. Ale potrafi poznać, kiedy jest na drugim miejscu. A dla Sida ty jesteś najważniejszy.

Billy był wyraźnie zadowolony.

— Napijesz się czegoś?

Do tej chwili nie zauważyła, jak u niego gorąco.

— Nie ma klimatyzacji?

— Zepsuta. Miałem zamiar iść po południu po nową.

— Pójdę z tobą. Chodźmy.

— Teraz? Czeka — nalał Sidowi wody do miski.

— No chodź. Pójdziemy się kłócić gdzie indziej — powiedziała Nina, ciągnąc go za nadgarstek w stronę drzwi.

— Będziemy się kłócić? — powtórzył, zamykając drzwi.

— A nie sądzisz, że powinniśmy?

— Chyba nie da się tego uniknąć.

— Oszukiwałeś mnie — powiedziała Nina.

— Spałaś z moim bratem — powiedział Billy.

— We wszystkim!

— Wiesz, jak to jest? Kiedy ktoś, na kim, no... naprawdę chyba ci zależy, idzie do łóżka z twoim własnym bratem? — obrócił się w jej stronę i rozłożywszy ramiona, zapytał: — Potrafisz to sobie chociaż wyobrazić?

— Nie. A jak byś się czuł, gdyby ktoś, o kim nie możesz przestać myśleć, komu ufasz, okłamywał cię cały czas, każdym słowem, jakie wypowiadał?

— Nie każdym.

— I myślałam, że on to ty! — krzyknęła.

— Myślałaś, że ja to on! — odkrzyknął. Odwrócił się w stronę okna. A potem twarzą do niej.

— Ty też kłamałaś. W wielu sprawach.

— Co...? O Boże, tu jest za gorąco. Możemy pójść po ten klimatyzator?

Wyszli. Sid znalazł sobie wygodne miejsce pod oknem, przez które wpadało do mieszkania trochę powietrza, i przeleżał tam całe popołudnie, szczęśliwy, że nareszcie jest w domu.

Gdy już się znaleźli na ulicy, Billy zatrzymał taksówkę. W środku panował przyjemny chłód. To byłoby dobre miejsce na rozmowę. Oni jednak milczeli. Zupełnie jakby potrzebowali akompaniamentu otaczającego ich świata — trąbienia klaksonów, wiercenia w asfalcie, pisku metra, płaczu niemowlęcia domagającego się butelki, warkotu odrzutowca, szczekania psa, trzaśnięcia drzwiami — by móc zaśpiewać tego bluesa pod tytułem „On-Mnie-Okłamywał-Ona-Spała-z-Moim-Bratem”, do którego wspólnego wykonania tak się rwali.

Kiedy dotarli do sklepu, poczuli tego bluesa. Może to kwestia bezpieczeństwa, jakie daje obecność w tłumie (sklep pękał w szwach, bo akurat była wyprzedaż typu: „Kup jedno, a drugie dostaniesz za pół ceny”), a może podniecało ich publiczne okazywanie wrogich uczuć.

Zaczął się, gdy dotarli do stoiska z urządzeniami klimatyzacyjnymi, które znajdowało się przy samym wejściu.

— Nie tylko nie jesteś Danielem, ale nawet nie jesteś prawnikiem — Nina musiała przekrzykiwać szum telewizorów, sprzętu muzycznego i innych urządzeń elektronicznych.

— Skąd wiesz? Bo myszkowałaś w moim mieszkaniu? Grzebałaś w moich rzeczach? W komputerze? Grałaś na moim puzonie?

— Jesteś ze skarbówki!

— A jakim cudem... — ugryzł się w język. — Skąd to wiesz?

— Od pani Chandler.

Wydobył z siebie głośnie:

— Ha! I ty, Brutusie!

Był rozdrażniony, a przy tym poczuł się podwójnie zdradzony. Owszem, ścigał ją, ale przecież zachowywał się wobec niej uczciwie i z szacunkiem. Czyż nie wytworzyła się między nimi swoista więź? Czy nie czeka na właściwy moment z przedstawieniem jej swojego planu? Czy pani Chandler tego nie wie? Czemu rozmawiała o nim z Niną?

— Ja tylko wykonywałem swój zawód. Dlatego cię okłamywałem. Nie mogłem ci powiedzieć, bo bym się ujawnił.

— I tak się wydało. Podszedł sprzedawca.

— Mogę w czymś pomóc?

— Tak — odparł Billy. — Wezmę to i to. Możecie dostarczyć jeszcze dzisiaj?

— Za dodatkowe pięćdziesiąt dolarów.

— Załatwione.

— Z nami też — powiedziała Nina.

— Posłuchaj... — zawołał Billy, chwytając ją za nadgarstek.

— Gdybym do ciebie nie przyszła, już byś się nigdy nie odezwał, prawda? Miałaś zamiar mnie olać, mam rację?

— Nie. To znaczy... tak. To znaczy...

— Razem pięćset sześćdziesiąt siedem dolarów, osiemdziesiąt centów — powiedział sprzedawca.

Nina wyrwała rękę z uścisku Billy'ego.

— Miałaś zamiar nigdy już się ze mną nie spotkać tylko dlatego, że popełniłam błąd. A zrobiłam go, bo mnie oszukałeś. A zresztą, to już się robi nudne — odwróciła się na pięcie, żeby odejść.

Tym razem chwycił ją za ramię i przyciągnął do siebie, tak że jej twarz znalazła się na wprost jego twarzy.

— Czyżby? Czy to był błąd, czy też cały czas marzyłeś o Danielu? Tym, który jeździ na nartach, jest prawnikiem, dowcipnym, rozrywkowym. Ja jestem Billy. Znasz mnie? Ten nudziarz.

— No tak, na początku, ale nie, nie... to ty... jesteś tym... — rozplakała się. — Billy, musisz mi uwierzyć, że to ty.

Puścił ją i odwrócił się.

— Ile jestem winien? — zapytał kasjera.

— Nic. Absolutnie nic mi nie jesteś winien — odpowiedziała Nina, wybiegając na zalaną słońcem ulicę. Po jej twarzy spływały łzy.

26

— Pani Chandler, skończmy to raz na zawsze — powiedział Billy, gdy już przekroczył próg.

— U mnie w porządku, a co u pana? — odparła pani Chandler.

— Mam dla pani propozycję.

— To już druga oferta w ciągu kilku dni.

— Przepraszam — powiedział Billy zmieszany. — U mnie wszystko dobrze. Miło panią widzieć. Co słyhać?

— No dobrze. Odłóżmy już te uprzejmości. Jaką to propozycję chce mi pan złożyć?

— Chcę zainwestować pani pieniądze. Zamiast posyłać panią do więzienia.

— Nie macie na mnie nic, za co mogłabym iść do więzienia — odpowiedziała pani Chandler z głośnym śmiechem, co było dla niej nietypowe.

Billy pomyślał, że jest zdenerwowana, i postanowił to wykorzystać.

— Nie zgłoszę pani, hm, tak zwanych ukrytych aktywów i zamknę pani sprawę, tak że więcej już nikt nie będzie się pani czepiał.

— Ciekawa oferta. Skąd mam wiedzieć, że może pan to zrobić? Co będzie, jak pan odejdzie... a tego jestem pewna... i przyślą na pana miejsce jakiegoś służbistę bez klasy, który będzie chciał na mojej sprawie zrobić karierę?

— Nigdy już nie będzie pani musiała otwierać drzwi ani dokumentów, ani niczego przed żadnym z nas. Obiecuję.

— Ja traktuję obietnice poważnie.

— Proszę mi zaufać.

— Tak mówił Brutus do Cezara.

Billy roześmiał się.

— No właśnie! Sprawa pani Chandler zostanie zakończona, zamknięta, niektóre informacje „utracone podczas przetasowań”.

— A co, mój drogi Billy, miałabym zrobić w zamian?

— Podarować połowę gotówki z tego mieszkania na organizację charytatywną, którą ja wybiorę.

Pani Chandler parsknęła gardłowym, radosnym śmiechem. Taka propozycja aż jej podniosła poziom adrenaliny we krwi, powodując przyjemny szumek w głowie.

— Hmm, jedną trzecią.

— Dwie trzecie.

— Mówiłeś połowę.

— W porządku. Połowa. Stoi?

— A jakąż to organizację mam wspomóc tą astronomiczną darowizną, jeśli mogę zapytać?

— Jeszcze nie ma nazwy.

— Brzmi intrygująco — wywróciła oczami. — Chyba nie jest to osobisty fundusz emerytalny Billy'ego Maguire? Dobrze zrozumiałam? Nie sponsoruję twojej ucieczki z Niną na Tahiti?

Policzki Billy'ego, zwykle zaróżowione, spurpurowiały z zażenowania.

— Z Niną? Skąd pani to...

— Widziałam się z nią. Rozmawialiśmy o... kanapach. Ale wyczułam, że wy dwoje moglibyście stworzyć uroczą par...

— To na grę na puzonie — przerwał jej.

— Co, proszę?

— Będzie pani sponsorem programu dla szkół publicznych w Nowym Jorku, który będzie zachęcał dzieci do gry na puzonie i uczył je tego.

— Puzon. Ile dzieci chce się uczyć grać na puzonie?

— To najbardziej niedoceniany z instrumentów.

— Można by się spierać, czy palma pierwszeństwa nie należy tu do akordeonu.

— Chodzi o kontakt. Jak dzieciaki będą miały okazję się z nim zetknąć i nauczyć grać, oddadzą mu swoje serca.

— No, no, doceniam pańskie wysiłki ewangelizacyjne w dziedzinie puzonu, ale powinno się dać dzieciom prawo wyboru, nie sądzi pan? Albo nie będzie pan mógł nikomu płacić za zabieranie moich pieniędzy.

— No dobrze. Będziemy promować puzon, ale jak ktoś wybierze coś innego, też będziemy go brać pod skrzydła. I będziemy uczyć jazzu. Będziemy promować naukę w każdej szkole na terenie pięciu dzielnic. Możemy nazwać tę organizację Program Instrumentów Dętych Constance Chandler.

— Może trochę inaczej, trochę bardziej... hm... lirycznie. Jeśli, oczywiście, nie ma pan nic przeciwko temu. I bez mojego nazwiska. Wolę zachować anonimowość, zwłaszcza gdy w grę wchodzi jednocześnie filantropia i... jakby to powiedzieć... zadęcie.

— Jasne — uśmiechnął się Billy.

— I rozumiem, że mogę kontynuować moją... pracę?

— Jeśli nie ma to nic wspólnego z narkotykami, nie szkodzi dzieciom ani zwierzętom, jeśli nikogo nie krzywdzi, tak.

Położyła sobie dłoń na piersiach i w egzaltowany sposób zaprotestowała:

— Ależ, za kogo pan mnie ma! Billy ponownie się uśmiechnął:

— W porządku.

— A jaka forma zapłaty? Czek, gotówka? Może przekaz?

— Wezmę gotówkę. Może być w poniedziałek? Potrzebuję kilku dni na załatwienie tej sprawy.

— Już się nie mogę doczekać.

Billy udał, że nie dostrzega sarkazmu w jej głosie, zwłaszcza że on sam nie mógł się doczekać zamknięcia tej sprawy. Wciąż brzmiało mu w uszach jej zdanie o „uroczej parze”.

Następnego dnia Billy siedział przy komputerze i czytał swój raport zamykający. Kiedy skończył, kliknął w maleńki kwadracik na ekranie, oznaczony jako „archiwum”. Wtedy pojawił się następny o nazwie: „sprawa zamknięta”. Wiedział, że nikt nie podważy jego oceny, że właśnie na jego opinię wszyscy czekają. Dla całkowitego spokoju, aby mieć pewność, że wszystko załatwił jak należy, wcisnął jeszcze „usuń” i cały plik, oprócz, rzecz jasna, raportu, przestał istnieć.

Jedynie, czego teraz pragnął, to telefonu do Niny, by opowiedzieć jej o tym, co zrobił, i jak cieszy go, że próbuje coś zmieniać: życie dzieci i swoje własne. Nie mógł jednak tego zrobić — jeszcze nie teraz, a może nigdy. Po prostu nie potrafił wyrzucić z pamięci widoku jej na podłodze z nim.

Miesiąc później Billy czytał w domu gazetę, w której ukazał się artykuł o nowym programie zajęć muzyczno-teatralnych, które rozpoczną się w październiku w szkołach publicznych Nowego Jorku. Akcji będzie patronował niejaki Billy Maguire, miłośnik jazzu, entuzjasta puzonu, były urzędnik państwowy. O anonimowym darczyńcy wiadomo tylko, że to kobieta o znacznych dochodach niewiadomego pochodzenia.

Pani Chandler siedziała w pierwszej klasie samolotu lecącego do Frankfurtu i czytała gazetę, gdy natknęła się na ten sam artykuł. Na stoliku przy fotelu stała wysoka szklanka z wódką. Na twarzy pani Chandler pojawił się uśmiech. Była dumna z udziału w tym przedsięwzięciu, nawet obiecałałożyć na ten cel przez najbliższych dziesięć lat.

Wyjęła z torebki kolejną gumę nikotynową. Okropność — pomyślała. — Nie powinno się w ogóle żuć gumy, chyba że w naprawdę trudnych do zniesienia sytuacjach, a do takich należy sześciogodzinny lot.

Zajęta żuciem, usłyszała pisk dobiegający z kuferka od Louisa Vuittona, spoczywającego na sąsiednim siedzeniu. Otworzyła kufer, wsunęła dłoń do środka i powiedziała:

— Już niedługo, moja kochana Mimi.

Zamknęła swój bagaż podręczny i pomknęła myślami ku nadchodzącym dwóm tygodniom, które spędzi we Frankfurcie. Będzie jedyną kobietą uczestniczącą w wyjątkowej partii pokera, która odbywa się co roku w bardzo wąskim gronie w apartamencie Schopenhauera w Hotelu Frankfurterhof. Spotka wszystkich swoich pokerowych kompanów, wśród których jest i Manuel Alvarez, i Tommy Rozzano, Jim Susskind i Earl Hochschober. No i, oczywiście, zobaczy się z drogim Gerardem, wspaniałym francuskim bankierem, swym kochankiem i prawdziwym przyjacielem, który tak ją uwielbia, że nawet po czternastu latach wciąż przysyła jej wygraną w amerykańskich banknotach, po dwie paczuszki naraz, na adres skrytki pocztowej w Hoboken. I wciąż bierze za to tylko dziesięć procent.

Claire i Isaiah mieli przyjść na kolację. To pierwsza od niepamiętnych czasów próba zorganizowania przez Ninę przyjęcia, choćby maleńkiego. Nakłonienie ich do przyjścia nie było łatwe — pamiętali jeszcze swoją ostatnią wizytę. Ona jednak prosiła, błagała, jęczała, przepraszała i przysięgała, że brała prysznic. W końcu się zgodzili. Właśnie mieli przyjść.

Nina przygotowała stół na tarasie. Ten, którego normalnie używała na doniczki z ziołami i kwiatami. Teraz doniczki stały na posadzce, a stół był nakryty ładnym obrusem, na którym ułożyła serwetki, talerze i świece. Wyglądało to odświętnie i podane w ten sposób steki z grilla, kukurydzę i sałatkę z pewnością można nazwać uroczystym posiłkiem. Szczególnym posiłkiem, jaki podaje się w ramach przeprosin za błąd.

Mieszkanie Niny już tonęło w jej kompozycjach. W ciągu kilku ostatnich dni stworzyła ich całe mnóstwo, jakby chciała nadrobić stracony czas spędzony w łóżku. Kojenie psów z właścicielami i jej interwencja w sprawie Bona zaowocowały przyływem świeżej dawki energii. Do tego stopnia, że udało się jej przygotować całkiem nową kompozycję oraz nieco zmienić i wykończyć dwie inne. Właśnie podziwiała żywe barwy i złożoną fakturę swoich opadających z sufitu dzieł, kiedy rozległ się dźwięk domofonu.

— Claire? — zapytała Nina.

— To my! — odpowiedziała Claire i natychmiast została wpuszczona.

Po chwili byli na górze i wręczali gospodyni wino i kwiaty — dokładnie tak, jak się to robi na prawdziwych proszonych przyjęciach, pomyślała Nina, z radością przyjmując te podarunki. Claire wyglądała kwitnąco, i Nina nie omieszkała jej tego powiedzieć.

— Jest piękna, prawda? — zgodził się Isaiah.

Claire posłała mu promienny uśmiech, a potem wesoło zwróciła się do Niny.

— Ty też, Ni-naa. Wprost lśniesz, bije od ciebie taki blask.

— Zwłaszcza w porównaniu z tym, jak wyglądałaś ostatnio, gdyśmy tu byli — zażartował Isaiah.

— Ha ha ha — Nina trąciła go łokciem. Claire zajęła się oglądaniem kompozycji.

— Ja cię, to naprawdę coś! — powiedziała. — Będziesz musiała je komuś pokazać.

— Wiem. Zrobię to — odparła Nina.

— Mówię poważnie. Są fantastyczne.

— Naprawdę mam taki zamiar. Najpierw tylko muszę załatwić parę rzeczy, a potem się tym zajmę.

— A co u niego? Odezwał się?

— Nie, od naszej wyprawy po klimatyzator. Ale wyjdźmy na zewnątrz. Kto chce wina?

Na twarzy Claire na moment pojawił się wyraz troski, ale wyszła na taras. Wino zostało otwarte, jedzenie upieczone i podane. W końcu Claire wyznała przyjaciółce, że dostała tę rolę w serialu *Prawo i sprawiedliwość*, który kręca na szczęście w Nowym Jorku, więc teraz jakiś czas nie będzie wyjeżdżać. Wtedy Isaiah ją poinformował, że założył regionalny związek zawodowy psych opiekunów, fryzjerów i treserów. Mieli już pierwsze zebranie i dobrze, że stawiły się tylko trzy osoby, bo w przyszłości na pewno będzie więcej. A pierwszą rzeczą, jaką związek chce osiągnąć, jest doprowadzenie do ponownego otwarcia wybiegu dla psów.

Cieszyli się, gratulowali sobie, wznosili toasty i zachwycali pięknym letnim wieczorem. Claire i Isaiah po kolei podchodzili do teleskopu i „ochali” i „achali” na widok gwiazd i wnętrza mieszkań po drugiej stronie parku.

Kiedy zaproponowali Ninie udział w zabawie, odmówiła.

— Nie, już tego nie robię.

— Czego? — zapytał Isaiah.

— Nie zajmuję się szpiegowaniem. Ja... no... — głos się jej załamał.

Claire podjęła wątek w miejscu, w którym Nina go zostawiła. Objęła przyjaciółkę ramieniem i powiedziała:

— To dobrze. To żadna przyjemność, nie? Masz rację.

Wtedy Nina obwieściła im wielką nowinę.

— Ja też mam dla was wiadomość — zaczęła skromnie.

Claire i Isaiah spojrzeli na nią z nadzieją, że może ma to coś wspólnego z Billym.

— Nie będę już wyprowadzać psów — oznajmiła.

Claire i Isaiah ze zdziwienia tak szeroko rozdziawili usta, że Nina nie tylko widziała ich gardła, ale omal nie zajrzała im do płuc.

— Rozumiem, Isaiah, że psy moje i Claire przypadną tobie, bo Claire będzie gwiazdą i też nie będzie miała czasu, żeby je ode mnie przejąć. A ja...

— Może będę musiał je komuś przekazać, bo praca w związku zajmuje mi tyle czasu, ale będą miały dobrą opiekę. Obiecuję.

Claire zapytała bardzo delikatnie:

— No więc co to takiego? Co chcesz robić? Chyba nie wrócisz do tego wydawniczego szamb...

Urwała, bo zobaczyła uśmiech Niny — zdecydowany, promienny, jakby odnalezienie celu w życiu spowodowało, że na wzór niektórych planet zaczęła odbijać światło Słońca. Wręczyła Claire wizytówkę, którą wyjęła z kieszeni dzinsów.

KTO MNIE KOCHA, TEN KOCHA I MEGO PSA — brzmiał napis na wizytówce — SWATANIE LUDZI I PSÓW. Na dole widniała mała ilustracja przedstawiająca człowieka ściskającego psią łapę.

— Genialne — stwierdziła Claire. — Podoba mi się.

Podala wizytówkę Isaiahowi, który wybuchnął śmiechem. Wtedy Claire zrobiła dokładnie to, czego Nina — zakładając, że dobrze zna swoją przyjaciółkę — się spodziewała: zaśpiewała. Stała na krześle, co przyprawiło Ninę o lekki zawrót głowy, bo przecież byli na tarasie, i zaśpiewała pełną piersią:

„O swatko, ma swatko, daj mi lubego...”.

Nina popatrzyła na nią w taki sposób, że śpiew natychmiast się urwał, ale Claire nie odmówiła sobie donucenia melodii do końca. Nina nie mogła mieć do niej pretensji — przecież sama zachowała się tak samo, kiedy wpadła na ten pomysł.

— Mam już dwunastu klientów. To się samo napędza. Zupełnie jakby ludzie wreszcie zaczęli się przyznawać do tego, że nic nie wiedzą o psach. Choćby taka miła rodzina, która bierze sobie rottweilera.

Czytali książki o Carlu*, i dopiero po jakimś czasie zauważają, że ten rottweiler, gdyby mógł, chętnie pożałby im dziecko. Albo starsza pani, która zupełnie nie radzi sobie z typowym pudlem. Nastolatek, który myśli, że zaszpanuje mastifem ważącym więcej od niego. Facet na poważnym stanowisku z głupim seterem. Jakby ludzie w ogóle nie mieli pojęcia, kto naprawdę do nich pasuje.

— Tu masz rację — zgodził się Isaiah. — Przy wyborze psów biorą pod uwagę zupełnie nie to, co powinni.

— Ludzie dobierają się wzajemnie, biorąc pod uwagę zupełnie nie to, co powinni. Czemu mieliby być mądrzejsi, jeśli chodzi o psy?

Teraz i Nina się roześmiała. Potem spojrzała na Sida i rzekła:

— Ale odpowiedni pies z odpowiednim panem to podstawa.

— Chcesz wstąpić do związku? — zaproponował Isaiah. — Możemy jeszcze przyjąć psie swatki. Zastanawiamy się, czy przyjąć psich psychiatrów.

— Jeśli pies potrzebuje psychiatry, to jego panu potrzebna jest terapia wstrząsowa — zauważyła Claire ze śmiechem.

Ninę też to rozbawiło.

* Popularna seria książek dla dzieci Alexandry Day o sympatycznym rottweilerze o imieniu Carl (przyp. tłum.).

— To tylko przereklamowana tresura. Równie dobrze można by wyprowadzanie psów nazywać fizyczną terapią psów.

— Słyszałem o specjalistce feng shui dla psów. Ona to nazywa: „feng szczeni” — dorzucił Isaiah.

— No nie! Żartujesz?! — parsknęła Nina.

— A co? Jeśli jest popyt...

— Moja ty kapitalistyczna świnió — powiedziała Claire, obdarowując Isaiaha buziakiem w policzek.

Ta uwaga przypomniała Ninie o Billym i ich rozmowie o schopenhauerystycznej świni. Na chwilę aż brakło jej tchu i całkiem realne wydało się jej, że utraciła go na zawsze.

— Wiesz co? — powiedziała. — Wstrzymam się z tym związkiem.

— Pewnie — zauważyła Claire — po co wstępować do związku, skoro zarabiasz krocie jako szef?

Tak właśnie się stało. Firma Niny zyskała ogólnokrajowy zasięg, a ona sama pojawiała się w programach telewizyjnych i na okładkach czasopism, łożyła szczerze na schroniska i wszelkiego rodzaju organizacje charytatywne pomagające zwierzętom.

To wszystko jednak przyszło później. Na razie Nina musiała podać deser, pożegnać się z przyjaciółmi, podrapać Sama po brzuchu i zamyślić się nad magią bezwarunkowej miłości.

Kiedy goście wyszli, włączyła oryginalną broadwayowską wersję musicalu *Gypsy*, przeskoczyła wszystkie znane kawałki śpiewane przez Ethel Merman i wsłuchała się w tę piosenkę, na którą nie zwróciła uwagi, dopóki nie zagrał jej tamtej nocy. *All I Need is the Girl*. Cóż to za piosenka! — myślała Nina. Oczywiście, pełna nadziei, pogodna, urocza, ale co najważniejsze, to jego piosenka, jej piosenka.

Nie tego samego wieczoru, ale trochę później, Billy stał na scenie szkoły publicznej nr 87 i przedstawiał grupę legendarnych muzyków jazzowych, którzy zgodzili się wystąpić, by pomóc dzieciom w wyborze instrumentu — oczywiście, najlepiej, żeby był to puzon — i zachęcić do przystąpienia do programu nauki jazzu w szkołach publicznych. W sali panował gwar, były kamery i reporterzy, dzieci i ich rodzice, wszyscy przejęci koncertem.

Kiedy Billy zaczął grać własną interpretację *Gwiazdzistego sztandaru* na inaugurację, zaległa cisza. Grano już w tym miejscu standardy jazzowe, ale ten wieczór nie miał w sobie nic standardowego. Oto bowiem przy perkusji zasiadł idol Billy'ego, Max Roach. Billy czuł się na scenie, przed setkami dzieci wsłuchanych w jego grę w duecie z Maksem, jak we śnie.

Grając, Billy powstrzymywał łzy, bo przecież to nie był sen. To rzeczywistość, prawdziwe życie, życie Billy'ego Maguire: pełne wyzwania, obiecujące, ekscytujące. Właśnie wtedy poczuł, że jest gotów na związek z Niną. Że bez niej nie potrafi żyć szczęśliwie nie tylko długo, ale ani dnia dłużej.

28

Nina myślała, że nigdy już nie zobaczy Billy'ego. Teraz, gdy przestała wyprowadzać Sida i nie była w sąsiedztwie Billy'ego, a on był tak nieprzejednany w swojej złości, że nawet po tylu tygodniach nie dawał znaku życia, nic nie wskazywało na to, by jeszcze kiedyś mieli się spotkać. Czy widział wzmiankę o niej w „Observerze”? Znalazł jej zdjęcie w dodatku do „Times'a”? Wieść o jej działalności roznosiła się pocztą pantoflową między klientami, tak że interes kwitł. Musiała przemeblować mieszkanie, żeby pomieścić segregatory z materiałami prasowymi, broszurami oraz danymi starych i nowych klientów. Z radością zamieniła sypialnię w biuro firmy „Kto mnie kocha, ten kocha i mojego psa”.

Jej kompozycje zawsze mogły liczyć na miejsce w mieszkaniu, a do ich tworzenia wciąż służył ten sam stół. Nina zdobyła się nawet na pokazanie swoich dzieł właścicielowi galerii w Chelsea. Możliwe, że umieści jedną z nich na świątecznej wystawie w grudniu.

A gdzie podziewa się Billy?

Brakuje jej wyprowadzania psów. Oczywiście, prawie codziennie widuje się z Bobbym — chodzą razem na spacer z Lucą i Samem. Che zdechł niedługo po tym, jak Nina przyprowadziła im Lucę. Z początku obwiniała o to siebie, myślała, że zabiła go obecność nowego psa. Bobby jednak przysięgał, że Che zdechł szczęśliwy, wiedząc, że Bobby jest w dobrych rękach — czy raczej łapach. Można by rzec, że Che czekał z odejściem na coś — czy kogoś — i że tym kimś była właśnie Luca.

Nina tęskni za psami, za rannym wstawaniem i wychodzeniem, tęskni za rytuałem, którego tak przedtem nienawidziła. Spacer z Samem pozwalają na chwilę poczuć tamten nastrój, ale to już nie to samo. Teraz, gdy Nina patrzy na to z boku, spacerowanie po parku z tuzinem psów jawi jej się jako swoista misja, której człowiek nie odczuwa, gdy spaceruje tylko z jednym.

Musi przyznać, że nawet nie brakuje jej myszkowania po domach. To już należy do przeszłości. Jak skończony romans. Pamięta towarzyszące mu podniecenie, dreszczyk emocji przy odkrywaniu tego, co nowe, nieznanne, ale to już skończone. Zamknięty rozdział. Coś, co można wspominać jako przygodę z dawnego życia.

Jej życie bowiem będzie się dzielić na życie przed Billym i z nim.

Pewnego wieczoru na początku października, kiedy Nina, popijając wino, pracowała z laptopem na tarasie (kojarzenie odpowiednich par wymaga dużo czasu i pracy), raz po raz wydawała ciche westchnienia, które świadczyły o tym, że dostrzega pierwsze oznaki jesieni. Powietrze było już chłodniejsze, liście zaczęły zmieniać barwy, a niebo ciemniało wcześniej niż latem. To taka pogoda „na lekki sweter”, taka, jaką Nina najbardziej lubi. Sam też był zadowolony. Zadarł łeb i z zapalem wciągał powietrze, próbując wyłowić zapachy jesiennego wieczoru. Lekki powiew wiatru zsunął jej kosmyk włosów na twarz i kiedy odgarniała go za ucho, ktoś zadzwonił z dołu. Popatrzyła na Sama, a on na nią, i ruszyła w kierunku domofonu. Serce biło jej szybko i gwałtownie, jak za każdym razem, gdy słyszała domofon lub telefon.

— Tak? — zapytała.

— To ja.

Nareszcie — pomyślała. W końcu. Wykonała długi wydech, jakby od tygodni wstrzymywała powietrze.

— Mogę wejść?

Otworzyła drzwi. Nie była. pewna, jak go powita. Odtwarzała tę scenę w myślach na setki różnych sposobów. Kiedy jednak usłyszała jego kroki na schodach, przestała myśleć, zastanawiać się, rozważać. Zbiegła dwa piętra w dół, prosto w jego ramiona. Sid przemknął obok niej w przeciwną stronę — do jej mieszkania — żeby przywitać się z Samem.

— Już się bałam... — mówiła między pocałunkami. — Tak cię Kocham — a jednak to powiedziała.

Pogładził ją po włosach.

— A ja... no... ja...

— Wiem. Nie prowadzisz.

Roześmiał się cicho.

— Teraz już tak. Jak szalony.

I jeszcze raz ją pocałował, mocno i namiętnie.

— Widzisz, ja... — powiedział. — Kocham cię. Kocham cię, od kiedy cię zobaczyłem w mojej... jego łazience. Musiałem tylko parę razy się po drodze zatrzymać, żeby nabrać paliwa, zjechać w boczną drogę — pocałował ją jeszcze raz i przyłożył dłoń do jej policzka — żeby sam cię znalazł, jako ja.

— Już myślałam, że cię straciłam na dobre — po tych słowach w oczach Niny pojawiły się łzy. — Ciągle kogoś tracę, ludzi, którzy są dla mnie ważni. Ale stracić ciebie to było najbardziej...

— Nigdy mnie nie stracisz. Jestem jak pies. Lojalny i... Spojrzeli na oba psy. Sam lizał się po jądach, a Sid, z łapami w górze, tarzał się na grzbiecie po podłodze.

— Nie bardzo — stwierdziła Nina i oboje się roześmiali. Próbowwała jednocześnie ocierać łzy, ale to i tak nic nie dawało.

Później, po kolejnej dawce łez i przeprosin, usiedli na tarasie pod gwiazdami, a psy zajęły się łapaniem ciem.

— Jak tam teleskop? Dużo go używasz? — zapytał Billy.

— Dobrze ci z Sidem?

Billy czule popatrzył na swojego psa.

— Daniel nigdy go naprawdę nie kochał. Zresztą, przeniósł się do San Francisco.

Nina uśmiechnęła się.

— No więc jak z tym teleskopem?

— W ogóle go nie używam. Znasz kogoś, kto by go chciał?

— Powiedziałbym, że powinniśmy go wyrzucić, rozwalić na kawałki i w ten sposób formalnie raz na zawsze zerwać z przeszłością, ze śledzeniem innych. Ale teraz, gdy już jestem zaangażowany, nie mogę myśleć o sobie. Podarujemy go jednej z moich szkół. Na lekcje astronomii.

— Dobry pomysł.

— Na początek naszej przemiany.

— Koniec ze szpiegowaniem i oszukiwaniem.

Westchnęli i zajęli się sączeniem wina. Ich wzrok wędrował przy tym ponad ciemną plamą parku w stronę świateł East Endu i dalej.

— Wiesz co — powiedział Billy — jak tak sobie siedzimy, to mi się przypomina ten dzień, kiedyśmy...

— Ruszyli w rejs i dali się ponieść prądowi?

Billy popatrzył na nią, jakby postradała zmysły.

— Przecież myśmy nigdy...

— Racja. Nigdy nie płynęliśmy statkiem. Kiedy byliśmy na Tahiti?

Zmrużył oczy, uśmiechnął się, zastanowił.

— Może. Ale nie o tym myślałem.

— W Wenecji?

Uśmiechnął się i poddał zabawie, chociaż cały czas myślał o tamtej nocy na pirsie.

— Masz rację. Nasza wyprawa do Wenecji. To było coś.

— Mieszkaliśmy w Gritti.

— Nie. Zatrzymaliśmy się w Cipriano — zaprotestował Billy.

— Faktycznie. Cudowne miejsce!

— Było świetnie. Piliśmy prosecco...

— I się upiłem. Pamiętam...

— Tylko troszeczkę...

— Jakie troszeczkę! Musiałam cię taszczyć na plecach przez plac Świętego Marka!

— Jakie masz straszne wspomnienia. Byłem trochę zmęczony... oboje byliśmy lekko zawiani... i kochaliśmy się w gondoli.

— No, nic dziwnego, że nie pamiętam. Mam chorobę morską.

— Wtedy nie miałaś. Wierz mi. To był najlepszy seks w twoim życiu.

— Naprawdę? Zupełnie nie pamiętam szczegółów — droczyła się z nim Nina. — Może...

— Może ci przypomnę? Teraz?

— Czemu nie.

Odłożyli kieliszki, wstali i weszli do sypialni, zamykając drzwi przed Sidem i Samem, które zaszczekały i pisnęły kilka razy, aż każdy z nich znalazł sobie odpowiednie miejsce, poskrobał po nim pazurami, obrócił się trzy razy i ułożył do snu. Przez drzwi tarasu wpadał blask księżycy, sprawiając, że rzeźby Niny połyskiwały niczym gwiazdy, które rozświetlały niebo nad Nowym Jorkiem w tę niezwykłą noc.



TLR